

ZESZYT STO DWUDZIESTY SZÓSTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1998

ZESZYT STO DWUDZIESTY SZÓSTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1998

BIBLIOTEKA «KULTURY»
TOM 505

ISSN 0406-0393
ISBN 2-7168-0173-8

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Wojciech JARUZELSKI

O STANIE WOJENNYM RAZ JESZCZE*

Jak poinformowały mass media 19 maja br., p. Władimir Bukowski przekazał, w gmachu Sejmu RP, do dyspozycji Komisji Odpowiedzialności Konstytucyjnej, zestaw dokumentów, dotyczących okoliczności wprowadzenia stanu wojennego w Polsce. Komentarzy niektórych parlamentarzystów na ten temat nie muszę – jak mi się wydaje – przypominać. Ponieważ jednak sprawie nadana została taka właśnie ranga, wynikający stąd rozgłos, różne wypowiedzi i zapowiedzi – widzę potrzebę zajęcia stanowiska, udzielenia wyjaśnień.

Jak wiadomo, Komisja Odpowiedzialności Konstytucyjnej poprzednich dwóch kadencji Sejmu, w ciągu pięciu lat rozpatrywała sprawę tzw. autorów stanu wojennego. Członkowie Komisji oraz osoby objęte wnioskiem wstępnym mogły zapoznać się z materiałami archiwalnymi, pochodzącymi z różnych krajowych i zagranicznych źródeł. Komisja przesłuchiła (z uwzględnieniem rygorów artykułu 247 kodeksu karnego) kilkudziesięciu świadków, w tym w znacznej części wskazanych przez „oskarżycielsko” zorientowanych członków Komisji. Zapoznano się z mnóstwem okoliczności i faktów, cechujących sytuację wewnętrzną i zewnętrzną lat 1980-1981, oceniając na tym tle działania i decyzje tzw. autorów stanu wojennego.

* Załączniki do tekstu zaczynają się na str. 41.

Wśród dokumentacji znalazło się tzw. Archiwum Susłowa; wzięto także pod uwagę zestaw materiałów zawartych w aneksie do książki gen. Witalija Pawłowa pt.: „Byłem rezydentem KGB w Polsce”. Jak stwierdziła Komisja oraz historycy-eksperti, udostępniona stronie polskiej dokumentacja postradziecka nosi cechy selektywnego doboru (w razie potrzeby mogą to potwierdzić bardzo konkretnie). W tym momencie nasuwa się pytanie, czy przekazana przez p. Bukowskiego Sejmowi RP dokumentacja wypełnia te luki, czy wprowadza nowe okoliczności i mające znaczenie dla sprawy nieznane dotychczas fakty? Czy też jest znanym w Polsce już od pięciu lat, szeroko upowszechnionym i przedyskutowanym zestawem materiałów? Tu trzeba przypomnieć fakty. Otóż 25 sierpnia 1993 roku odbyła się w Warszawie wspólna konferencja prasowa prezydentów: Lecha Wałęsy i Borysa Jelcyna. Ten ostatni poinformował o przekazaniu stronie polskiej dokumentacji archiwalnej, stwierdzając jednocześnie: „niech zajmą się tym historycy”. Tak mówiąc, miał – należy sądzić – na myśli, iż jest to materiał niepełny, wymagający spokojnej analizy, skonfrontowania z innymi dokumentami, a przede wszystkim z faktami. Stało się inaczej – sprawie został nadany pilny informacyjno-propagandowy bieg. Tzw. Archiwum Susłowa zostało opublikowane w całości w gazecie *Rzeczpospolita* 27 sierpnia 1993 roku. Obszerne fragmenty zamieściły inne gazety i czasopisma. Informowały telewizja i radio. „Archiwum” w masowym nakładzie książkowym (dwujęzycznie: rosyjsko-polskim) wydał Interpress. Znalazło się ono wreszcie wśród dokumentacji, którą dysponowała, którą znała i brała pod uwagę Komisja Odpowiedzialności Konstytucyjnej oraz historycy-eksperti. I to właśnie p. Bukowski ogłasza – w odkrywco-oskarżycielskiej tonacji – jako nieznaną w Polsce dokumentację. Faktycznie zaś wszystkie dokumenty – cytowane dotychczas przez niego lub przywoływane w książce pt.: „Moskiewski proces”, w tym „roboczy zapis” z posiedzenia Biura Politycznego KC KPZR z 10 grudnia 1981 roku – były już, jak wyżej wspomniałem, w Polsce publikowane.

Zdumiewa, iż politycy, historycy, dziennikarze, wreszcie społeczeństwo polskie, zostało potraktowane jak „ciemna ma-

sa”, która od pięciu lat nie czyta gazet, nie słucha radia, nie ogląda telewizji. Najbardziej zaś przykre jest to, iż w sposób tak instrumentalny próbuje się zaangażować Sejm RP, a ściślej rzecz biorąc jego Komisję Odpowiedzialności Konstytucyjnej, której „wciska się” materiały – przekazane w sposób oficjalny już w sierpniu 1993 roku – i znajdujące się od tego czasu w zasięgu ręki.

Są niewątpliwie pewne osoby i polityczne kręgi, które chcą spektakularnego „odgrzewania” tej sprawy, wywołania kolejnej fali, dzielących społeczeństwo emocji. Dobrze jednak byłoby zapoznać się i wyciągnąć wnioski m.in. z publikacji zamieszczonej w znanej rosyjskiej gazecie *Izwestia* 19 czerwca 1994 roku, autorstwa gen. prof. Dmitrija Wołkogonowa. Píše on: „Przy moim udziale jako przewodniczącego Komisji Rady Najwyższej FR ds. przekazania archiwów KPZR i KGB, w celu naukowego, społecznego z nich korzystania, w ciągu dwóch lat zostało otwartych 78 milionów spraw z 80 milionów teczek w archiwach partyjnych. Pozostała część na razie jest utajniona, ponieważ kryje w sobie wiadomości dotyczące państwowych i narodowych interesów Rosji. Komisja ujawniła mnóstwo materiałów, których dotychczas większość ludzi nie znała: w tej liczbie tzw. „specjalne teczki”, na podstawie których w sposób wiarygodny dowiedzieliśmy się o (...) naszej zbrojnej inwazji na Węgry, Czechosłowację, Afganistan, o przygotowaniach do takiej samej ingerencji w Polsce” (podkreślenie moje – W.J.).

A więc przewodniczący Komisji Rady Najwyższej FR ds. przekazania archiwów, w ten sposób potwierdza, iż:

- po pierwsze – nie wszystkie materiały zostały udostępnione;
- po drugie – interwencja w Polsce była przygotowywana.

Ponieważ p. Bukowski oświadczył publicznie, iż ja zwracałem się o wprowadzenie do Polski wojsk Związku Radzieckiego oraz innych państw Układu Warszawskiego, to należy wyjaśnić czy posiadał potwierdzającą to dokumentację z owych „innych”. Bowiem Komisja Odpowiedzialności Konstytucyjnej rozpatrując sprawę tzw. autorów stanu wojennego, dysponowała licznymi materiałami otrzymanymi z archiwów

postNRD-owskich i postczechosłowackich. Nie ma tam śladu tego typu rewelacji. Jest natomiast zapis z tajnego spotkania Breżniewa, Honeckera i Husaka odbytego 30 maja w Moskwie (dokument z akt b. NRD). Na tym spotkaniu, poświęconym wydarzeniom w Polsce, Breżniew m.in. mówi: „Tow. Kulikow opracował odpowiednie plany w kilku wariantach, które są do zrealizowania w poważnej sytuacji”. W dokumentacji z Komisji Śledczej Parlamentu Republiki Czeskiej zawarta jest m.in. informacja o naradzie ministrów obrony państw – stron Układu Warszawskiego, która odbyła się w dniach 1-4 grudnia 1981 r. w Moskwie. Reprezentujący stronę polską gen. Siwicki wówczas – cytuję za dokumentem czeskim – stwierdził: „Polska Rzeczpospolita Ludowa ma wystarczające własne siły i nie są potrzebne żadne kroki wojskowe, ale moralno-polityczne poparcie dla partii i państwowego kierownictwa PRL”. W raporcie tejże Komisji z 24 stycznia 1995 roku, która korzystała z archiwów siedmiu czeskich instytucji centralnych oraz zeznań 47 świadków, znajduje się następująca konstatacja: „Można tylko domyślać się powodów dla których nie doszło do planowanego (podkreślenie moje – W.J.) wkroczenia. Z pewnością niemałą rolę odegrała postawa armii polskiej pod dowództwem W. Jaruzelskiego, co w grudniu 1981 zakończyło się wprowadzeniem stanu wojennego”.

Z materiałów w/w Komisji również wynika, iż wojska czechosłowackie przygotowywane do interwencji w Polsce były wyposażone w pałki, gazy łzawiące, armatki wodne. Dokonywano również wymiany żołnierzy mniej – na bardziej pewnych. Z kolei z materiałów postNRD-owskich na szczególną uwagę zasługuje schemat wkroczenia dwóch dywizji na teren Polski*. Co wreszcie najciekawsze – dywizje NRD-owskie utrzymywane były w gotowości do interwencji do kwietnia, a czechosłowackie do lipca 1982 roku.

W tym miejscu dygresja. Jak oceniali owo zagrożenie – nawet po wprowadzeniu stanu wojennego – państwa EWG? Oto tekst opublikowanego oświadczenia: „4 stycznia 1982 roku, ministrowie spraw zagranicznych krajów „dziesiątki” oświadczyli w Brukseli, że 'dziesiątka' odnotowuje z zanie-

* zał. nr 1.

pokojeniem i dezaprobatą poważne naciski z zewnątrz oraz kampanię prowadzoną przez ZSRR i inne kraje wschodnio-europejskie, wymierzoną przeciwko wysiłkom na rzecz odnowy w Polsce. Ta dostatecznie już niepokojąca sytuacja uległaby jeszcze dalszemu pogorszeniu, gdyby doprowadziła do otwartej interwencji Układu Warszawskiego. Z tego powodu 'dziesiątka' pragnie wystosować poważne ostrzeżenie przed jakąkolwiek taką interwencją”.

Przez całe półtora roku – od sierpnia 1980 do 13 grudnia 1981 roku – i z najwyższych trybun i na poufnych naradach mówiono: „Musimy nasze polskie problemy rozwiązać we własnym zakresie, własnymi siłami”. Obawialiśmy się interwencji bezpośredniej, jak też i takiej, o której się mówiło: „co będzie jeśli my zaczniemy, a oni wejdą”? Jeśli ktoś chciałby podważyć wiarygodność tego twierdzenia niech sięgnie do – być może dla siebie bardziej wiarygodnego autora – Ryszarda Kuklińskiego. W wywiadzie, którego udzielił on paryskiej *Kulturze* (kwiecień 1987 roku), na zadane pytanie: „Jakie wrażenie wywarły plany radzieckie przywiezienie z Moskwy na Polakach w Sztacie Jaruzelskiego?” Kukliński odpowiada: „Generał Jaruzelski był w stanie szoku. Zamknął się w swym gabinecie i był zupełnie niedostępny dla najbliższego otoczenia. W niewiele lepszym stanie był gen. Siwicki oraz gen. Hupałowski, któremu w udziale przypadła misja przywiezienia z Moskwy planów inwazji”. W innym miejscu tego wywiadu m.in. stwierdza: „...nie chcę choćby w najmniejszym stopniu sugerować, że gen. Jaruzelskiemu i Siwickiemu zależało na sprowadzeniu radzieckich posiłków do Polski. Byłoby to nieprawdą”.

Posłużę się dla ilustracji jedynie niektórymi przykładami. 13 września odbyło się – ostatnie przed wprowadzeniem stanu wojennego – posiedzenie Komitetu Obrony Kraju (protokół był udostępniony Komisji Odpowiedzialności Konstytucyjnej oraz osobom objętym wnioskiem wstępnym). Była tam m.in. moja wypowiedź. Charakterystyczne, iż mówiąc o sytuacji, która może doprowadzić do wprowadzenia stanu wojennego używałem zawsze (aż czterokrotnie) słowa ewentualnego wprowadzenia stanu wojennego. Ale w danym momencie chcę zacytować zapisane w protokole, z

powołaniem się na moje słowa, co następuje: „Wskazał na szczególne znaczenie i konieczność rozstrzygnięcia wewnętrznych problemów własnymi siłami” (podkreślenie moje – W.J.).

7 grudnia ma miejsce moja telefoniczna rozmowa z Breżniewem. Mówię o sytuacji. Rozwija się ona niebezpiecznie. Liczymy się z każdym wariantem. Są jednak pewne szanse. Dlatego decyzja o wprowadzeniu stanu wojennego jeszcze nie podjęta. Najbardziej dramatyczna jest sytuacja gospodarcza. Proszę o przyjazd przedstawiciela strony radzieckiej dla operatywnego rozpatrzenia naszych potrzeb w tym względzie. Słyszę doping do stanowczych działań oraz jak zwykle dwuznacznie brzmiące: „nie zostawimy Polski w nieszczęściu” (*nie ostawim Polski w biedzie*). Również zapowiedź przyjazdu wicepremiera Bajbakowa. Istotnie nastąpiło to niezwłocznie, bo już 8 grudnia. Ale co w rezultacie podkreślić należy? – otóż Breżniew, przewodniczący 10 grudnia posiedzenia Biura Politycznego KC KPZR ani słowem nie wspomina, że prosiłem o jakąkolwiek „pomoc wojskową”.

W nocy z 8 na 9 grudnia Bajbakow wspólnie z Kulikowem odbyli rozmowę ze mną. Bezpośrednio po powrocie z Polski Bajbakow jest pierwszym sprawozdawcą – referentem na wspomnianym już posiedzeniu Biura Politycznego 10 grudnia. O czym informował – będzie mowa dalej. Ale znów nic o „pomocy wojskowej”. (Tu dygresja – wicepremier, jednocześnie szef tzw. sztabu antykryzysowego rządu Janusz Obodowski, długo rozmawiał w „cztery oczy” z Bajbakowem, żegnał go również 9 grudnia na lotnisku. Poinformował mnie bezpośrednio po tym, że Bajbakow był bardzo poruszony i m.in. powiedział: „Wpłyńcie na generała, bo skończy się to bardzo źle”).

9 grudnia marsz. Ustinow telefonuje do gen. Siwickiego. Natarczywie domaga się informacji, czy podjęta została decyzja o wprowadzeniu stanu wojennego. Powtarza często używane przez siebie słowa, iż trzeba działać ofensywnie, zdecydowanie (*nastupatielno, reszitielno*). Podobnie zresztą wypowiadał się do końca w rozmowach ze mną. 10 grudnia na posiedzeniu BP powiada: „Miałem rozmowę z Siwickim. Powiedział on wprost: nie wiemy nawet co wymyśli generał.

A więc człowiek pełniący dziś w gruncie rzeczy obowiązki ministra obrony narodowej PRL nie wie co będzie dalej, jakie działania podejmie Prezes Rady Ministrów i Minister”. Oto kolejny dowód na to, jakie opory i zahamowania, w tym promyki nadziei na inne rozwiązanie, poprzedzały aż do ostatniej chwili podjęcie decyzji o wprowadzeniu stanu wojennego. Ale w tym momencie znów trzeba zwrócić uwagę, iż w relacji Ustinowa z tej rozmowy nie ma najmniejszej nawet wzmianki o oczekiwaniu strony polskiej na „pomoc wojskową”.

W nocy z 9 na 10 grudnia – odbyła się pod moim przewodnictwem, w Sztapie Generalnym WP odprawa z udziałem kierownictwa Ministerstwa Obrony Narodowej, szefów głównych instytucji resortu, szeregu innych generałów i pułkowników oraz dowódców okręgów wojskowych i rodzajów sił zbrojnych. Obecny był również Szef Urzędu Rady Ministrów. Bardzo dramatyczne wystąpienia uczestników odprawy, zwłaszcza dowódców. Sytuacja jest nie do zniesienia. Niezrozumienie na co czeka władza. Nastroje kadry, a także znacznej części żołnierzy służby zasadniczej radykalizują się. Nie pada ani jeden głos wątpliwości, że Wojsko może zadaniom nie sprostać. Domaganie się zdecydowanego działania. W moim wystąpieniu – świadkami jest kilkudziesięciu uczestników odprawy (kilku z nich składało zeznania przed Komisją Odpowiedzialności Konstytucyjnej) – m.in. stwierdzenia, iż Polska staje się coraz bardziej niewiarygodna, jako partner i sojusznik, członek Układu Warszawskiego. To grozi ciężkimi, trudnymi do przewidzenia następstwami. Dlatego tak ważne jest rozwiązanie własnymi siłami.

12 grudnia z rana rozmowa telefoniczna z Susłowem w obecności generałów: Janiszewskiego, Kiszczaka, Siwickiego (będzie o niej mowa dalej).

13 grudnia wcześniej rano w przemówieniu radiowym i telewizyjnym mówię: „Z tego kryzysu musimy wyjść o własnych siłach. Własnymi siłami musimy usunąć zagrożenie”. O godz. 9.30 telefonuje do mnie Stanisław Kania. Wyraża pełne poparcie dla podjętej decyzji i wielkie zadowolenie, iż udało się zapobiec „bratniej pomocy”, której zawsze się obawiał.

14 grudnia na pierwszym posiedzeniu Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego stwierdzam – według protokołu – iż wprowadzenie stanu wojennego pozwoli „rozwiązać wewnętrzne problemy własnymi siłami”.

Przykładów i dowodów na takie właśnie myślenie, a przede wszystkim działanie, jest bardzo wiele.

W wyżej omawianym okresie odbywa się wiele ważnych posiedzeń, spotkań, rozmów:

- 5 grudnia posiedzenie Biura Politycznego;
- 7 grudnia posiedzenie Rady Ministrów;
- 8 grudnia moje spotkanie z Przewodniczącym Rady Państwa prof. Henrykiem Jabłońskim oraz spotkanie Sekretariatu KC z I Sekretarzami Komitetów Wojewódzkich PZPR;

- 9 grudnia spotkania odbyte kolejno z przewodniczącymi organizacji katolików i chrześcijan świeckich;

- 10 grudnia spotkania z:
 - Radą Ekumeniczną;
 - Kierownictwem branżowych związków zawodowych;
 - Kierownictwem Związku Nauczycielstwa Polskiego;
- 11 grudnia spotkanie z Marszałkiem Sejmu Stanisławem Gucwą (Marszałek Gucwa po wprowadzeniu stanu wojennego wyrażał w różnych kręgach „gorzkie” opinie, iż w owej rozmowie nie poinformowałem go o zamiarze wprowadzenia stanu wojennego, bowiem mówiliśmy głównie o możliwościach przeprowadzenia w Sejmie ustawy o „Nadzwyczajnych pełnomocnictwach dla rządu” na okres zimy. Tak było istotnie, ale to jeszcze jeden dowód, iż poszukiwanie innych rozwiązań trwało aż do końca).

Ponadto miało miejsce jeszcze wiele różnych spotkań i rozmów, bezpośrednich i telefonicznych, w tym niejednokrotnie z Prezesem PSL oraz Przewodniczącym SD, oraz niektórymi wicepremierami i ministrami. We wszystkich przedstawiana mi była niezwykle groźna, wręcz tragiczna ocena sytuacji, kurczenie się nadziei na porozumienie, w różny sposób wyrażane oczekiwanie na przełom, na postawienie tamy toczącym się wydarzeniom (jedynie przewodniczący PAX, Ryszard Reiff sugerował własny wariant). Ale w toku wszystkich tych posiedzeń, spotkań, rozmów, nikt nie mógł mieć

najmniejszej wątpliwości, że ewentualny stan wojenny to będzie działanie wyłącznie własne – co więcej, jeśli do niego dojdzie, to właśnie po to, ażeby było jedynie własne.

Istniejących zagrożeń władze nie ukrywały. Przedstawiany był publicznie dramatyzm sytuacji. Miały też miejsce liczne, zwłaszcza nieoficjalne spotkania i rozmowy przedstawicieli władz, lub osób przez nie upoważnionych z niektórymi działaczami oraz doradcami „Solidarności” (są wśród nich dziś bardzo znani politycy różnych prawicowych orientacji). Przy oczywistej różnicy poglądów, świadomość narastających lawinowo niebezpieczeństw była wspólna. Jestem przekonany, iż ówcześni rozmówcy ze strony „Solidarności” potwierdzają, że rozmówcy ze strony władz, a więc i z mojego upoważnienia, akcentowali w sposób szczególny zagrożenie z zewnątrz. Dziś pamiętając tamtą sytuację mówienie o oczekiwaniu, czy wzywaniu obcej wojskowej „pomocy” zakrawa wręcz na ponury żart.

Nad sytuacją już coraz mniej panowały zarówno władze, jak i kierownictwo „Solidarności”. Również autorytet Kościoła, wzmożone wysiłki Prymasa i Episkopatu na rzecz porozumienia narodowego okazały się nieskuteczne. M.in. jedną z prób łagodzenia napięć był list Prymasa skierowany 6 grudnia do posłów i rządu, apelujący i przestrzegający przed możliwymi gwałtownymi reakcjami na ew. uchwalenie ustawy o nadzwyczajnych pełnomocnictwach dla Rady Ministrów (m.in. możliwości wprowadzenia zakazu strajków na okres zimy – do 31 marca 1982 roku). Ten apel głównie spowodował, iż ów zakładany przez władze wariant stabilizowania sytuacji został zaniechany. Z drugiej strony Prymas na spotkaniu 7 grudnia z reprezentatywnymi przedstawicielami kierownictwa „Solidarności” – dobitnie przestrzegał przed nierozważnym, niebezpiecznym postępowaniem. Piszę o tym w sposób udokumentowany Andrzej Micewski w książce pt.: „Kościół wobec zagrożenia „Solidarności” (zresztą informację o działaniach Prymasa i Episkopatu w tej mierze potwierdził on kilkakrotnie w czasie posiedzeń Komisji Odpowiedzialności Konstytucyjnej).

Rozwój procesu historycznego potwierdził doniosłą rolę oraz wyższość celów o jakie walczyła „Solidarność”. Jestem

z całym szacunkiem dla tych społeczno-politycznych sił, kręgów i osób, które miały wizję i odwagę – nieraz ponosząc bolesne tego konsekwencje – podjąć przed laty działanie na rzecz demokratycznej Polski. Szczerze ubolewam z powodu krzywd i cierpień, jakich doznało wielu ludzi. Nie będę – co się nierzadko dziś zdarza – „przefarbowywać się”, mówić, iż byłem wówczas inny niż byłem. Odpowiadam za podejmowanie decyzji. Czuję się również odpowiedzialny za działania osób oraz instytucji, które mi podlegały. I choć nie o wszystkim mogłem wiedzieć i nie na wszystko mogłem mieć wpływ – to jednak nie zamierzam szukać łatwego usprawiedliwienia, a najwyżej zrozumienia. Z drugiej jednak strony, ocena przeszłości nie powinna być dokonywana w kategoriach „czarne-białe”. Każda ze stron konfliktu stała na gruncie własnych przekonań i racji. Trzeba je oceniać nie w abstrakcji, lecz w realiach tamtego czasu. Władza widziała te realia jako paraliż funkcjonowania państwa, rozkład gospodarki, zagrożenie egzystencji materialnej społeczeństwa oraz bezpieczeństwa zewnętrznego kraju. „Solidarność” – chociaż z innej pozycji – ale również świadoma była niebezpiecznego biegu wydarzeń. Przytoczę dla ilustracji charakterystyczne przykłady:

– Lech Wałęsa w wywiadzie opublikowanym w *Sztandarze Młodych* 1-3 maja 1981 roku mówi: „Jeśli będziemy szli w zwady, bez przerwy do konfrontacji, jeżeli będziemy atakować – nie tak jak powinniśmy – to znaczy frontalnie milicję, SB, urzędy, to przecież ktoś nie wytrzyma. I zacznie się chaos, bałagan, bijatyka między nami. I wtedy ktoś trzeci będzie błogosławiony, jeśli nas rozbroi, to jest największe niebezpieczeństwo – nie interwencja. Interwencja to będzie wtedy nawet wybawienie. I tego się boję”. Ta ocena jest i sugestywna i celna. Z jednym wyjątkiem. Nie byłoby „wybawienia”, ale wręcz niewyobrażalna – wychodząca poza wewnętrzny konflikt – konfrontacja.

– *Robotnik* nr 78 z 27 sierpnia publikuje fragmenty dyskusji zorganizowanej przez redakcję. M.in. mówią:

Jan Lityński: „...obserwujemy rozpad gospodarki i rozpad państwa. „Solidarność” ten rozkład przyspieszyła, paraliżując niejako organy władzy. W tej sytuacji powstają wielorakie

niebezpieczeństwa. Jednym z nich jest radykalizm typu KPN-owskiego. Drugie niebezpieczeństwo, któremu Związek już uległ to rozprzestrzenienie się ruchu walki o żywność...”.

Jacek Kuroń: „...po raz pierwszy zaczynałem myśleć, że mogłaby nam grozić wojna domowa...”.

Bronisław Geremek: „Kraj znajduje się w sytuacji zagrożenia narodowego, jakich było niewiele w historii Polski. Grozi nie tylko interwencja, ale i upadek z przyczyn wewnętrznych... Katastrofa jest faktem oczywistym. Jest to katastrofa wciągająca. Nikt z siedzących przy tym stole nie wie jak wyjść z kryzysu”.

Powyższe stwierdzenia pochodzą z sierpnia 1981 roku. A przecież w kolejnych miesiącach sytuacja rozwijała się coraz bardziej niebezpiecznie. Oczywiście przywołane wyżej cytaty znajdują się w szerszym kontekście – w sumie krytycznym wobec ówczesnej władzy. Niemniej jednak ci świątli, pragnący zachować obiektywizm ludzie, widzieli sytuację w całej jej złożoności i wynikającej stąd zróżnicowanej odpowiedzialności. Szkoda, iż wielu współczesnych polityków, publicystów, interpretatorów historii nie stać na podobne spojrzenie. Nikt też nie nawiązuje do opracowania prof. Jerzego Holzera pt. „Polska 1980-1981” (cykl „Dzieje PRL”), w którym m.in. pisze on: „Przywódcy ‘Solidarności’ zaczęli tracić kontrolę nad działaniami Związku, w poszczególnych regionach kraju zaczynało wrzeć”. Również prof. Jerzy Holzer w książce pt.: „Solidarność 1980-81. Geneza i historia” mówi, iż zastępca przewodniczącego „Solidarności” Marian Jurczyk: „na spotkaniu w Trzebiatowie 25 października 1981 roku, zagalopował się w radykalizmie, żądając rozliczenia osób odpowiedzialnych za zbrodniczą politykę w przeszłości przed trybunałami społecznymi i karania ich, aż do tracenienia na szubienicy włącznie. ...Najbardziej zdumiewającym fragmentem było oskarżenie polskich przywódców komunistycznych o żydowskie pochodzenie”. Znamienne, iż Komisja Krajowa „Solidarności” nie odzęgnęła się od tych poglądów, a jedynie jej rzecznik prasowy zakomunikował, iż była to prywatna opinia. Co więcej pojawiło się wiele głosów solidaryzujących się z Jurczykiem (biuletyny „Solidarności” – Poznań, Katowice, Elbląg, Bielsko-Biała, Konin). Sam Jurczyk 30 listopada 1981

roku na spotkaniu ok. 50 komitetów zakładowych województwa szczecińskiego oświadczył: „Podtrzymuję swoje wypowiedzi z Trzebiatowa. Czas na pieszczoty z rządem się skończył”. Podobnego typu radykalnych wypowiedzi i zachowań było coraz więcej.

Dla władz sygnałem alarmowym stało się posiedzenie Prezydium Komisji Krajowej „Solidarności” wraz z przewodniczącymi regionów 3-4 grudnia 1981 roku w Radomiu. Tu znów powołałam się na opracowanie prof. Holzera („Polska 1980-1981”), który pisze: „W rozpalonej atmosferze obrad padło w czasie dyskusji wiele gromkich słów i demagogicznych pogrozek. Zradykalizował swe wystąpienia nawet Wałęsa, który liczyć się musiał z krytyką swych związkowych oponentów. Większość dyskutantów w Radomiu przeceniała siły „Solidarności”, zaś nie doceniała siły rządu... W przypadku konfrontacji, liczono się z klęską rządu”. Podobnie Lech Wałęsa w książce „Droga nadziei” pisze m.in., iż „W Radomiu z całą premedytacją użyłem ostrych sformułowań, które sprawiły, że nie pozwoliłem dać się odłączyć od całości Związku”. „... Tak więc wybieram następujący wariant: robię się największym radykałem, dołączam w Radomiu do nastroju całej sali, po to, ażeby nie dać się zostawić na boku wobec nadchodzących wydarzeń”. Z kolei prof. Holzer w swej wcześniej wspomnianej książce „Solidarność 1980-81”, przytacza część tych, rzeczywiście szokujących sformułowań: o konfrontacji, która będzie, o przechytrzeniu władzy, o tworzeniu faktów dokonanych, itp. Opisuje również zachowania i wypowiedzi innych działaczy związku, które brzmiały jeszcze bardziej agresywnie.

Wreszcie posiedzenie Komisji Krajowej „Solidarności” 11-12 grudnia 1981 roku w Gdańsku. To był dla władz ostatni sygnał. Że nasze obawy nie były bezpodstawne świadczy m.in. fragment opinii prof. Andrzeja Paczkowskiego z książki pt.: „Pół wieku Polski – 1939-1989”, a w nim, iż na posiedzeniu w Gdańsku „przeważały głosy radykalne, nawet desperackie”. Ten kierunek i atmosferę ilustruje w broszurze pt.: „Internowanie” Tadeusz Mazowiecki pisząc m.in.: „Przyjęto uchwałę i oświadczenie do których sześciu z nas (Geremek, Olszewski, Strzelecki, Siła-Nowicki, Macierewicz,

Mazowiecki) zgłosiło w dyskusji na piśmie stanowcze zastrzeżenie, uważając, iż nie należy iść dalej niż uchwały radomskie. Nie zrobiło to większego wrażenia, mimo wszystko uważaliśmy, że należy wykonać swój obowiązek i przestrzec „Solidarność” przed dalszymi krokami, które mogły być przyjęte jako zaostrenie sytuacji”. Podobną opinię sformułowali w książce „Dziennik internowanego” Andrzej Drzycimski i Adam Kinaszewski, jak również w książce „Konspira” inni czołowi działacze „Solidarności”.

Nie chcę sugerować, iż powyższe opinie historyków i działaczy „Solidarności” oznaczają aprobatę dla polityki władz. Są one oczywiście wobec niej krytyczne. Jednakże informacje tam zawarte pozwalają lepiej zrozumieć, że władze miały podstawy do najwyższego niepokoju. Podejmowane decyzje i działania były tego odbiciem.

Była jeszcze jedna niezwyklej wagi okoliczność, a mianowicie sytuacja gospodarcza kraju. A ta była katastrofalna*. Społeczeństwo było nią udręczone. Stopień odpowiedzialności i władzy, i „Solidarności”, to odrębny, wielki temat. Trzeba będzie do niego – wcześniej czy później – wrócić z całą powagą i wnikliwością. Nie obawiam się tej oceny. Postępujący rozkład gospodarki, jej „czarne” prognozy, to przecież jedna z najważniejszych przesłanek decyzji o wprowadzeniu stanu wojennego. Na tę sytuację nałożył się w sposób wręcz szokujący czynnik zewnętrzny. Otóż 10 września 1981 roku z Moskwy, przekazana została władzom polskim zapowiedź drastycznego ograniczenia (od 1 stycznia 1982 roku) dostaw ropy naftowej, gazu ziemnego, oleju napędowego, nafty lotniczej i oświetleniowej, surowców fosforowych, surowców żelaznej, niklu, aluminium, celulozy, bawełny, herbaty itd. Dostawy te miały być zredukowane średnio do 50 i 25%, a w niektórych kategoriach nawet do zera. W tych ograniczeniach znalazły się rodzaje paliw, niezwykle ważnych również dla zdolności bojowej Wojska Polskiego. Nie był to „papierowy tygrys”, o czym świadczy m.in. uzyskany przez Komisję Odpowiedzialności Konstytucyjnej z archiwów post-NRD-owskich dokument – relacja z rozmowy Honeckera z Rusakowem, przeprowadzonej 21 października 1981 roku.

* zał. nr 2.

Ten ostatni m.in. oświadcza: „Tow. Breżniew zupełnie jednoznacznie powiedział, iż Związek Radziecki nie myśli o tym, aby swe cenne surowce oferować krajowi, który wobec nas nie zachowuje się przyjaźnie... Dotychczas nie podpisaliśmy żadnej umowy wstępnej, żadnego protokołu koordynacyjnego i żadnego protokołu handlowego. Musimy odczekać, jak się w samej Polsce sprawy rozwiną”. I rzeczywiście czekano aż do wprowadzenia stanu wojennego. Warto w tym miejscu przytoczyć, co na ten temat powiedział 12 grudnia 1992 roku *Gazecie Wyborczej* Przewodniczący Prymasowskiej Rady Społecznej prof. Stanisław Stomma: „Gdy zastanawiałem się nad sytuacją dochodziłem do wniosku, że niekoniecznie musi grozić militarna interwencja sowiecka. Wystarczyłoby zarządzenie ostrej blokady gospodarczej, ażeby zmusić Polskę do kapitulacji”. Ten wątek niestety nie dociera do świadomości publicznej, jest dziwnie minimalizowany. A co by się stało, gdyby wariant ten został zrealizowany? Kto ponosiłby zarówno polityczną, jak i moralną odpowiedzialność za nieuchronną przecież w środku zimy nie tylko ekonomiczną, ale i biologiczną katastrofę? Za „głód” – bo ten też groził – „chłód i ciemność”? Do jakiego desperackiego wybuchu społecznego – skierowanego już nie tylko przeciwko władzy, ale i opozycji – mogłoby dojść? Kto stałby się wówczas arbitrem, „dobroczyńcą odkręconego kurka”? Na rzecz jakiej ekipy – która zapewniłaby „właściwy kurs” – to by się dokonało? Na ten temat wszyscy osądzający stan wojenny milczą.

W tym miejscu pragnę wrócić do dokumentacji post-radzieckiej, a zwłaszcza do wyjątkowo intensywnie i selektywnie przywoływanych jej fragmentów. Dotyczy to w szczególności „roboczego zapisu” z odbytego 10 grudnia 1981 posiedzenia Biura Politycznego KC KPZR. Byłoby czymś niezrozumiałym, gdyby poważny, obiektywny historyk, polityk, dziennikarz, uznał ten zapis za dający podstawę do odpowiedzialnych ocen. Przecież znajduje się w nim wiele wręcz dziwacznych, bałamutnych, w tym wzajemnie wykluczających się wypowiedzi. O ich niskiej wiarygodności świadczy m.in. fakt, iż kilku uczestników owego posiedzenia dobitnie stwierdza, że Biuro Polityczne KC PZPR podjęło

jednomyślnie decyzję o wprowadzeniu stanu wojennego. A przecież na posiedzeniu tego Biura w dniu 5 grudnia 1981 roku (ostatnie przed 13 grudnia) taka decyzja nie została podjęta. Jak wynika z protokołu, podsumowując decyzję powiedziałem: „Na dzisiejszym posiedzeniu nie podejmujemy ostatecznej decyzji”. Również stenogram z ostatniego przed wprowadzeniem stanu wojennego posiedzenia Rady Ministrów (7 grudnia 1981 roku), zawiera moje podsumowanie, w którym wyrażona jest nadzieja na uniknięcie radykalnych rozwiązań. Jeśli w tak kluczowej sprawie informacje, którymi dysponują członkowie Biura Politycznego KPZR są faktycznie dezinformacjami i w rezultacie przekłamanie zawarte w w/w zapisie jest tak jaskrawe, to co można powiedzieć o innych „rewelacjach”. A w ogóle owo posiedzenie z 10 grudnia wygląda miejscami wręcz jak surrealistyczny spektakl. Oto niektóre przykłady – kuriozalne stwierdzenie Rusakowa: „...o tym, że rząd zamierza wprowadzić stan wojenny ‘Solidarność’ dobrze wie, i ze swej strony robi wszystko, żeby stan wojenny był wprowadzony”. Interpretacja może być bardzo, nawet szokująco różna. Np. taka: „Solidarność” na przełomie listopada-grudnia była przekonana o bezsilności władzy. „Popchnięcie” jej do stanu wojennego dawało więc szansę całkowitego skompromitowania i upadku z „własnej winy”. Jeśli odrzuci się taką interpretację, to czy można przyjmować za dobrą monetę wszystkie inne stwierdzenia? Chociażby wypowiedź Andropowa, który powiada: „Stosunek wobec sytuacji w Polsce formułowany niejednokrotnie przez Leonida Iljicza w jego wystąpieniach powinien – obok obecnej dyskusji – leć u podstaw tej polityki, jaką my prowadzimy wobec Polski”. Tego, jak powszechnie znane wypowiedzi i wystąpienia Breżniewa miały się do tej dyskusji – nie warto chyba komentować. Lub też co mówi Susłow: „Nie wolno nam zmienić stanowiska wobec Polski – stanowiska, które zajęliśmy od początku wydarzeń w tym kraju. Niech polscy towarzysze sami decydują, jakie działania mają podejmować”.

To skrajna obłuda, krętactwo. Przecież właśnie „od początku wydarzeń” trwały nieustanne, powszechnie znane ostrzeżenia, naciski, pogroźki (jednym z przykładów jest

posłanie Breżniewa do mnie, które to samo Biuro Polityczne zatwierdziło 21 listopada 1981 roku). I nagle okazuje się, że ci ludzie, dosłownie z dnia na dzień przeszli na „nowomowę”. Choć po uważnym przeczytaniu protokołu widać, że niezupełnie. Aż kipi tam od niecierpliwości, irytacji, że nie decyduję się na stan wojenny. W tym znamienne są słowa, które wypowiedział Andropow: „Ekstremiści ‘Solidarności’ nadeptują kierownictwu PRL na gardło. Oczywiście w takich warunkach towarzysze polscy muszą szybko szykować się do ruchu ‘x’ i przeprowadzić tę operację. Jednocześnie Jaruzelski oświadcza: zdecydujemy się na operację ‘x’ wtedy, gdy narzuci ją nam ‘Solidarność’. Jest to bardzo niepokojący symptom”. I dalej: „Rozmawiałem wczoraj z Milewskim i zapytałem go kiedy i jakie działania są planowane. Odpowiedział mi, że o operacji ‘x’ i o terminie jej przeprowadzenia nic nie wie. Tak więc wygląda na to, że Jaruzelski ukrywa przed swoimi kolegami plan konkretnych działań, albo po prostu uchyla się od podjęcia tego kroku”. Lub też, co oświadcza z kolei Gromyko: ‘Solidarność’ występuje jako główna organizacja kontrrewolucyjna, która dąży do władzy i otwarcie ogłosiła, że władzę zdobędzie... Mówiliśmy i nadal będziemy mówili polskim przyjaciółom, że należy trzymać się twardego stanowiska i absolutnie nie wolno popadać w rezygnację”. I takie właśnie opinie przede wszystkim do strony polskiej dochodziły.

Wśród oskarżeń tzw. autorów stanu wojennego znajduje się niezmiennie twierdzenie, iż dążyliśmy do wprowadzenia tego stanu z całą determinacją i premedytacją. Że od początku ta decyzja była przesądzona itd. Jak mają się te twierdzenia do owego „roboczego zapisu” z 10 grudnia? Jeśli ktoś odwołuje się do niego, to nie powinien czynić tego selektywnie, a więc tendencyjnie. Po pierwsze, pomijając te fragmenty, które świadczą, iż byliśmy przeciwni wprowadzeniu do Polski obcych wojsk. I po drugie, że w sprawie decyzji o wprowadzeniu stanu wojennego – mimo różnych nacisków – do ostatniej chwili były opory, nadzieje na inne rozwiązanie.

Pierwszym sprawozdawcą-referentem na owym posiedzeniu jest wicepremier Bajbakow, który właśnie wrócił z Polski, gdzie odbył w nocy z 8 na 9 grudnia rozmowę ze mną.

Uczestniczyli w niej także inni przedstawiciele strony polskiej, jak również – co bardzo istotne – Naczelnny Dowódca Zjednoczonych Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego marsz. Kulikow. Bajbakow, jak wynika z „roboczego zapisu”, przedstawił bardzo krytyczną ocenę sytuacji w Polsce, akcentując przy tym nasze postulaty, dotyczące pomocy gospodarczej. Natomiast – jak już wspomniałem – nie ma w jego sprawozdaniu ani słowa o jakiegokolwiek pomocy wojskowej. W tym kontekście znamienna jest wypowiedź Członka Biura Politycznego, ministra obrony ZSRR marsz. Ustinowa: „Kulikow powtórzył to, co zostało powiedziane przez nas i Leonida Iljicza, że Polski w nieszczęściu nie zostawimy. I on doskonale wie, że sami Polacy prosili, aby nie wprowadzać wojsk” (*nota bene* w czasie tej nocnej rozmowy marsz. Kulikow oceniając skrajnie ostro rozwój sytuacji, użył słów, które zabrzmiały złowieszczo „ręka nam nie zadrży”).

Bajbakow był ostatnim z obecnych na tym posiedzeniu – który przed 10 grudnia rozmawiał ze mną. Przedostatni był Breżniew w rozmowie telefonicznej 7 grudnia. Przewodniczył on posiedzeniu i też nie wspominał o jakimkolwiek oczekiwaniu strony polskiej na „pomoc wojskową”. Z nikim z pozostałych uczestników posiedzenia w owych dniach nie rozmawiałem. Nikt zresztą, mówiąc różne, nieraz bardzo dziwne rzeczy, nie twierdził, że rozmawiał ze mną.

Decyzja o wprowadzeniu stanu wojennego zapadła ok. 14.00 12 grudnia, a więc już po telefonicznej rozmowie z Susłowem, o której będzie mowa dalej. Każdy pozbawiony uprzedzeń i jednocześnie logicznie myślący człowiek potrafi odczytać to właściwie. Dlatego też wszystko, co przed tą godziną i datą, to rozpoznawanie sytuacji, wątpliwości, przybliżenia, różne „przymiarki”. Wśród nich przemożne były pytania: Jak długo jeszcze można czekać? Czy i kiedy wydarzenia mogą się wymknąć całkowicie spod kontroli (np. 17 grudnia)? Czy – w sposób żywiołowy lub sprowokowany – może dojść do sytuacji, przypominającej Budapeszt, Węgry 1956 roku? Czy wówczas nie wkroczą? A jeśli my zaczniemy, czy nie wkroczą pod jakimś pretekstem, np. zabezpieczenia strategicznej infrastruktury, ochrony obywateli radzieckich

oraz ich rodzin, wsparcia „prawdziwych polskich komunistów” itp. To wszystko potęgowało dramatyzm owego momentu. Wymagało z naszej strony wielkiej czujności, a przede wszystkim dostrzegania niepokojących faktów, wyjaśniania ich istoty i tendencji. Do tego dochodziło tajemnicze milczenie Amerykanów, którzy od Kuklińskiego – i nie tylko – musieli wiedzieć o zaawansowanych przygotowaniach do stanu wojennego. Nie ostrzegają – to z jednej strony dla nas „wolna ręka”, a z drugiej chyba świadomość, że jeśli nie stan wojenny, to może być skrajnie gorzej.

Niektórzy historycy, a zwłaszcza politycy i publicyści, tak niegdyś nieufni wobec wszelkich radzieckich źródeł, materiałów, publikacji, obecnie często dają im przewagę nad wszelkimi innymi. Dotyczy to jednak głównie przypadków, kiedy ma to świadczyć przeciwko PRL, czy tzw. autorom stanu wojennego. Bo jakże tłumaczyć, iż zupełnie bez echa minęły ważne oświadczenia Michaiła Gorbaczowa. Zaproszony przez Komisję Odpowiedzialności Konstytucyjnej w charakterze świadka nie mógł przybyć osobiście, natomiast przysłał oficjalny list-oświadczenie z 31 sierpnia 1995 roku. Píše w nim m.in. „Mnie jako członkowi Biura Politycznego i sekretarzowi KC KPZR był oczywisty fakt, iż gen. W. Jaruzelski będąc I sekretarzem KC PZPR podejmował wszystkie, leżące w jego możliwościach środki, w celu wyprowadzenia Polski z kryzysu społeczno-politycznego drogą pokojową i dążył do wyłączenia użycia jakiejkolwiek możliwości wykorzystania wojsk państw – członków Układu Warszawskiego do ingerencji w wewnętrzne sprawy kraju (podkreślenie moje – WJ). Dla każdego człowieka bez uprzedzeń rzeczą oczywistą jest to, iż wprowadzenie stanu wojennego w Polsce było uwarunkowane nie tylko narastającym wewnętrznym społeczno-politycznym kryzysem, lecz również ściśle związanym z tym wzrostem napięć w stosunkach polsko-radzieckich. W tych warunkach gen. Jaruzelski był zmuszony wziąć na siebie podjęcie, ze wszech miar trudnej decyzji, która według mojej oceny, była w tym czasie wyborem, można powiedzieć, mniejszego zła... Kierownictwo radzieckie gorączkowo szukało wyjścia pomiędzy dwoma, jednakowo nie do

przyjęcia dla niego, rozwiązaniami: pogodzić się z chaosem panującym w Polsce, niosącym za sobą rozpad całego obozu socjalistycznego (podkreślenie moje – WJ), lub zareagować na wydarzenia w Polsce siłą zbrojną. Jednakowoż funkcjonował, powtarzam pogląd, iż oba rozwiązania są nie do przyjęcia. Tym niemniej, nasze wojska, kolumny czołgów wzdłuż granic z Polską (podkreślenie moje – WJ) jak również dostatecznie silna Północna Grupa Radzieckich Wojsk w samej Polsce – wszystko to, przy jakichś ekstremalnych okolicznościach mogło być uruchomione”. Okazuje się, iż członek Biura Politycznego, co więcej członek tzw. Komisji Susłowa i reagującej na bieżąco na sytuację w Polsce, wiedział o kolumnach czołgów wzdłuż naszych granic, a Naczelnny Dowódca Zjednoczonych Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego marsz. Kulikow – co stwierdził w czasie konferencji w Jachrance – nic o tym nie słyszał.

Z kolei w książce pt.: „Życie i reformy” (Wyd. Nowosti, Moskwa 1995 r. – Rodział 32) – Gorbaczow jeszcze bardziej wyraziście ocenia ewentualność interwencji stwierdzając, iż wojska radzieckie stacjonujące w Polsce oraz wokół jej granic „mogłyby wkroczyć do akcji, gdyby tylko doszło do eskalacji”. A przecież eskalacja trwała, pozostawał tylko problem przekroczenia pewnych jej granic.

Podobnie napisał Gorbaczow w liście do Marszałka Sejmu RP Macieja Płażyńskiego (opublikowała *Gazeta Wyborcza* 5 grudnia 1997 roku). A wszystko to – nie pokątnie, nie prywatnie, ale oficjalnie – oświadcza człowiek o wielkich historycznych zasługach, szanowany w świecie, laureat pokojowej Nagrody Nobla. Co więcej – człowiek, który przełamał 50-letnie radzieckie „tabu”, ogłaszając publicznie, iż zbrodni katyńskiej dokonało NKWD. Przekazał też na moje ręce wykazy zamordowanych oficerów oraz inne materiały. Głos tego człowieka – doskonale znającego realia tamtego czasu, któremu Polska, Europa i świat w znaczącej mierze zawdzięczają doniosłe przemiany – nie spotkał się z zainteresowaniem. Tym bardziej są albo zapomniane, albo zlekceważone wypowiedzi i świadectwa takich ludzi jak: Eduard Szewardnadze, ówczesny zastępca (kandydat) członka Biura

Politycznego KC KPZR (książka pt.: „Przyszłość należy do wolności”, Wyd. Sorbog – 1992 r.); Witalij Swietłow, kierownik sektora do spraw Polski w KC KPZR, tłumacz rozmów Generalnych Sekretarzy od Breżniewa do Gorbaczowa (książka pt.: „Tajemna współpraca” – Wyd. Interster, Warszawa 1993 r.); Władimir Woronkow, wieloletni pracownik sektora do spraw Polski w KC KPZR (artykuł pt.: „Moskiewska gra o Polskę” – w miesięczniku *Woprosy Istorii*, przedrukowany w numerze kwietniowym 1996 roku miesięcznika *Dziś*); generał Wiktor Dubynin, dowódca dywizji pancerniej, a następnie Szef Sztabu Armii Rosyjskiej (wywiady: *Gazeta Wyborcza* 14-15 marca 1992 roku oraz *Nowoje Wriemia* – nr 26 z 1993 r.); gen. Władysław Aczałow, dowódca dywizji powietrzno-desantowej, a następnie wiceminister obrony Rosji (wywiad w gazecie *Siewodnia* 7 lutego 1995 r. oraz *Trybuna* 27 marca 1998 rok). Relacje tego ostatniego są zarówno bardzo konkretne, jak i wręcz szokujące. Otóż mówi on, iż będąc generałem – dowódcą elitarniej dywizji powietrzno-desantowej w Kownie, przybył jesienią 1981 roku do Warszawy. Przebrany w mundur majora łączności, wraz z innymi, w podobny sposób „zdegradowanymi” osobami, rozpoznawał obiekty, a szczególnie wejścia do nich, które w razie interwencji miał – jak powiada – „wziąć pod kontrolę”. Interesujące, iż wśród nich były budynki KC PZPR oraz Sejmu PRL. Na zakończenie mówi: „To, że w 1981 roku zagrożenie interwencją było realne, ja jako jeden z wykonawców tego planu – mówię o tym odpowiedzialnie. Takie plany były opracowywane, takie plany miały być zrealizowane”. Przy okazji warto dodać, iż właśnie ta dywizja w 1968 roku, a więc trzynaście lat wcześniej, lądowała w pierwszym rzucie w Pradze. Jej batalion rozpoznawczy „wziął pod kontrolę” m.in. budynek KC Komunistycznej Partii Czechosłowacji oraz „zatrzymał” Aleksandra Dubczeka.

Najważniejsze były wówczas – nie tylko przez władze, ale i przez „Solidarność” dostrzegane gołym okiem – fakty. Dziś łatwo i chętnie się o nich zapomina. Jeśli mówią one inaczej niż jakieś po latach wyciągnięte dziwne zapisy, to „tym gorzej dla faktów”. Sytuacja w naszym kraju rozwijała się burzliwie i niebezpiecznie. Ocena przyczyn, skutki i odpo-

wiedzialność – to wielki i odrębny temat. W realiach podzielonego antagonistycznie świata, w warunkach narastających wówczas napięć Wschód-Zachód, Polska stawiała się swoistym poligonem politycznej konfrontacji. Geostrategiczne położenie naszego kraju czyniło tę sytuację szczególnie niebezpieczną. Dał temu publiczny wyraz Leonid Breżniew 1 marca 1982 roku. Nawiązując do niedawnych wydarzeń w Polsce oficjalnie oświadczył on: „Gdyby komuniści ustąpili drogi kontrrewolucji, gdyby drgnęli pod wściekłymi atakami wrogów socjalizmu, losy Polski, stabilność w Europie, a również na całym świecie byłyby zagrożone”. To zostało powiedziane „na gorąco”, na początku stanu wojennego. Wymowa była jednoznaczna. Jak do tego publicznego oświadczenia mają się dzisiejsze „rewelacje”. Fakty można by mnożyć w nieskończoność. Przedstawię więc tylko niektóre z obszaru wojskowego. Chociażby takie – że dowódca Zjednoczonych Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego niezwykle często i przez dłuższy czas przebywał wówczas w Polsce; że odbywał wiele spotkań i rozmów – wszystkie w krytyczno-ostrzegawczej tonacji; że zostały stworzone i działały aż do końca 1981 roku dwa specjalne sztaby operacyjne (Legnica – dowódca gen. Tiereszczenko; Rembertów – dowódca gen. Miereżko); że rozbudowywane były na terenie Polski dodatkowe systemy łączności troposferycznej i radioliniowej; że trwała „krzątania” w granicznych rejonach przeładunkowych; że funkcjonował swego rodzaju most powietrzny, którym przerzucane były do garnizonów Północnej Grupy Wojsk dodatkowe, mobilne siły, w tym specjalnego przeznaczenia. Miała miejsce również działalność „podskórna”, różne potajemne działania prowadzone przez stronę radziecką i częściowo NRD-owską, w określonych kręgach, nie pomijając Wojska. Było ponadto mnóstwo innych faktów. O wielu z nich mówili świadkowie, zeznający przed Komisją Odpowiedzialności Konstytucyjnej – co jest zaprotokołowane i dostępne. Istnieją również interesujące, wielce znamienne dokumenty. Niestety ani politycy, ani dziennikarze oraz w większości historycy do materiałów tych nie sięgają.

Przełom listopada-grudnia 1981 roku przyniósł kolejne

niepokojące zjawiska. Ograniczę się do dwóch, mniej znanych.

W trzeciej dekadzie listopada nastąpiło załamanie dostaw ropy i benzyny. Jak referował na posiedzeniu Rady Ministrów w dniu 7 grudnia (ostatnie przed wprowadzeniem stanu wojennego), minister handlu zagranicznego Tadeusz Nestorowicz (w archiwum jest stenogram) wszelkie interwencje u władz radzieckich w tej sprawie były bezskuteczne. To było ostrzeżenie i jednocześnie przedsmak tego co oczekiwałoby Polskę, gdyby od początku 1982 roku nastąpiło zapowiedziane, gwałtowne obniżenie dostaw podstawowych surowców i materiałów.

Na przełomie listopada-grudnia nastąpiły znamienne zakłócenia na kolejowych stacjach granicznych z ZSRR. Setki pociągów, tysiące wagonów całymi dniami oczekiwały na przejazd. Interwencje ze strony polskiej nie dawały rezultatów (dowody w postaci codziennych meldunków dyżurnej służby operacyjnej rządu tzw. DYSOR, były do dyspozycji Komisji Odpowiedzialności Konstytucyjnej.)*

Dziś, z perspektywy czasu bywa zadawane pytanie – czy to wszystko nie był po prostu blef, wywieranie presji, w tym ekonomicznej, ażeby bez bezpośredniego własnego udziału wymusić na władzach polskich nadzwyczajne działania. Jeśli jednak rzeczywiście był to blef – to był on genialny. Bowiem nie tylko władze polskie, ale wszystkie wywiady i politycy świata uważali, iż Związek Radziecki z procesem podważania pryncypiów ustrojowych oraz postępującym chaosem się nie pogodzi. Potwierdzają to także dobitnie, ujawnione na użytek naukowo-historycznej konferencji w Jachrance, archiwalne dokumenty z USA (oceny, sprawozdania, raporty: CIA, wywiadu wojskowego, Departamentu Stanu, Ambasady USA w Warszawie). Są to bardzo obszerne materiały. Przytoczę więc jedynie część tych, które dotyczą przełomowej fazy wydarzeń w Polsce.

Ocena wywiadowcza Agencji Wywiadu Departamentu Obrony USA z 4 listopada 1981 roku: „Jaruzelski był znany jako zwolennik dialogu z ‘Solidarnością’, ale ze względu na jego umiarkowanie, popadł w niełaskę pewnych frakcji w Si-

* zał. nr 3.

łach Zbrojnych. Jego twardsza pozycja mogła być spowodowana: wzmożonym naciskiem politycznym i ekonomicznym Sowietów; wynikami Zjazdu 'Solidarności'; falą dzikich strajków po zakończeniu Zjazdu 'Solidarności'; grożącymi strajkami regionów; nacjonalistycznym pragnieniem uratowania Polski od radzieckiej interwencji; presją polskiej hierarchii wojskowej na większą skuteczność w postępowaniu z 'Solidarnością'... Apel Sejmu do pracujących o zaniechanie strajków został wzmocniony przez zapowiedzi Jaruzelskiego, że sięgnie po ostrzejsze środki, jeśli apel też nie poskutkuje... Jeśli Krajowa Komisja Koordynacyjna 'Solidarności' nie zdoła opanować działaczy lokalnych – niektórzy z nich strajkują o byle co – a niedobór żywności i paliwa będzie trwać nadal, Polskę czekają tej zimy silne niepokoje społeczne, które prawdopodobnie spowodują wprowadzenie w tej, czy innej postaci stanu wojennego”.

Bardzo znamienity jest Raport o sytuacji w Polsce z 12 czerwca 1982 roku. Ogólna konkluzja, że sytuacja w Polsce stabilizuje się, następuje poprawa sytuacji gospodarczej. Natomiast we wstępie do tego dokumentu zawarta jest ocena jak doszło do stanu wojennego:

„– partia straciła znaczną część wpływów i nie była w stanie panować nad sytuacją;

– kraj pogrążał się w gospodarczym chaosie;

– w 'Solidarności' nastąpiło znaczne osłabienie sił umiarkowanych oraz znaczne wzmocnienie radykałów. Coraz bardziej powszechne w 'Solidarności' były żądania obalenia systemu, w tym wolnych wyborów. W dłuższej perspektywie oznaczałoby to podważenie systemu komunistycznego w całym Układzie Warszawskim.

Główne zainteresowanie Moskwy sprowadzało się do utrzymania PRL, jako członka Układu Warszawskiego oraz dominującej pozycji partii wewnątrz Polski, przy jednoczesnym zminimalizowaniu bezpośredniego, otwartego zaangażowania ZSRR. Jednakże w wyniku prowadzonych analiz Związek Radziecki podjąłby każdą decyzję, jaką uznałby za konieczną, włącznie z użyciem sił wojskowych, ażeby zapewnić utrzymanie przez polski rząd kontroli nad sytuacją”.

Podobne były publikowane opinie mężów stanu tej

miary, jak prezydent Francji François Mitterrand, kanclerz RFN Helmut Schmidt, premierzy: Austrii – Kreisky, Grecji – Papandreu, Kanady – Trudeau, sekretarz stanu USA Aleksander Haig i wielu innych. Warto zacytować również Jana Nowaka Jeziorańskiego, który w londyńskim *Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza* 12 grudnia 1992 roku pisze: „Zgodnie z prawami każdej rewolucji – wzbierająca fala parła do przodu, aż do zwycięstwa. W rok później, w końcu 1981 roku, mogła ją powstrzymać już tylko sowiecka inwazja, albo użycie sił własnych. Dopiero na jesieni 1981 roku, to drugie rozwiązanie stało się istotnie mniejszym nieszczyściem”.

Jednakże jeśli nawet to był błąd, to tylko do pewnej granicy. Wielokrotnie oświadczałem, że wkroczenie do Polski to był dla ZSRR „czarny scenariusz”. Oni niewątpliwie tego nie chcieli, ale w określonej sytuacji by mogli, a nawet musieli. Bowiem jeszcze czarniejszy byłby taki rozwój wydarzeń, który doprowadziłby do wybuchu, do konfrontacji i destabilizacji, naruszającej równowagę sił i podstawowe strategiczne interesy bloku. (*Nota bene* nieprzypadkowo Ustinow 10 grudnia powiedział: „Jeżeli chodzi o nasze garnizony w Polsce, to my je wzmacniamy”). Można do tego dodać, iż garnizony te już od dłuższego czasu aż „puchły” od dodatkowych posiłków.

Taka skrajnie napięta sytuacja w ostatnich kilku tygodniach 1981 roku stanęła u progu.

I po drugie – gdyby w Polsce miało dojść do takich przeobrażeń, które oznaczałyby zasadniczą zmianę systemu, nieuchronnie zagrażającą jego blokowej spoistości i tożsamości, byłoby to już destrukcyjne dla Układu Warszawskiego, dla interesów Związku Radzieckiego, dla ustroju. W tamtym czasie było to nie do pomyślenia. Przecież sam Zbigniew Brzeziński jeszcze w 1987 roku, a więc już w okresie zaawansowanej *pieriestrojki*, pisał w książce pt. „Plan gry”: „Panowanie nad Polską jest dla Sowietów kluczem do kontrolowania Europy Wschodniej... Geostrategiczne położenie Polski wykracza poza fakt, że leży ona na drodze do Niemiec. Moskwie potrzebne jest panowanie nad Polską również dlatego, że ułatwia kontrolę nad Czechosłowacją i Węgry, oraz izoluje od zachodnich wpływów nierosyjskie narody

Związku Radzieckiego. Bardziej autonomiczna Polska podawałaby kontrolę nad Litwą i Ukrainą... 37-milionowa Polska jest największym krajem Europy Wschodniej pod panowaniem sowieckim, a jej Siły Zbrojne stanowią największą nie-sowiecką armię Układu Warszawskiego. Ta pozycja kosztuje Moskwę dużo, ale jeszcze kosztowniejsze byłoby jej poniechanie”.

Tę świadomość miały polskie władze. Jednocześnie wiedziały, iż nie tylko bezpośrednia interwencja, ale też jakiegokolwiek pośrednie zaangażowanie obcych wojsk, oznaczałoby nie po prostu stan wyjątkowy, noszący nazwę stanu wojennego, a faktycznie konflikt wojenny, ze wszystkimi tego międzynarodowymi konsekwencjami. Przecież jest oczywiste, iż musiałoby dojść do oporu na skalę znanego patriotyzmu i temperamentu Polaków. Że doszłoby – jeśli nie do przeciwstawienia się siłom obcym całego Wojska, to co najmniej do podziału w nim – do wręcz niewyobrażalnej, krwawej walki wewnętrznej. Że wreszcie każdy kto spowodowałby, czy godziłby się na taką „pomoc” zapłaciłby za to nie tylko hańbą, ale i głową – i to już w ciągu „pierwszych pięciu minut”. Jeśli nic innego, to niech chociaż ta brutalna logika przemówi.

Co więc należało robić w ówczesnym wirze wydarzeń. Widać było wyraźnie, że kierownictwo radzieckie, zwłaszcza „establishment” wojskowy, że również inne państwa bloku, zwłaszcza NRD oraz Czechosłowacja, stwarzają fakty, które w określonej sytuacji mogą przerodzić się w interwencję. Jednocześnie wiedzieli oni, iż dla strony polskiej sprawą fundamentalną jest rozwiązanie naszych wewnętrznych konfliktów we własnym zakresie, własnymi siłami. Podkreślaliśmy to wręcz obsesyjnie, publicznie i we wszystkich, w tym najwyższych, decyzyjnych – państwowych, partyjnych i wojskowych – gremiach. Posiedzenie Biura Politycznego KC KPZR 10 grudnia ewidentnie potwierdza, iż nie wierzone nam (oceniano podejrzliwie nasze intencje i zamiary). Z kolei my nie wierzyliśmy im. Reszta, to jak postępować, ażeby osiągnąć założone cele. W naszym wypadku to możliwość suwerennego podjęcia decyzji i własnej jej realizacji. Cel ten osiągnęliśmy. Gdybym powiedział to dopiero obecnie – już po przekazaniu

tw. Archiwum Susłowa, czy po „rewelacjach” Bukowskiego – można byłoby mówić o spóźnionej obronie, usprawiedliwianiu się *ex post* itp. Otóż nie. Przypominam od dawna, iż w przywoływanym wciąż, głównie jednym tylko dokumencie z tw. Archiwum Susłowa (roboczy zapis z posiedzenia Biura Politycznego KC KPZR z 10 grudnia 1981 roku), cytaty dobierane są selektywnie, z określoną tendencją. Natomiast z reguły pomija się i przemilcza takie stwierdzenia jak – Ruskowa: „Jaruzelski nas zwodzi” (w rosyjskim oryginale – *wodit nas za nos*). Lub też, co mówi Susłow: „Jaruzelski wykazuje pewną chytrą. Za pomocą próśb kierowanych do Związku Radzieckiego, chce stworzyć dla siebie alibi. Tych próśb, rzecz jasna, my fizycznie nie jesteśmy w stanie spełnić, to też Jaruzelski później powie, że przecież zwracałem się do Związku Radzieckiego, prosiłem o pomoc, ale tej pomocy nie dostałem. Równocześnie Polacy oświadczają wyraźnie, że są przeciwni wprowadzeniu wojsk. Jeżeli wojska wkroczą, będzie to oznaczać katastrofę”. To zresztą koresponduje z zacytowanym już wcześniej stwierdzeniem Ustinowa: „...sami Polacy prosili, aby nie wprowadzać wojsk”. I dalej zacytuję przykładowo relacje opublikowane 12 grudnia 1992 roku – a więc już sześć lat temu – na łamach *Gazety Wyborczej*:

JARUZELSKI: – „ Ciężył nam czynnik zewnętrzny, ale nigdy nie wysuwam go na pierwszy plan. Rachunek sumienia trzeba zawsze zaczynać od siebie. Dziś osądzani są ci, którzy oddali władzę. A przecież zarówno ówczesna władza, jak i ówczesna opozycja powinny posypać głowę popiołem. W zaostrażającej się sytuacji międzynarodowej nasza polska bijatyka była igraniem z ogniem. Rozmowy z przedstawicielami Kremla były dla nich częstokroć badaniem skuteczności ich nacisku; dla nas – ich skłonności do interwencji. Było to wzajemne sondowanie, w jakimś sensie obustronna gra. Mieliśmy wciąż wrażenie, że jakieś karty mają ukryte”.

Jaruzelski spotkał się 12 grudnia o godz. 9.00 z generałami: Czesławem Kiszczakiem, Florianem Siwickim i Michałem Janiszewskim.

JARUZELSKI: – „W moim gabinecie oceniliśmy sytuację. Doszła do krawędzi. Wiedzieliśmy, że jeśli obrady w Gdańsku nie przyniosą cienia nadziei, pozostanie tylko wybór mniejszego zła. Siwicki, który był wciąż pod przygniatającym wrażeniem rozmów 4 grudnia w Moskwie, zapytał: ‘A jaka jest gwarancja, że jeśli nawet my rozpoczniemy akcję, to nie wejdą?’ W obecności generałów próbowałem połączyć się z Breżniewem. Poproszono Michaiła Susłowa. Był mało komunikatywny, chyba już ciężko chory, zresztą za miesiąc zmarł. Zapytałem, czy jeśli wprowadzimy stan wojenny, to będzie nasza wewnętrzna sprawa. Odpowiedział: ‘Tak’. ‘A jeśli sytuacja się skomplikuje?’ – spytałem (pamiętałem nigdy nie odwołane słowa Breżniewa: *‘Jesli budiet usložniasja, wajdiom’*, jak i wciąż powtarzane: *‘my Polshi nie ostawim w biedie’*). Istotą odpowiedzi Susłowa było: Przecież zawsze mówiliście, że własnymi siłami zawsze dacie sobie radę”. To było wiele, ale przecież nie wszystko. W Bratysławie, w sierpniu ‘68 były nawet „uściski” Breżniewa z Dubczkiem, a wiemy, jak za dwa tygodnie to się skończyło. Musieliśmy więc przede wszystkim obserwować niepokojące fakty i sygnały od których było aż gęsto.

W nawiązaniu do powyższego należy przytoczyć fragment książki gen. Witalija Pawłowa pt.: „Byłem rezydentem KGB w Polsce”. Pisząc o mojej telefonicznej rozmowie z Susłowem stwierdza on, iż Susłow: „potwierdził wówczas, że Związek Radziecki nie będzie bezpośrednio mieszać się do polskich spraw i że w żadnym wypadku nie skieruje do Polski swoich wojsk, czym – wydaje się – uspokoił Jaruzelskiego”. „Uspokoił”, a więc przyznaje, że były powody do niepokoju.

Mówienie po latach, iż nie tylko interwencja nie groziła, ale nawet strona polska o „bratnią pomoc” prosiła i jej oczekiwała, to już nie tylko kłamstwo – to również szyderstwo ze zdrowego rozsądku, robienie „głupców” nie tylko z Polaków, ale i z polityków i wojskowych innych krajów, którzy zgodnie z brutalną logiką podzielonego wówczas świata mieli uzasadnione przekonanie, iż interwencja jest realna, a w określonej sytuacji nawet nieuchronna.

Żaden odpowiedzialny polityk nie może oceniać sytuacji statycznie – „nigdy nie powie nigdy”. Zagrożenie to nie me-

teor. Dziś jest tak, a jutro może być inaczej. Zmiany w sytuacji wewnętrznej i międzynarodowej mogą w każdej chwili przynieść różne rozwiązania. Decyzja podjęta w dniu X, może być zrewidowana w dniu Y. Znane jest przecież dobrze falowanie, zmienność ocen, a co za tym idzie i decyzji podejmowanych wobec Węgier, Czechosłowacji, Afganistanu. Warto też pamiętać, jak rodziły się decyzje o różnych działaniach interwencyjnych, podejmowanych przez państwa zachodnie. W tym miejscu można przytoczyć słowa Jerzego Kropiwnickiego – jednego z czołowych działaczy – wypowiedziane na Konferencji programowej „Solidarności”, która odbyła się w Łodzi w dniach 4-5 lipca 1981 roku: „Kwestia wkroczą, czy nie wkroczą to jest problem, który możemy sprawdzić tylko empirycznie. I jest to kwestia oceny ryzyka – bo póki nie wkroczą, będziemy mogli zawsze mówić, że nie wkroczą. A jak już wkroczą, to będzie za późno, żeby cokolwiek mówić”.

Świadomość historycznych doświadczeń m.in. potęgowało skierowane do mnie (znajduje się w tzw. Archiwum Susłowa) pisemne pismo Breżniewa, zatwierdzone na posiedzeniu Biura Politycznego KC KPZR 21 listopada 1981 r., a więc zaledwie na trzy tygodnie przed wprowadzeniem stanu wojennego. Pisze on: „Nie ma dnia, aby liderzy ‘Solidarności’, kontrewolucjoniści, nie wygłaszali różnych otwarcie podlegających przemówień, skierowanych przeciwko PZPR i socjalizmowi, wzbudzających namiętności nacjonalistyczne. Bezpośrednim skutkiem tej wrogiej działalności jest niebezpieczny wzrost antysowietyzmu w Polsce... Jak daleko można iść drogą porozumień bez groźby utraty kontroli nad sytuacją? Przecież przeciwnicy klasowi z pewnością spróbują nadać ‘Frontowi Porozumienia Narodowego’ taką treść polityczną, która umacniałaby ich ideę, jako minimum podział władzy pomiędzy PZPR, ‘Solidarnością’ i Kościołem, z idącym w ślad za tym demontażem socjalizmu... Nie jesteśmy przeciwni porozumieniom, ale nie powinny one zawierać ustępstw względem przeciwników socjalizmu... Teraz jest absolutnie jasne, że bez zdecydowanej walki z przeciwnikiem klasowym niemożliwe jest uratowanie socjalizmu w Polsce. Jasne jest, iż wszelkie działania przeciwko nieza-

chcianym komunistom byłyby dla PZPR samobójcze. Tak samo jasne, że dopóki nie pozbędziecie się rewizjonistów, również w kierownictwie partyjnym, będą oni ciężkim balastem u waszych nóg”.

Takie właśnie „rady” i ostrzeżenia – przy tym jeszcze wzmacniane w bezpośrednich rozmowach przez partyjnych, państwowych i wojskowych przedstawicieli ZSRR oraz innych państw bloku – dominowały. Jakże różnią się one od tych głosów na posiedzeniu Biura Politycznego 10 grudnia. Tam – o czym dowiadujemy się po kilkunastu latach – pada nawet brzmiały jak kiepski żart, odosobniony co prawda, głos Andropowa: „Nie wiem jak będą wyglądały sprawy z Polską, ale jeżeli nawet Polska znajdzie się pod władzą ‘Solidarności’, to będzie jedna strona sprawy”. Do nas nigdy nie dotarł nawet cień, nawet okrucieństwo tego rodzaju „rewelacji”. Nas oficjalnie ostrzega się nawet przed podzieleniem się władzą, już nie mówiąc o innych mocnych słowach. Wszystkie oświadczenia, publikacje, wypowiedzi ze strony ówczesnych sojuszników – aż kipiały od najcięższych oskarżeń pod adresem „Solidarności” i jednocześnie krytyki wobec władz polskich za ich miękkość i uступliwość. I właśnie tego typu tonacja wyłącznie do nas docierała.

Przytoczone wyżej pismo Breżniewa określa wyraźnie „barierę”. Stanowi także jednoznaczny ostrzeżenie. Kto w tamtych czasach – w poczuciu odpowiedzialności za kraj – mógł ją zlekceważyć? Byłoby karygodną, wręcz zbrodniczą naiwnością i beztroską niebranie pod uwagę zarówno historycznych doświadczeń, jak też całej gęstwy okoliczności i faktów. W imię nadrzędnych racji, w imię bezpieczeństwa Polski, nie wolno było – w nieskończoność przeciągać struny. Wręcz przeciwnie – elastyczność, formalne gesty i sojusznicze deklaracje wobec „starszego brata” – używałem ich celowo również osobiście – stały się atutem w grze o czas, o własne, choć bolesne rozwiązanie. Tym bardziej, iż temperatura społeczno-politycznych napięć wciąż rosła. Nad dynamiką wydarzeń praktycznie już nikt nie panował. Zbliżał się niezwykle groźny próg – zapowiedziane na 17 grudnia wieczorem w Warszawie oraz kilku innych dużych miastach,

wielkie demonstracje protestu. W ówczesnej, pulsującej ostrymi antagonizmami, Polsce mogłoby to przerodzić się, doprowadzić do wybuchu, do konfrontacji.

Tu dochodzę do miejsca, w którym można i trzeba zdecydować i skonfrontować szereg przedstawionych wcześniej wątków. Przede wszystkim zaś wykazać, jak dramatyzm ostatnich miesięcy, tygodni i dni przed wprowadzeniem stanu wojennego interpretowany jest nierzadko – a ostatnio ze szczególnym nasileniem – koniunkturalnie, płytko, bałamutnie. W okresie tym – z jednej strony zaostrzał się wielowymiarowo kryzys i konflikt wewnętrzny (prof. Andrzej Paczkowski – we wspomnianej już książce powiedział obrazowo: „Spirala delegitymizacji władzy rozkręcała się”). Z drugiej zaś strony mnożyła się niepokojąco ilość faktów i symptomów zewnętrznego zagrożenia. O tych najbardziej wyraźnych, namacalnych – zwłaszcza w sferze wojskowej – była już mowa. Podobnie o perspektywie ekonomicznego „nokautu”, która zarysowała się z całą grozą. Natomiast trzeba przypomnieć jak ostro zarysował się problem – nazwijmy ogólnie – antysowiecizmem. Takie nastroje oczywiście były i nasilały się. Miały również miejsce różne ekscesy. Reakcje strony radzieckiej były niezwykle nerwowe, nieraz nadproporcjonalne w stosunku do rzeczywistego wymiaru zjawiska. W pewnym stopniu należało to rozumieć, gdy było emocjonalnym odruchem na słowa i fakty raniące wojenną pamięć (np. marsz. Kulikow, jako Szef Sztabu brygady pancерnej uczestniczył w walkach o Gdańsk), czy też deformujące wiedzę o rzeczywistych relacjach gospodarczych (w latach 1980-1981 otrzymaliśmy znaczną radziecką i częściowo NRD-owską pomoc). Z drugiej jednak strony reakcje te stały się narzędziem presji na władze polskie „tolerujące” ten stan rzeczy. Były więc wielokrotnie w najróżniejszych formach wyrażanym, poważnym ostrzeżeniem. W owym klimacie każda – obojętnie z jakiej strony pochodząca – prowokacja, mogła przynieść nieobliczalne następstwa.

Wcześniejsze obszernie wywody były konieczne, ażeby przedstawić szersze tło, najróżnorodniejsze uwarunkowania i okoliczności, ten „diabelski splot”, w kontekście którego dopiero można mówić poważnie o finalnym etapie, o kluczowym problemie rozwiązania własnymi siłami. Mówiąc

obrazowo – siedzieliśmy na wulkanie. Do porozumienia nie doszło. Dlaczego? Każda strona ma inne zdanie. Trudno w niniejszym tekście temat ten rozwinąć. Faktem jest, iż w pierwszej dekadzie grudnia kryzys wszedł w kulminacyjną fazę. Pozostało albo czekać – na to co dalej? Albo wprowadzić stan wojenny*. Czekać dalej byłyby żywiołowo i lawinowo toczące się wydarzenia aż do jakiejś formy zamieszek o nieobliczalnych konsekwencjach, do bratobójczego konfliktu, do ostatecznej katastrofy gospodarczej, wreszcie do interwencji. O tym, że nie są to słowa „na wyrost”, że nie jest to demonizowanie sytuacji przez władzę, niech świadczy charakterystyczny fragment komunikatu ze znającej niewątpliwie bardzo dobrze nastroje społeczne, 181 Konferencji Episkopatu Polski z 25-26 listopada 1981 roku: „Kraj znajduje się w obliczu wielkich niebezpieczeństw. Przemieszczają się nad nim ciemne chmury, grożące bratobójczą walką”. (podkreślenie moje – WJ.) Kościół – jak wiadomo – dawał „Solidarności” duchowe – i nie tylko – wsparcie. Chronił ją, bronił, ułatwiał przetrwanie. Potrafił jednak również obiektywnie, krytycznie odnieść się do pewnych zachodzących w niej procesów i zjawisk. Znalazło to m.in. wyraz na posiedzeniu Komisji Wspólnej Rządu i Episkopatu w dniu 18 stycznia 1982 r., której współprzewodniczyli Kazimierz Barcikowski i kardynał Franciszek Macharski. Jak wynika z protokołu – (Wyd. Aneks: „Tajne dokumenty Państwo-Kościół 1980-1989”) – strona kościelna wówczas stwierdziła: „Nie negujemy, że po stronie działaczy ‘Solidarności’ nie było wyrobienia politycznego, siły ekstremalne opanowały ją”. Dalej powołując się na Lecha Wałęsę oświadczone: „przyznaje on, że Związek popełnił wiele błędów, że w końcowej fazie nie był już w stanie opanować całości”. Trudno się dziwić, iż władza mogła to widzieć jeszcze ostrzej.

Stan wojenny został wprowadzony. Prof. Jerzy Holzer w podręczniku pt. „Polska 1910-1981” pisze „Władze komunistyczne podjęły kotrofensywę” – a więc logiczny wniosek, iż przed tym były one w defensywie. Przy tym kardynalnym warunkiem – jeszcze raz stanowczo stwierdzam

* zał. nr 4.

– było zrealizowanie go własnymi siłami. Insynuacje o innym rozwiązaniu odrzucam z oburzeniem*. Wszelkie spekulacje, manipulacje, „preparaty” są pozbawione elementarnej logiki. Nie chcę, aby mnie, innym osobom uczestniczącym w procesie podejmowania decyzji oraz realizacji stanu wojennego, wierzono „na słowo”. Kto zechce obiektywnie, bez uprzedzeń skonfrontować, przeanalizować, ocenić – ale kompleksowo, łącznie zarówno dostępną obecnie dokumentację, jak i niezbite fakty – ten uzyska prawdziwą odpowiedź. Dlatego też jeszcze raz powtarzam i każdy trzeźwo myślący człowiek to przyzna: udział obcych wojsk w polskim dramacie uczyniłby z niego krwawą tragedię o wymiarze już nie stanu wojennego, lecz w istocie wojny.

Niedawno bawił w Polsce Władimir Bukowski, traktowany przez liczne mass media niemal jak „wieszcz”. Oczywiście wówczas kiedy gromił „komunę” i „demaskował Jaruzelskiego. Ja natomiast chcę zacytować słowa z jego książki pt.: „Moskiewski proces”, kiedy mówi on o przewidywanych skutkach interwencji radzieckiej: „Doskonale wyposażona i wyszkolona półmilionowa armia polska, w odróżnieniu do swych czeskich kolegów sprzed dwunastu lat, na pewno nie zachowałaby się neutralnie, (a tym bardziej nie podporządkowałaby się PZPR). Co zaś do reakcji ludności, wróżby były zupełnie zbyteczne. A więc chodziło o wojnę w środku Europy z trzydziestopięciomilionowym narodem, znanym ze swego uporów, o partyzantkę na całe dziesięciolecie, o setki tysięcy ofiar”. Ten wątek entuzjaści Bukowskiego znamienne przemilczeli. Nic dziwnego – przecież z niego wynika jasno, co mogłoby oznaczać wprowadzenie do Polski – obojętnie w jakiej formule – niosących „bratnią pomoc” interwencyjnych wojsk. Kto więc na nią liczył, byłby poza wszystkim innym przede wszystkim skrajnym samobójczym głupcem.

Zacznijmy od elementarnej logiki. Zadajmy kluczowe pytanie – po co miano by liczyć, czy zabiegać o ową „pomoc”?!

Ocena sytuacji w ostatnich miesiącach i tygodniach 1981

* zał. nr 5.

roku wskazywała, iż udręka zaopatrzeniowa, anarchizacja życia, gwałtowny wzrost przestępczości, powodują skrajne zmęczenie społeczeństwa i oczekiwanie na jakiś przełom. Można powiedzieć – sytuacja dojrzała psychologicznie. Ważnym symptomem było tylko częściowe powodzenie powszechnego strajku ostrzegawczego w dniu 28 października 1981 roku. Z powyższego oczywiście nie wynika, iż sytuacja rozładowałaby się sama. Bowiem równolegle ze zmęczeniem społeczeństwa następowała radykalizacja nurtów ekstremalnych. Karierę robiła nazwa „samoograniczająca się rewolucja”. Jej filozofię niwelowała jednak „samonapędzająca się dynamika”. Każda bowiem rewolucja ma spontaniczne podłoże i spontaniczne źródła siły. Każda ma tendencję do radykalizacji, do sięgania po więcej. „Solidarność” w sierpniu-wrześniu 1980 deklarowała się jedynie jako niezależny związek zawodowy, gotowy szanować zasady ustroju i konstytucji. Jesienią 1981 roku to było już *de facto* zwalczanie tej konstytucji oraz w różnej formie atakowanie, a nawet sięganie po władzę. Przy tym ów radykalizm „Solidarności” paradoksalnie sumował się, z popieranymi z zewnątrz, redutami skostnienia w szeroko pojętym obszarze władzy, tworząc „mieszankę” szczególnie niebezpieczną. Tym bardziej więc wzmagaly się lęki społeczeństwa, gotowość znacznej jego części do pogodzenia się z każdym rozwiązaniem, które przewycięży stan niepewności, oddali groźbę wybuchu i konfrontacji. Wszystko to zresztą znalazło potwierdzenie w ograniczonych akcjach strajkowych po wprowadzeniu stanu wojennego. Ocena więc była prawidłowa.

Niezwykle ważnym czynnikiem była kondycja Wojska, jego poczucie państwowej, patriotycznej odpowiedzialności. Wyraźne było, coraz powszechniejsze – o czym już wspominałem wcześniej – oczekiwanie, niecierpliwość, wręcz domaganie się radykalnych rozwiązań. Potwierdzają to m.in. przytoczone wyżej dokumenty amerykańskie. Co miało jednak znaczenie decydujące? Jak wykazały badania opinii publicznej, zaufanie społeczeństwa do Wojska osiągnęło w listopadzie 1981 roku – rekordowe 93%. Ten obraz potwierdziło życie. Wojsko Polskie realizowało zadania stanu wojennego sprawnie i bez wahań. Nie znam przypadku

odmowy wykonania rozkazu. Co więcej – istnieje regulaminowa zasada, iż jeśli podwładny ma wątpliwości, przełożony zobowiązany jest potwierdzić rozkaz na piśmie. Takich przypadków też nie znam. Jakże to się zasadniczo różni chociażby od sytuacji w maju 1926 roku. Jak z powyższego wynika, wprowadzenie stanu wojennego to nie była loteria, igranie z losem, liczenie i oczekiwanie na coś, czy na kogoś. Był to realistyczny rachunek konieczności i możliwości.

Wreszcie jeszcze jedna okoliczność. W ramach realizacji stanu wojennego użyte zostały znaczne masy wojsk i sprzętu, w tym ponad 1800 czołgów, ok. 4000 wozów bojowych piechoty i transporterów opancerzonych, wiele ciężkiej broni. Z tego zaledwie niewielka część weszła do miast, głównie w celach demonstracyjno-ochronnych. I to zupełnie wystarczyło. Zdecydowana większość znajdowała się w rejonach ześrodkowania, przy tym nie bez powodu pokrywających się z tymi, a więc w istocie blokującymi te, w których Sztab Generalny Armii Radzieckiej planował w grudniu 1980 roku rozmieszczenie interwencyjnych dywizji. Co więcej – wyszły na polowe – zapasowe stanowiska dowództwo i sztab Frontu Polskiego oraz Sztaby Armii wydzielone z Warszawskiego, Pomorskiego i Śląskiego Okręgów Wojskowych (nie trzeba być strategiem i specjalistą wojskowym, ażeby odczytać to logicznie i właściwie). Była to więc swoista demonstracja, iż siły własne są wystarczające dla sprostania każdej sytuacji. I to było nasze niezmiennie przekonanie. I tak się stało. Takie są fakty. Co może od nich liczyć się bardziej? Ale warto przywołać jeszcze jeden akcent. Wiceministrem obrony narodowej PRL i jednocześnie Zastępcą Naczelnego Dowódcy Zjednoczonych Sił Zbrojnych Układu Warszawskiego był gen. Eugeniusz Molczyk. Z tego też tytułu – kontakty z marsz. Wiktozem Kulikowem miał najbardziej naturalne, a jego wiedza o zamierzeniach i działaniach ówczesnych sojuszników musiała być największa. Gen. Molczyk w dniu 6 czerwca 1995 roku składał jako świadek zeznania przed Komisją Odpowiedzialności Konstytucyjnej. Był uprzedzony, iż zgodnie z artykułem 247 kodeksu karnego, za złożenie fałszywych zeznań oraz zatajenie prawdy, grozi odpowiedzialność karna

do pięciu lat pozbawienia wolności. Pytania zadane mu przez posła Jacka Taylora:

Pytanie: – *Co znaczy zastąpienie wojsk Układu Warszawskiego własnymi wojskami?*

Odpowiedź: – „Plan ten zawierał następujące główne tezy. Według koncepcji Układu Warszawskiego, Warszawę miały otoczyć 3 lub 4 dywizje radzieckie, w tym jedna dywizja powietrzno-desantowa oraz 2-3 dywizje pancerne itp. Podobne operacje miały mieć miejsce w głównych ośrodkach kraju. Były to straszne zamiary. Wprowadzenie do Polski wojsk Układu Warszawskiego, tj. wojsk radzieckich, niemieckich i czeskich, mogło oznaczać wszystko co najgorsze. Przejęcie tych zadań przez Wojsko Polskie oznaczało opanowanie sytuacji naszymi polskimi rękoma, co też zostało uczynione”.

P.: – *Czy w grudniu istniała jakaś obawa, czy niepokój o to, że jeśli wykonanie stanu wojennego napotka na trudności, jeśli np. odbyłby się duży strajk generalny, czy pracownicy kluczowych zakładów pracy zabarykadowali się i polskie siły zbrojne oraz milicyjne nie umiałyby sobie poradzić z sytuacją, czy istniał wtedy jakiś plan sięgnięcia do pomocy interwencji z zewnątrz?*

O.: – „Groźba takiej interwencji istniała przez cały czas”.

P.: – *Czy także w grudniu 1981?*

O.: – „Oczywiście, że tak”.

P.: – *A czy plan przewidywał, że jeśli rodzime wojska nie dadzą sobie rady z sytuacją, to obce wojska im pomogą?*

O.: – „Taki plan nie istniał, w każdym razie mnie nic o nim nie wiadomo”.

Pytanie zadane przez posła Andrzeja Micewskiego:

Dlaczego stan wojenny, który został przygotowany już rok wcześniej, został wprowadzony dopiero 13 grudnia 1981 r.?:

O.: – „Zagrożenie właściwie istniało przez cały czas, jednak nie kwapiono się do tego, aby wprowadzać stan wojenny. Miał on być zrealizowany własnymi siłami, co wynikało m.in. z potrzeby przeciwdziałania wkroczeniu wojsk Układu Warszawskiego do Polski. Liczyliśmy na to, że uporamy się włas-

nymi siłami, i że nie dojdzie do obcej interwencji – co do tego jestem przekonany. Co się tyczy natomiast ewentualności co stałoby się, gdyby Wojsko Polskie samo nie dało sobie rady z tą operacją, to nie wiadomo mi, aby istniał na tę okoliczność jakiś inny wariant działania”.

Pytania zadane przez posła Bogdana Borusewicza:

P.: – *Czy był to plan mający na celu przeciwstawienie się ewentualnej interwencji, czy też plan realizacji stanu wojennego?*

O.: – „Plan realizacji stanu wojennego był zarazem planem, którego celem było przeciwdziałanie interwencji wojsk obcych”.

P.: – *Jak Pan ocenia rzeczywiste zagrożenie interwencją w grudniu 1980 i w grudniu 1981 roku? Czy w obu tych okresach zagrożenie było równie realne?*

O.: – „Była to wyraźnie realna groźba zarówno w 1980, jak i w 1981 roku”.

P.: – *A czy słyszał Pan o podobnych ruchach wojsk krajów sąsiednich w 1981 r. w grudniu?*

O.: – „Prawdopodobnie wszystkie elementy tych przygotowań były aktualne przez cały 1981 rok i można przypuszczać, że w pewnych okresach rygory tych gotowości bojowych były łagodzone, zaś okresowo były one podwyższone. Z całą pewnością w końcu 1981 roku stopień gotowości tych wojsk był wysoki”.

Na zakończenie ostatni argument. Co oznaczałyby obawy, brak pewności czy potrafimy uporać się z sytuacją własnymi siłami – i wynikająca stąd prośba „o pomoc”. Charakterystyczna jest opinia p. Bukowskiego, który 19 maja 1998 roku przekazując w Sejmie teczkę z dokumentami m.in. powiedział, iż Jaruzelski wątpił w posłuszeństwo Wojska Polskiego i w związku z tym zwracał się kilkakrotnie do Związku Radzieckiego oraz innych państw bloku o wprowadzenie wojsk. Gdy wszyscy mu odmówili wprowadził stan wojenny. W książce pt.: „Moskiewski proces” pisze podobnie, tylko zamiast „wątpił” stwierdza, iż „nie dowierzał” armii polskiej. I podsumowuje to w taki sposób: „A stan wojenny wprowadził dopiero (podkreślenie moje – WJ),

gdy przekonał się, że 'pomocy wojskowej' od Moskwy nie dostanie". Tymi kuriozalnymi stwierdzeniami p. Bukowski po pierwsze – obraża inteligencję polskich parlamentarzystów i w ogóle rozsądek społeczeństwa polskiego. Po drugie zaś wyświadcza mi niezamierzoną przysługę, sprowadzając rzecz do absurdu. Okazuje się bowiem, iż dopiero kiedy mi „odmówiono”, przestałem nagle wątpić w posłuszeństwo armii, zacząłem jej dowierzać. Otóż nigdy nie miałem w tej mierze żadnych wątpliwości. Potwierdziło to życie – Wojsko jednoznacznie i w pełni zaangażowało się po stronie stanu wojennego. Do tego można dodać coś ze sfery elementarnej logiki. Jeśli nawet ktoś chciałby uwierzyć, że w poczuciu własnej niepewności i niemocy zwracaliśmy się o taką „pomoc” – to odpowiedź, że nie możemy na nią liczyć, powinna oznaczać, że albo rezygnujemy z wprowadzenia stanu wojennego, albo wprowadzając go podejmujemy beznadziejną, samobójczą awanturę, która musi zakończyć się krachem. Jak wiadomo nie stało się ani jedno, ani drugie.

Reasumując: ten niezwykle dramatyczny, skomplikowany epizod naszej najnowszej historii powinien być oceniany z całą powagą i obiektywizmem. Być mądrym przed szkodą to wielka rzecz. Ale trzeba być też mądrym przed manipulacją. Mam pełną, gorzką świadomość, iż zło nawet mniejsze pozostaje złem. Jednakże niebezpieczny wir i mgławica ówczesnych wydarzeń powinny być „odcedzone” od dzisiejszej, często politycznie, doraźnie zorientowanej optyki. Zwłaszcza gdy w grę wchodzi czynnik zewnętrzny.

Udział Polski w Układzie Warszawskim to była realność owych czasów (przy okazji nie wolno zapominać o problemie naszej granicy zachodniej). Uważałem, iż pozycja Polski i jej Sił Zbrojnych w tym Układzie, że oryginalność naszej drogi, zależy przede wszystkim od „kondycji” własnej, a nie od „kogucich” odruchów charakterystycznych np. dla polityki rumuńskiej. Historia w ostatecznym rachunku potwierdziła słuszność naszego stanowiska, naszych poszukiwań i rozwiązań. M.in. w tym, jaką armię, w jakim stanie, odziedziczyła Rzeczpospolita Polska, a jaką inne państwa postsocjalistyczne. Sojusz ze Związkiem Radzieckim traktowałem więc realistycznie, poważnie. Nie kreowałem się na utajonego przeciwnika

ZSRR – jakich dziś okazuje się wielu. Niezmiennie podkreślam swój szacunek i sympatię do narodu rosyjskiego. Doceńnam w pełni, iż stosunki z Rosją są obecnie równoprawne, powinny być ponadto wzajemnie korzystne, dobre, przyjazne. Jeśli dziś mówię krytycznie, to bez neofickiego zapachu. Rozumiem, iż w warunkach antagonistycznie podzielonego świata reakcje radzieckie na sytuację w Polsce miały swoją nieubłaganą logikę. Wiedziałem dobrze, iż radzieccy marszałkowie i generałowie, choć niektórzy z nich – zwłaszcza b. Naczelnny Dowódca Zjednoczonych Sił Zbrojnych marsz. Kulikow – do tego dziś się nie przyznają, patrzyli wówczas na Polskę jak na obszar, stwarzający niebezpieczeństwa dla bloku, ze wszystkimi tego dla nas konsekwencjami. Wywierali naciski, czynili przygotowania, stwarzali fakty, mające zupełnie jednoznaczną wymowę. Obecne „gołębienie głosy”, mają – należy sądzić – związek z problemem wejścia Polski do NATO. Stąd też „filozofia”: jeśli wówczas gdy był Układ Warszawski, potężny Związek Radziecki, uznana strefa wpływów itd. itp. interwencja nie wchodziła w grę – to dlaczego obecnie, gdy pozostała tylko osamotniona, ciężko – politycznie, ekonomicznie i wojskowo – osłabiona, przy tym demokratyzująca się Rosja – NATO ma się wzmocnić i rozszerzyć aż po Bug.

Dzisiaj – gdyby nie było to smutne, byłoby zabawne – wiele osób autentycznie wrogo nastawionych do Związku Radzieckiego oraz często niechętnie i podejrzliwie do Rosji, staje *de facto* po stronie przedstawicieli tamtego imperium. Ich oświadczeniom, materiałom, „rewelacjom” daje się największą wiarę (puszcza się nawet mimo uszu takie stwierdzenie prof. Zbigniewa Brzezińskiego, w telewizyjnym filmie dokumentalnym poświęconym konferencji w Jachrance – Program I, 13 grudnia, godz. 15.00 – iż: „Marszałek Kulikow kłamie jak z nut”). Natomiast ci sami ludzie oraz środowiska polityczne, darzący niezmiennie szacunkiem i zaufaniem Stany Zjednoczone, w danym przypadku milczą na temat niezwyklej wagi dokumentów amerykańskich odtajnionych w związku z konferencją naukowo-historyczną w Jachrance. Chyba dlatego, ponieważ ich wymowa jest w sumie korzystna dla tzw. autorów stanu wojennego, potwierdza większość ich

ocen i prognoz (paradoksalnie – publikowała je *Trybuna*, *Przegląd Tygodniowy* oraz miesięcznik *Dziś*).

Taka niestety powstaje sytuacja, gdy chce się z naszej dramatycznej i jakże skomplikowanej historii uczynić użytek w doraźnej walce politycznej. Oby jednak – mimo wszystko – udało się nam Polakom „wybić” na porozumienie. W tym zaś znaleźć i taką konstatację, iż – niezależnie od nawet diametralnie różnych ocen i przekonań – stan wojenny był jednak naszym wewnętrznym dramatem, nie kosztował rzeki przelanej krwi, nie stworzył niemożliwej do zasypania przepaści, nie zamknął drogi do procesów, które doprowadziły do Okrągłego Stołu, do przełomowych zmian, jakie dokonały się w Polsce. A przecież wszystko to mogło potoczyć się inaczej, tragicznie i nieodwracalnie gorzej. To uznaje i ocenia z szacunkiem cały racjonalnie myślący świat.

Wojciech JARUZELSKI

Załącznik 1

Niestety, schemat narysowany ręcznie i dość skomplikowany nie nadaje się do reprodukcji. Znajduje się w archiwum redakcji.

Załącznik 2

Dramatycznie przedstawiała się sytuacja na odcinku paliw. To był przedsmak tego, co oczekiwałoby Polskę, gdyby od początku 1982 roku nastąpiło zapowiedziane gwałtowne obniżenie dostaw ropy, gazu oraz innych podstawowych surowców i materiałów. O węglu i skutkach spadku jego wydobycia dla eksportu i tym samym importu, dla energetyki, ogrzewnictwa, produkcji przemysłowej i rolnej, była już mowa w „Materiale informacyjnym”. Podobnie narastające braki ropy, benzyn, mazutu, dotkliwie zakłócały, a nawet paraliżowały funkcjonowanie wielu dziedzin życia gospodarczo-społecznego, jak cho-

ciężby gospodarki komunalnej, transportu i komunikacji samochodowej, prac rolnych, budownictwa, przemysłu chemicznego i kooperujących z nimi wielu gałęzi produkcji itd. W ogóle można powiedzieć, iż nastąpiła kooperacyjna katastrofa, ze wszystkimi tego dla gospodarki i społeczeństwa skutkami.

Z uwagi na ogrom ilustrującego tę sytuację archiwalnego materiału, trudno w tym opracowaniu przedstawić nawet jego część. Można jedynie przykładowo i wyrywkowo powołać się na niektóre zjawiska i fakty zawarte w „Meldunkach sytuacyjnych”, w dniach bezpośrednio poprzedzających wprowadzenie stanu wojennego (od 4 do 12 grudnia 1981 roku):

* „*Zaopatrzenie surowcowo-materiałowe zakładów przemysłowych z dostaw krajowych i importu nie ulega poprawie. Następuje dalszy spadek produkcji pogłębiony ograniczeniami w dostawach energii elektrycznej, paliw płynnych oraz nasilającymi się akcjami protestacyjnymi (pogotowie strajkowe, referendum, oświadczenia, petycje). Wśród wielu załóg fabrycznych utrzymuje się stan ostrego napięcia na tle złego zaopatrzenia w żywność i inne artykuły pierwszej potrzeby*”.

* „*W dalszym ciągu utrzymują się niedobory materiałowe, surowcowe, kooperacyjne i ograniczenia energetyczne. Wyraźne obniżenie dyscypliny pracy i wzrost absencji, w powiązaniu z występującymi brakami materiałowymi, powodują dalszy spadek produkcji wielu asortymentów. Wynikiem tego są niedobory wyrobów rynkowych, niewystarczające dostawy dla rolnictwa, obniżenie dostaw eksportowych itp.*”;

* „*Następuje dalszy spadek produkcji pogłębiony ograniczeniami w dostawach energii elektrycznej, paliw płynnych oraz obniżoną dyscypliną pracy*”;

* „*Szereg zakładów produkcyjnych i przedsiębiorstw budowlanych odczuwa dotkliwie brak materiałów i surowców, niezbędnych do bieżącej produkcji. Awaryjne uzupełnienie tych braków jest utrudnione małą dyspozycyjnością transportu, któremu brakuje paliw, ogumienia i części zamiennych. Ograniczane są coraz bardziej dostawy energii elektrycznej.*”

Wszystko to powoduje, że efektywność pracy wielu zakładów znacznie odbiega od ich potencjalnych możliwości”;

** „Pogłębia się kryzysowy stan gospodarki, wynikający z niedoboru surowców. W szeregu województw braki paliw osiągają stan katastrofalny. Np. w Lesznie i Świdnicy PKS zawiesza komunikację i przewozy ziemiopłodów. W Lubelskiem grozi całkowite zatrzymanie transportu handlu. Istnieje bezpośrednie zagrożenie wstrzymania dowozu ludzi do ważnych, z gospodarczego punktu widzenia, zakładów pracy. Braki paliwa, ogumienia, akumulatorów, powodują odwoływanie kursów PKS, zwłaszcza w województwach: bielskim, tarnobrzeskim, leszczyńskim, konińskim, wałbrzyskim, sieradzkim. W szeregu województw wycofano znaczne ilości taboru MZK z tras”;*

** „Centrala Produktów Naftowych sygnalizuje niedobory w zaopatrzeniu w etylinę 78 i 94 na terenie całego kraju, przy jednoczesnym braku paliw w punktach ekspedycyjnych na końcówkach rurociągów i granicznych punktach przeładunkowych”;*

** „Na terenie całego kraju niedobór paliw, głównie deficyt etyliny – na koniec października 65 ton (potrzeby listopada 300 tys. ton), w wyniku obniżenia dostaw z ZSRR zarówno benzyny, jak i ropy, co powoduje niedobory produkcyjne i obniżenie dostawy z rafinerii w Płocku”;*

** „Ministerstwo Przemysłu Chemicznego i Lekkiego informuje, iż zaległości w dostawach ropy z rurociągów z ZSRR wzrosły do 41,6 tys. ton”;*

** „Utrzymuje się trudna sytuacja zaopatrzeniowa w materiałach pędne w większości województw. Największe niedobory wystąpiły w województwach: bielskim, gorzowskim, konińskim, pilskim, tarnobrzeskim, wałbrzyskim”;*

** „Wśród trudności ograniczających normalne funkcjonowanie służb miejskich, wojewodowie sygnalizują głównie niedostateczne zaopatrzenie w paliwa płynne (zwłaszcza województwa: łomżyńskie, jeleniogórskie, tarnobrzeskie). Sy-*

tuacja ta grozi unieruchomieniem służb transportu miejskiego, przede wszystkim komunikacji miejskiej”;

** „W stalowni Huty im. Bieruta kończy się zapas mazutu radzieckiego, grozi to unieruchomieniem pieca martenowskiego nr 4; w sześciu innych piecach przewiduje się opalania smołą z własnej koksowni, co spowoduje niewykonanie zobowiązań w stosunku do odbiorców smoły”;*

** „Niedobory materiałowe i surowcowe utrudniają działalność całego resortu Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych. W wielu przedsiębiorstwach wystąpiły postoje. Postój 5235 jednostek transportowych (44,3%) spowodowany brakiem paliwa, części znamiennych, akumulatorów, ogumienia”;*

** „W Gorzowie Wlkp. kierowcy taksówek ogłosili pogotowie strajkowe, domagając się poprawy zaopatrzenia w paliwa. Zablokowali przy tym trasę E-14, powodując konieczność objazdów do 40 km. Rzemieślnicy w Pile w dn. 8.12.1981 r. zagrozili blokadą Urzędu Wojewódzkiego, o ile nie otrzymają benzyny, umożliwiającej świadczenie usług”;*

** „Zaopatrzenie rynku oraz przedsiębiorstw w materiały pędne i smary jest skrajnie niedostateczne. Brak paliw zakłóca funkcjonowanie transportu zaopatrzeniowego, jednostek usługowych i komunikacji. Np. w Nowym Dworze (woj. Elbląg) z braku paliwa unieruchomione były nawet karetki pogotowia”;*

** „Obniżenie wydobycia węgla rzutuje zarówno na zamierzenia eksportowe, jak i zabezpieczenie potrzeb kraju. Bardzo trudna sytuacja w zabezpieczeniu w węgiel energetyczny Kombinatu Górniczo-Hutniczego Lubin. Grozi to całkowitym zatrzymaniem przemysłu miedziowego, gdyż niemożliwe jest w warunkach zimy wyłączenie dopływu ciepła do ogrzewania Lubina, Głogowa, Polkowic. Trudną sytuację potęguje brak etyliny i oleju napędowego, których zapas wystarczy zaledwie do 16 grudnia. Może to spowodować całkowite sparaliżowanie transportu w tym*

regionie. Równie trudna sytuacja w tym zakresie występuje w woj. konińskim (zagrożenie przerwania produkcji w Hucie Aluminium i w Elektrowni Bełchatów)”;

* „Wojewodowie: bydgoski, gorzowski, skierniewicki, koszaliński i ciechanowski, sygnalizują krytyczny stan zapasów węgla, w tym również w szkołach”;

* „Maleją zapasy węgla kamiennego w elektrowniach i elektrociepłowniach. Najniższe zapasy węgla mają elektrownie: Kozienice (4 dni), Połaniec (5,3 dni), Poznań 1 (6,3 dnia), Ołowianka (3,1 dnia), przy normie minimum 12 dni oraz Bydgoszcz 3 (1,2 dnia) przy normie minimum 6 dni. Dostawy węgla do tych elektrowni są niższe od dobowego zużycia – a więc zapasy nie tylko nie są odtwarzane, ale niepokojąco maleją”;

* „Do fabrycznych elektrociepłowni FSC w Lublinie, w Puławach, w Poniatowej, w Kraśniku i Skierniewicach ograniczono dostawy węgla, co zagraża ciągłości ogrzewania mieszkań w części tych miast (np. FSC ogrzewa 40% osiedli Lublina). Krytyczna sytuacja opałowa powstała w woj. wrocławskim, dla którego nie zrealizowano dostaw węgla kamiennego i brunatnego, mimo wielokrotnych interwencji wojewody (na przydzielone 45,9 tys. ton węgla brunatnego otrzymano 330 ton)”;

* „Wiele województw sygnalizuje brak dostaw oleju napędowego co powoduje zahamowanie transportu i wstrzymanie prac polowych (zwłaszcza Elbląg, Płock, Toruń, Leszno)”;

* „Przemysł koksowniczy nie wykonuje dobowych zadań produkcji surówki z braku wsadu oraz ograniczeń energetycznych. Z tych samych powodów przemysł metali nieżelaznych nie wykonuje zadań produkcji miedzi. Ponadto w przemyśle miedziowym nadal występują braki ługu posulfitowego. Zakłady Przemysłu Elektronicznego (Zakłady Kasprzaka, WZT, ZS „Diora”, „Elta”) ograniczają produkcję w wyniku niedostatecznych dostaw acetyleny. Wiele zakładów sygnalizuje o przestojach produkcyjnych, powo-

dowanych niepełnymi i nierytmicznymi dostawami kooperacyjnymi zarówno z produkcji krajowej, jak i z importu”;

* „W przedsiębiorstwach przemysłu teleelektrycznego TELKOM utrzymują się trudności produkcyjne, spowodowane stale pogarszającą się sytuacją w zaopatrzeniu w surowce krajowe oraz całkowitym wstrzymaniem importu do kk w IV kw. br. Z tego powodu w listopadzie we wspomnianych przedsiębiorstwach zanotowano 48 tys. godzin przestoju”;

* „W przemyśle nieorganicznym ograniczono produkcję nawozów fosforowych, bieli tytanowej oraz siarczanu glinowego z braku surowców głównie z importu. Przemysł petrochemiczny ograniczył produkcję amoniaku, nawozów azotowych, kaprolaktanu, melaminy, karbidu, a przemysł chemii gospodarczej „Pollena” proszków do prania i plastrów farmaceutycznych. Podstawowe przyczyny to braki surowców i ograniczenia energetyczne. W większości zakładów przemysłu wełnianego wskutek braku elany, anilany i argony (z kraju i z importu) ogranicza się produkcję tkanin i dzianin”;

* „Braki surowców i ograniczenia energetyczne powodują znaczne straty w produkcji m.in. Zakładów Azotowych w Tarnowie (polichlorek winylu, metanol). Z powodu braku ługu sodowego w Zakładach Police, wstrzymano produkcję bieli tytanowej. W Gdańskich Zakładach Nawozów Fosforowych zagrożona jest produkcja tych nawozów”;

* „W zakładach we Wrocławiu braki wodorotlenku glinu (z importu), grożą przerwaniem zaopatrzenia gospodarki komunalnej w siarczan glinu, stosowany do przygotowania wody pitnej we wszystkich aglomeracjach miejskich”;

* „Ograniczenia w produkcji włókien sztucznych pogłębiają się i sięgają od 35 do 75% zaplanowanej ilości argony, wiskozy, kordu, textry i anilany. Zagrożone jest wytwarzanie farb i lakierów, na skutek przerwania produkcji sykatyw oraz ograniczeń w produkcji żywic lakierniczych.

Zakłady „Stomil” w Dębicy nie wykonują zaplanowanej ilości opon. Sosnowiecka Przędzalnia Czesankowa zgłosiła postój z braku dostaw włókna celulozowego z Zakładów „Chemitex-Wistam” w Tomaszowie. Spodowuje to przerwę w dostawach przędzy dla odbiorców już w grudniu br.”;

** „Brak dostaw żółtego fosforu powoduje wstrzymanie produkcji kwasu fosforowego. Brak dostaw surowcowych komponentów ogranicza produkcję opon, taśm transportowych, obuwia filcowo-zawodowego”;*

** „Powszechny niedobór środków produkcji dla rolnictwa (maszyny, narzędzia, nawozy, węgiel, itd.)”;*

** „.... dostawy mięsa i jego przetworów, w większości województw nie pokrywają potrzeb wynikających z reglamentacji. O szczególnie ostrych niedoborach informują wojewodowie: łódzki, krakowski, katowicki, gdański, zamojski, kaliski, ciechanowski, a także władze Warszawy”;*

** „..... mimo interwencji powtarzają się chronicznie braki dostaw mąk produkcyjnych do wypieku chleba. W woj. tarnowskim, nowosądeckim, lubelskim, bielskim, ciechanowskim, jeleniogórskim, legnickim zapasy mąki są niepokojąco niskie”;*

** „....niedobory przetworów mleczarskich występują systematycznie we wszystkich prawie województwach”;*

** „.... mydło, środki piorące i higieny osobistej nie mają pokrycia nawet w asortymentach reglamentowanych, jak też dla szpitali, przedszkoli, szkół, domów dziecka”;*

** „.... poważne braki w zakresie odzieży, obuwia, mebli, artykułów przemysłowych gospodarstwa domowego. Szczególnie dotkliwy jest niedostatek ciepłej bielizny, zimowej odzieży, skarpet, pończoch. Kilku wojewodów ocenia sytuację w zaopatrzeniu w obuwiu i odzież zimową jako wręcz dramatyczną. Występują poważne braki w zakresie odzieży roboczej i ochronnej oraz obuwia dla zakładów pracy”;*

* „Służby medyczne sygnalizują brak środków opatrunkowych, strzykawek, igieł jednorazowego użytku, rękawic chirurgicznych, lekarstw (w tym antybiotyków), środków przeciwbólowych, syropów pediatrycznych”;

* „..... napływają niepokojące informacje, iż w związku z niestabilną sytuacją w Polsce, strajkami, niedotrzymaniem umów eksportowych, importerzy naszych wyrobów (z Francji, Anglii, RFN) wycofują się z części zamówień”.

Załącznik 3

Bardzo charakterystyczne są – dotychczas niepublikowane fakty, które odnotowano na przełomie listopada i grudnia 1981 roku. Otóż „Meldunki sytuacyjne Dyżurnej Służby Operacyjnej Rządu (DYSOR)” prawie codziennie alarmowały o znamiennych zakłóceniach na kolejowych stacjach granicznych z ZSRR. Dla ilustracji przedstawia się odnośne fragmenty tych „Meldunków” jedynie z kilku dni grudnia:

– 5.12. – „nadal wskutek ograniczenia przyjmowania ładunków przez koleje radzieckie, na szlakach PKP oczekuje na przekazanie 29 pociągów oraz 1393 wagony w Małaszewiczach”;

– 6.12. – „Utrzymujące się zgrupowanie wagonów z ładunkami do ZSRR na przejściu Terespol-Brześć, spowodowane ograniczeniem przyjęcia przez stronę radziecką. W rejonie granicznym oczekuje 968 wagonów oraz 33 pociągi o 1188 wagonach, co stanowi ponad czterodobową normę operatywną”;

– 7.12. – „Nadal utrzymuje się ograniczenie przyjmowania ładunków przez koleje radzieckie na przejściu Terespol-Brześć. Na szlakach PKP oczekuje 37 pociągów (około 1200 wagonów), a w Małaszewiczach 935 wagonów. Dotychczasowe rozmowy ze stroną radziecką nie przyniosły oczekiwanej poprawy”;

– 8.12. – „W dalszym ciągu koleje radzieckie nie przyjmują, wynikającej z miesięcznego planu, normy ładunków. Rozmowy delegacji PKP z delegacją kolei radzieckich 4 grudnia w Brześciu nie przyniosły efektów”.

– 9.12. – „Zwiększyło się nagromadzenie wagonów z ładunkami do ZSRR na przejściach Terespol-Brześć i Czeremcha-Brześć; oczekuje do przekazania 2638 wagonów!”;

– 10.12. – „Nadal utrzymują się trudności w przekazywaniu tranzytu i eksportu, szczególnie na przejściu granicznym Terespol-Brześć. Na szlakach PKP oczekuje 37 pociągów, a w Małaszewiczach 890 wagonów”;

– 11.12. – „Od kilkunastu dni utrzymuje się zahamowanie odbioru ładunków przez koleje radzieckie. W dniu 10 grudnia na przekazanie oczekiwało 31 pociągów na trasie oraz 900 wagonów na stacji Małaszewicze”;

– 12.12. – „Utrzymuje się nagromadzenie wagonów z ładunkami do ZSRR (...)”.

W owym czasie obniżył się również (choć nie w takim stopniu) dopływ tranzytu ze strony radzieckiej. Powyższe fakty, skonfrontowane ze wzmożonymi ruchami i koncentracjami jednostek Armii Radzieckiej w pobliżu naszej granicy – dają same odpowiedź.

Załącznik nr 4

NOTATKA (ekspertyza)

Biorąc pod uwagę krytyczny stan państwa w 1981 roku można zadać sobie pytanie, czy istniały w owym czasie jakieś inne warianty działań, lepsze dla kraju.

W rzeczy samej można rozważać następujące:

Dalsze wyczekiwanie na spontaniczną poprawę sytuacji. W pewnym sensie cały rok 1981 był takim wyczekiwaniem, nic jednak nie wskazywało, że sytuacja może się spontanicznie poprawić. Raczej przeciwnie – pogarszała się coraz bardziej. Powstawała realna możliwość utraty kontroli nad sytuacją w państwie przez jej władze. Władze, które dopuszczają do utraty kontroli sprzeniewierają się swym podstawowym obowiązkom. Narażają też swych obywateli na ogromne nieszczęścia. Całe doświadczenie Centralnej i Wschodniej Europy ostatnich siedmiu lat ilustruje ową tezę, pokazując, co się dzieje w państwach, w których załamała się kierownicza rola władz państwa. Wielkim szczęściem naszego kraju, a także kilku innych, było uniknięcie tej sytuacji (w 1989 roku).

Oddanie władzy w ręce Solidarności. To, że rozwiązanie takie było możliwe w roku 1989 nie oznacza wcale, że było możliwe w roku 1981. Teza o możliwości oddania władzy w ówczesnych warunkach jest całkowicie ahistoryczna. Nie uwzględnia kilku kardynalnych okoliczności:

Po pierwsze, nie było politycznie zorganizowanych sił zdolnych do przejęcia władzy w państwie. Istniał potężny ruch społeczny działający w dużej mierze spontanicznie, nie dysponujący kadrami zdolnymi do natychmiastowego przejęcia władzy nad skomplikowanym mechanizmem państwowym. Oddanie władzy w ręce takiego ruchu (co czasami zdarzało się w historii, gdy ruch był na tyle silny, aby zdruzgotać istniejące mechanizmy władzy) oznacza z reguły wprowadzenie kraju w stan chaosu na dłuższy przeciąg czasu. Można dodać, że przejęcie władzy w roku 1989 dokonało się na zupełnie innych zasadach – co najważniejsze, przez okres ośmiu lat krzepły i krystalizowały się formacje opozycyjne zdobywając doświadczenia przydatne w kierowaniu państwem.

Po drugie, oddanie władzy było nieakceptowalne dla sąsiadów. Dokonanie takiego ruchu oznaczało sprowokowanie interwencji zbrojnej.

Po trzecie, istniały silne i liczne środowiska związane z władzą i stanowczo przeciwne jej oddaniu. Środowiska te dysponowały kadrami i uzbrojeniem. Decyzja o oddaniu władzy mogła spowodować zbrojny sprzeciw tych środowisk – narażała Polskę na wojnę domową. Nie wolno zapominać, że

polityka lat osiemdziesiątych doprowadziła do zasadniczej zmiany układu sił w tych środowiskach i uniemożliwiła tym, którzy chcieliby sprzeciwić się przekazaniu władzy, podjęcie jakichkolwiek realnych działań w tym kierunku.

Po czwarte, istniały oczywiste ograniczenia jeśli idzie o wyobrażenia panujące w kręgach kierowniczych co do zakresu i głębokości koniecznych zmian. Wprawdzie rozumiano, że kraj nie może być rządzony tak jak dotychczas, ale nie miano konkretnej wizji nowego demokratycznego ładu politycznego i nowych mechanizmów gospodarczych. Jest wielką zasługą większości osób z tych kręgów, że dokonały one rewizji swoich wyobrażeń na ten temat i doprowadziły Polskę do sytuacji, która pozwoliła na pokojowe przejście do nowego systemu społeczno-politycznego.

Wszystkie wskazane tu okoliczności sprawiają, że postulat przekazania władzy w ówczesnych warunkach jawi się jako historyczne nieporozumienie.

Podzielenie się władzą. To rozwiązanie, obciążone jest podobnymi ograniczeniami jak rozwiązanie polegające na oddaniu władzy. Ale co ważniejsze, można głęboko powątpiewać czy taka możliwość w ogóle istniała.

Czy istnieje coś takiego, jak dzielenie się władzą w sytuacji rewolucyjnej? Można w to bardzo poważnie wątpić. W takiej sytuacji każda zmiana jest otwarciem drogi do nowych zmian, a każde ustępstwo uruchamia nowe wymagania i nowe roszczenia. 16 miesięcy okresu działania Solidarności jest ilustracją tej tezy. Dowodzi ono dobitnie, że tak ukształtowane obozy polityczne patrzące na siebie nieufnie i wrogo nie są zdolne do kooperacji, której wymaga dzielenie się władzą. Każda ze stron dopatruje się w drugiej wrogich zamiarów i każde jej działania traktuje jako nastawione na skompromitowanie czy zniszczenie przeciwnika. Widzi swoje racje – nie widzi racji partnera. W tym miejscu nie warto przytaczać tych poczynań ówczesnej władzy, które ta uważała za wyciąganie ręki do zgody – poczynywania te nigdy nie zostały tak odczytane przez stronę Solidarnościową. Ta ostatnia uważała je za fałsz lub podstęp lub niewiele warty gest. Ale środowiska popierające władzę tak samo traktowały te działania Solidarności, które miały przyczyniać się do rozładowywania istniejących napięć. Dlatego mówienie dziś o możliwości kompromisu, który nie został

osiągnięty na skutek złej woli władzy, jest pozbawione realizmu.

Wspólna walka przeciw zewnętrznej ingerencji. Wypowiadany jest pogląd, że siły prawdziwie patriotyczne powinny powiedzieć (tak jak w 1939 r.) stanowcze „nie” wobec wszelkich zewnętrznych nacisków i przygotować kraj do zbrojnej obrony swej suwerenności, realizując równocześnie postulaty narodu. Niektórzy, młodszy przywódcy Solidarności nawet dziś bronią słuszności idei zbrojnego oporu. Przyznają, że przyniosłoby on wielkie cierpienia i poważne straty, ale wiadomo, że mimo cierpień i strat, mimo że giną ludzie naród nie ginie. Przecież są takie wartości, dla których warto narażać na śmierć dziesiątki czy setki tysięcy ludzi, a kraj na zniszczenie. Taką wartością jest niepodległość kraju i dla niej właśnie ginęli żołnierze września i powstańcy warszawscy.

Otóż racjonalni przywódcy wtedy podrywają naród do walki, kiedy kalkulacja sił każe im wierzyć, że mają oni rozsądne szanse zwycięstwa. Jeśli jednak walka przeciw obcej ingerencji miałaby się skończyć druzgocącą klęską, ogromem krzywd i nieszczęść, to na taką walkę decydować się będą jedynie ludzie lekkomyślni, nieodpowiedzialni lub posiadający fundamentalistyczną mentalność. Co się tyczy Polski w roku 1981, to na takiej walce mogła ona jedynie stracić – przede wszystkim zaś stracić ten troskliwie chroniony obszar samodzielności, dzięki któremu w naszym kraju panowały stosunki tak odmienne od wszystkich innych krajów regionu – co stworzyło tak wiele szans naszej kulturze i nauce, co ochroniło naszą wieś przed bezmyślną polityką kolektywizacji i stwarzało Kościołowi katolickiemu poszerzający się obszar swobodnej działalności. Polska posiadała ograniczoną suwerenność i tej suwerenności nie należało narażać na szwank. Wszystkich tych wartości należało chronić, nawet kosztem pewnych ofiar, jakie okazały się nie do uniknięcia,

Załącznik nr5

Przypuszczenie, że strona polska była zainteresowana tzw. bratnią pomocą jest niegodziwe i absurdałne. Osoby objęte wnioskiem wstępnym, świadkowie oraz niektórzy historycy

szczegółowo to wyjaśniali. Jednakże część członków Komisji (zwłaszcza poseł Jacek Taylor) w czasie jej posiedzeń przywoływali „dokument” z materiałów MSW, znajdujący się obecnie w archiwum Sejmu (teczka 228/IB). Nosi on nazwę „Ocena aktualnej sytuacji w kraju według stanu na dzień 25 listopada 1981 roku”. W załączniku Nr 2 do tej „oceny sytuacji” jest taki fragment: „Wprowadzenie stanu wojennego może spowodować m.in. następujący rozwój sytuacji:

– I wariant: podporządkowanie się przez organizacje polityczne wymogom stanu wojennego, przy jednoczesnym możliwym wystąpieniu niewielkich strajków i ograniczonej wrogiej działalności propagandowej;

II wariant: w niektórych rejonach kraju organizowane są masowe strajki, bez tendencji wyjścia z zakładów pracy;

III wariant: powszechny strajk okupacyjny, niektóre załogi wychodzą na ulice, mają miejsce demonstracje uliczne i atakowanie gmachów partyjnych, administracji państwowej, MO i innych. Dochodzi do ostrej interwencji sił MO i wojskowych. Nie wyklucza się pomocy wojsk Układu Warszawskiego”.

Na czym polega nadużycie ze strony osób, pragnących uczynić z tego dowód przeciwko osobom objętym wnioskiem wstępnym. Otóż po pierwsze – jest to teczka, w której znajdują się wyłącznie luźne, robocze materiały. I po drugie – wspomniana „Ocena aktualnej sytuacji” ma w istocie charakter notatki, bez żadnego numeru rejestracyjnego, bez żadnych adnotacji, nie jest przez nikogo podpisana i nikomu nie rozsyłana. Co ponadto jest charakterystyczne i świadczy o złej woli osób, wysuwających uporczywie – na podstawie, takiego materiału – supozycję o rzekomym oczekiwaniu ze strony polskiej na tzw. pomoc. Otóż w tejże teczkę – o czym nie wspomniano – znajduje się jako kolejny późniejszy materiał „Ocena aktualnej sytuacji w kraju i propozycje rozwiązań” z 5 grudnia 1981 r. Nie ma w nim ani słowa o „pomocy”. Natomiast w odróżnieniu od poprzedniego materiału z 25 listopada, znajduje się w nim mnóstwo odręcznych uwag i poprawek ministra spraw wewnętrznych gen. Czesława Kiszczaka. I chociaż ów tekst jest też niepodpisany, nigdzie nie rozsyłany itd., to jednak poprzez sam fakt, iż minister

dokonywał w nim licznych adnotacji, zasługuje na większą wiarygodność. A mimo to został przemilczany.

Tu trzeba dodać – Komisja miała zapewniony dostęp do ogromnej ilości różnych materiałów i dokumentów. Nigdzie jednak nie natrafiono na najmniejszy nawet ślad oczekiwań, czy próśb o tzw. pomoc wojskową. Wręcz przeciwnie, w wielu zarówno poufnych, jak i publicznych wypowiedziach przedstawicieli ówczesnych władz PRL, przewija się stwierdzenie, iż musimy nasze polskie problemy rozwiązać we własnym zakresie, własnymi siłami. Dlatego też powoływanie się na ową „Ocenę sytuacji” z 25 listopada 1981 roku jest oczywistą manipulacją. Być może liczone, iż nikt nie zajrzy do stosu teczek, w których znajdują się mało znaczące, luźne materiały.

Selektywność przemilczeń, o których wyżej mowa, charakteryzuje również następujący fakt. Działacze „Solidarności” twierdzą od lat, iż różnego rodzaju antyradzieckie ekscesy, a zwłaszcza bezczeszczenie pomników i grobów żołnierzy – to prowokacja, dzieło służb bezpieczeństwa. Co się jednak okazuje – w materiale „Ocena sytuacji...” z 25 listopada 1981 r. (załącznik Nr 1) jest zawarta informacja, iż od IV Plenum KC (18 października 1981 roku) do momentu opracowania w/w „Oceny...” wszczęto 26 postępowań karnych w sprawach o wspomniane czyny. Dotychczas ustalono 18 sprawców zbezczeszczenia pomnika w Jędrzejowie oraz jednego sprawcę sprofanowania grobów żołnierzy radzieckich w Gryfinie. Przypominanie tych faktów jest obecnie niewygodne. Podobnie zresztą jak przypomnienie (zgodnie z „Oceną...”), iż 25 listopada okupowanych było 11 obiektów użyteczności publicznej. Odnotowano zamiary okupowania dalszych 14 obiektów.

Hanna ŚWIDERSKA

Z DZIEJÓW POLSKIEJ PRASY W ANGLII*

LIKWIDACJA PRASY 2 KORPUSU

„Orzeł Biały ma złą sławę i za nic go tu nie chcemy”
(P.F. Hancock, *Foreign Office*. FO 370/56614: N 15590.)

Cofnięcie uznania rządowi 5 lipca 1945 pociągnęło za sobą zdziesiątkowanie polskiej prasy w Anglii. Wśród niedobitków ocalał najważniejszy: *Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza*. Foreign Office nadal śledziło uważnie ich działalność „antysowiecką”, a teraz również „antywarszawską”, choć sowiecka ambasada przestała już się nimi interesować, a skargi reżymowej ambasady FO traktowało lekceważąco. Ale dla władz angielskich „wybryki” ocalałych czasopism nabrały teraz nowego znaczenia, równie ważnego jak niedawne zakłócanie przez nie dobrych stosunków z Wielkim Aliantem, bo obawiały się, że zahamują one masową repatriację niepotrzebnych już PSZ i ludności cywilnej rozproszonej po brytyjskich terytoriach. Przy pomocy pogrozek i „dobrych rad” FO usilnie więc pracowało nad wyciszeniem polskich niedobitków w Londynie, gdy na horyzoncie zjawiała się nowa zmora: bojowo antysowiecka i antyreżymowa, a przy tym nę-

* Artykuł oparty na materiałach Foreign Office. Nawiązuje do mych poprzednich opracowań: „Z dziejów polskiej prasy w Anglii 1944-45” i „Z dziejów polskiej prasy opozycyjnej w Londynie 1941-45” (*Zeszyty Historyczne*; nr 101, 1992, oraz nr 115, 1996).

kająca Mikołajczyka i wyposażona w znakomitych publicystów i pisarzy prasa 2 Korpusu, dotychczas nie objęta nadzorem FO i Ministry of Information, i korzystająca z życzliwości brytyjskiego dowództwa we Włoszech wobec gen. Andersa i jego wojska. Teraz jednak sprawa stała się pilna wobec planu sprowadzenia Korpusu do Anglii i jego demobilizacji.

Uwagę FO na te sprawy zwróciły skargi, które składał ambasadorowi Noelowi Charlesowi w Rzymie jego reżymowy kolega prof. Kot, żalący się na napady prasy Korpusu na jego osobę i rząd. 25 X 1945 Charles odbył dłuższą rozmowę z Andersem, w której zwrócił mu uwagę na tę kłopotliwą sytuację: choć rząd JKM uznaje swe moralne zobowiązanie wobec polskiego wojska, to jednak uznał on rząd warszawski, wobec czego obowiązkiem Charlesa jest zadowolić obie strony i dlatego prosi Generała o przyciszenie jego podopiecznych wydawnictw. Anders obiecał zadziałać, choć zaznaczył, że ciągłe napady prasy reżymowej i włoskiej na Korpus zmuszają go do zezwolenia jego ludziom na danie im odpawy i dodał, że „oczywiście jego żołnierze są głęboko zainteresowani tym, co się dzieje w Polsce i choć kategorycznie nakazał że tylko udowodnione i potwierdzone doniesienia o stosunkach w Polsce mogą dostarczać materiału, to nic nie poradzi, że te doniesienia są przykrą lekturą”¹.

Obietnica niewiele pomogła i 15 XI Charles ostrzegł Andersa, że we własnym interesie prasa Korpusu nie powinna nękać Kota i jego rządu, bo w przeciwnym razie protesty Warszawy w Londynie i Waszyngtonie zmuszą władze wojskowe do zlikwidowania polskiej prasy żołnierskiej. Nowe obietnice Andersa Charles przyjął sceptycznie i składając sprawozdanie Haroldowi MacMillanowi, doradcy politycznemu przy naczelnym dowództwie w Casercie, stwierdził że choć wierzy w dobrą wolę Andersa, to wątpi czy „jest on w stanie kontrolować wszystkich swych ekspertów od politycznej propagandy, których ma przy sobie”².

MacMillan omówił sprawę z szefem sztabu gen. Morganiem. Uważał, że do Korpusu należy przydzielić angielskiego

1. FO 370/47688: N 16359.

2. tamże.

oficera „jako *de facto* cenzora, choć jak najbardziej zamaskowanego”. Morgan, tak jak Charles, radził zaczekać kilka tygodni i zobaczyć jak Anders spełni swe obietnice³. W tym stanie sprawa dotarła do FO, które rażno wzięło się do rzeczy i 1 XII MacMillan otrzymał pouczenie z centrali: „Pismo Sir N. Charlesa jasno wskazuje, że nastawienie tych gazet jest zażarcie wrogie wobec polskiego Rządu Tymczasowego i ogólnie naszej polityki w sprawach polskich i że – co więcej – brytyjskie władze nie mają nad nimi żadnej kontroli... Uznaję potrzebę dostatecznej lektury dla polskiego wojska we Włoszech, ale ileś tuzinów dodatkowych wydawnictw obok głównej gazety zdaje się za wiele (i ekstrawagancko nadużywa brytyjskie fundusze) dla jednego korpusu. W każdym razie, jak długo to wojsko jest pod naszym dowództwem, musimy przyjąć odpowiedzialność za materiał i ilość wydawanych przez nie czasopism oraz we własnym interesie zrobić co się da, żeby ich ogólny ton i działalność nie krzyżowały celów brytyjskiej polityki. Liczę więc, że decyzja niewyznaczania na razie cenzora będzie na nowo przemyślana i stosunek do propagandy polskiego Korpusu zmieniony pod kątem dostosowania jej jak tylko się da do naszej ogólnej polityki niedopuszczenia do powstania trwałej i nieprzejednanej emigracji polskiej wrogiej wobec Warszawy i myśli o powrocie do Polski”⁴.

Caserta szybko działała i wyznaczyła oficera mówiącego po polsku jako „łącznika do nadzoru nad polską prasą po jej wydrukowaniu”, co Anders miał przyjąć z zadowoleniem, oraz dostarczyła mu „ogólne wskazówki dla polskiej prasy wojskowej”⁵. Tym łącznikiem był major Ronald Sadler rezydujący w Bolonii, który miał dostarczać tygodniowych sprawozdań o zawartości tych gazet do biura MacMillana w Casercie, a te przekazywać do Londynu. Pierwsze sprawozdanie, za tydzień do 12 I 1946 omawia jej cechy szczególnie interesujące odbiorców, którymi są:

„1. niemożliwość przekroczenia przepaści dzielącej anglo-

3. tamże: N 16273.

4. tamże: N 16359.

5. FO 370/56466: N 3135.

amerykańską i sowiecką ideologię; 2. nieunikniony konflikt między interesami angloamerykańskimi z jednej, a ekspansją rosyjskiego imperializmu z drugiej strony; 3. rzekoma dwulicowość polityki zagranicznej Rosji. Te tematy są wygrywane w różnych stopniach natężenia, gdy tylko sytuacja polityczna w danej chwili dostarczy okazji”⁶.

Po tym wstępie Sadler analizuje zawartość poszczególnych gazet: *Dziennika Żołnierza APW* (Bolonia), *Orla Białego* (Rzym) i *Gazety Żołnierza* (Bari). Następnie tygodniowe sprawozdania roją się od przykładów antysowieckich i antywarszawskich wybryków. Były one starannie czytane w Północnym Departamencie FO, w którego gestii leżały sprawy polskie. 4 III 1946 urzędnik dopisał na bieżącym sprawozdaniu: „musimy przyjąć trochę odpowiedzialności za to, co [te gazety] piszą, a co jest zawzięcie antysowieckie i anty-rząd polski. Jak rozumiem, sprawa ich likwidacji jest obecnie rozważana”⁷. Co gorsza, dalsze sprawozdania cytują napady na ministra spraw zagranicznych Bevana i inne osobistości angielskie, które twierdzą, że w Polsce panuje wolność, co jakoś godzą z przyznawaniem, że mają tam miejsce morderstwa polityczne i inne nieprzyjemne zjawiska⁸.

Działalność Sadlera była łagodna w porównaniu z nadzorem, jaki FO roztaczało w ubiegłych latach i na bieżąco nad polską prasą w Anglii, a wpływała ona z niechęci Caserty do gnębienia Korpusu. Tymczasem zapadła decyzja o sprowadzeniu go do Anglii i Bevin szykował właśnie swój sławetny apel do członków PSZ wzywający ich do powrotu do wyzwolonej Ojczyzny. 29 III omawiał kontrolę nad jego prasą z gen. Morganem i zaznaczył, że szczególnie zależy mu, żeby właśnie teraz nie pisała niczego, co pokrzyżowałoby skuteczność tego apelu. Morgan zapewnił go, że ostatnio ustanowiona przez Casertę cenzura daje dobre wyniki, a Anders obiecał wszystko zrobić dla wyciszenia swych gazet⁹.

Jednocześnie R.M. Hankey z Północnego Departamentu, znawca spraw polskich, doniósł Bevinowi, że poruszy sprawę

6. FO 370/56613: N 2547.

7. tamże.

8. tamże: N 3837.

9. tamże: N 4384.

cenzury z Morganem, bo „Kwatera Główna Wojsk Alianckich jest pod tym względem trudna”, z czego skorzysta 15 gazet Korpusu rozrzuconych po całych Włoszech. Caserta twierdzi, że podjęte przez nią kroki dają dobry wynik, a zresztą wobec ustania cenzury prasy brytyjskiej byłoby niemożliwe zabronić druku kontrowersyjnych tekstów. Jednak nadzór nad prasą Korpusu jest niedostateczny i już w styczniu wzywała swych czytelników żeby ignorowali propagandę powrotu, z czego wynika, że oficer nadzorujący, który widzi ją dopiero po wydaniu, nie jest w stanie zapewnić „całkowitego obiektywizmu”. Należy więc zlikwidować te 15 gazet i wydawać jedną pod odpowiednim nadzorem¹⁰.

W czerwcu rozpoczęło się przerzucanie Korpusu do Anglii i War Office zawiadomiło gen. Kopańskiego, że jego prasa zniknie wraz z zakończeniem ewakuacji, a na jej miejsce polskie gazety już istniejące na tym terenie – *Polska Walcząca* oraz *Dziennik Polski* i *Dziennik Żołnierza* – powiększą swój nakład, ten drugi z 12 do 40 tys. egzemplarzy. Dziennikarze Korpusu będą podlegać przepisom dotyczącym Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozsiedlenia, a więc nie wolno im będzie pracować w prasie politycznej bez zgody jego angielskich władz, które jednak zgodzą się na zatrudnienie ich przez istniejące tutaj polskie czasopisma. Te hiobowe wieści pod koniec czerwca przekazali z Londynu do Ancony szefowi Oddziału Kultury i Prasy 2. Korpusu, płk. Michałowi Protasewiczowi, przysłani tu na zwiady Zbigniew Racięski, redaktor *Gazety Żołnierza* Zygmunt Stermiński i Paweł Zarembo, wraz z radą, żeby jadące do Anglii oddziały zabierały maszyny drukarskie i papier, którego dałoby się przewieźć kilkaset ton. A tymczasem już przybyli na Wyspę czytelnicy gazet Korpusu orzekli, że tutejsza polska prasa (usilnie ujarzmiana przez gospodarzy) pisze łgarstwa i że jest to prasa angielska w języku polskim¹¹.

Sprawę komplikowała dywersja Franciszka Bauer-Czarnomskiego, przedwojennego *attaché* prasowego w Londynie i współorganizatora sekcji polskiej BBC, dobrze widzianego

10. tamże.

11. Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego: A.XI a.30/9.

w FO – tym bardziej, że teraz przejawiał sympatie „warszawskie”. Jego propozycja założenia gazety drukującej prawomysłny materiał o Anglii i Commonwealth została przyjęta z uznaniem. Miała ona zapłacić pustkę powstałą po likwidacji prasy Korpusu i Bauer liczył na poparcie FO i War Office, które zapewni mu dystrybucję w obozach PKPR¹².

W tej sytuacji 17 VII wyruszył do Anglii sam Protasewicz w towarzystwie redaktora *Dziennika Żołnierza APW* Ludwika Rubla i redaktora *Orla Białego* Ryszarda Piestrzyńskiego, z zamiarem poruszenia sprawy u Hankeya i wybadania możliwości w redakcji *Dziennika Polskiego*. O tej wyprawie Sadler doniósł z Bolonii Hankeyowi uprzedzając go, że Polacy chcą u niego poruszyć sprawę otwarcia gazety w Anglii. Redaktorzy z Korpusu będą walczyć przeciw połączeniu prasy „włoskiej” z „angielską” pod pretekstem, że „polska prasa w Zjednoczonym Królestwie wychodzi dla czytelników znających angielski, którzy z angielskiej prasy czerpią wiadomości bieżące, a z polskiej komentarze. Uważają, że wydawanie jej pod angielską opieką w Anglii, jak dotychczas we Włoszech, skrepuje jej swobodę i dlatego zgadzają się, że w Anglii należy założyć gazetę jako prywatne przedsięwzięcie. Spodziewają się, że będą mogli korzystać z drukarni *Yorkshire Post*, a *Orla* mają zamiar wydawać w Belgii. Chodzą słuchy, że Anders zamierza założyć spółkę wydawniczą dla wydawania nowej gazety¹³.

Hankey wykręcił się od spotkania z Protasewiczem twierdząc, że sprawa zakładania gazet nie leży w kompetencji Północnego Departamentu¹⁴. Pozostał jeszcze Frank Savery, przedwojenny konsul generalny w Warszawie, obecnie używany przez FO jako „polski ekspert”. Rubel złożył mu wizytę i zyskał jego życzliwość. Savery doniósł do FO: „myślę, że żydowski instynkt Rubla do interesów może go skłonić do uczciwej współpracy z nami jeśli uwierzy, że nie ma żadnej szansy na wydawanie tutaj dziennika takiego jak sobie wyobraża”, a mianowicie pisma dla PKPR wydawanego

12. FO 370/56670: N 8585.

13. tamże: N 10830.

14. tamże.

przez redaktorów z 2. Korpusu. Savery próbował podsunąć mu myśl o współpracy z Bauerem, co Rubel odrzucił twierdząc, że Bauer już w lipcu 1945 skwapliwie nawiązał kontakt z reżymową ambasadą, co uprzedzi ludzi z Korpusu do jego gazety¹⁵.

31 VII odbyła się narada w War Office z udziałem przedstawicieli FO i Central Office of Information (następca Ministry of Information z czasów wojny), którzy zgodzili się, że dla gazet Korpusu w Anglii nie ma miejsca i War Office zadba żeby drukarnia i 100 ton papieru – własność *Dziennika Żołnierza APW* – zostały we Włoszech. Ze swej strony Central Office of Information zwiększył przydział papieru dla *Dziennika Polskiego* na 2 miesiące, a War Office spojrzy przychylnie na przyszłą gazetę Bauera w obozach PKPR¹⁶.

Wreszcie w szranki wkroczył gen. Anders. 11 IX odwiedził Savery'ego, a wynikiem wizyty było – jak ten doniósł Hankeyowi – że „teraz mam, o ile to możliwe, jeszcze mniej zaufania [do Andersa] niż dotychczas”. Savery był już wpiern uprzedzony przez War Office, że nie wolno psuć Andersowi dobrego nastroju, bo właśnie miał wyruszyć na objazd polskich obozów wojskowych na tym terenie i liczone, że od jego poparcia będzie zależało wstępowanie jego ludzi do PKPR. Możliwości Savery'ego były więc ograniczone do słuchania, bo „gdybym miał wolną rękę, to powiedziałbym Generałowi bez owijania w bawełnę, że nie ufam jego ugrzecznionym dziennikarzom z Włoch, którzy bałamucili Polaków we Włoszech przez ostatnie dwa lata i nie zauważam, że żałują za grzechy... Rezultat był taki, że musiałem wysłuchiwać najbardziej haniebnego szantażu. Generał powiedział, że jeśli mu nie pozwolimy wydawać tutaj specjalnej gazety dla ludzi 2. Korpusu, to będzie ją drukować w Brukseli, skąd będzie przychodzić tak samo jak gazety francuskie i belgijskie... Jeśli chodzi o nakład, to Anders chce 30 tys. egzemplarzy dziennika i 15 tys. tygodnika... Anders widocznie sobie wyobraża, że jak otrzyma przydział papieru

15. tamże: N 9987; N 10061.

16. tamże: N 10062.

na te pisma, to już będzie na stałe. Tu oczywiście też mogłem go pozbawić złudzeń, ale wiedziałem, że byłoby to wbrew zamiarom War Office”¹⁷.

Anders naciskał też na Hankeya, który był nieco życzliwiej doń nastawiony i twierdził: „jestem pewny, że on chce, żeby Korpus Rozsiedlenia się udał. Powiedział mi z oczywistą szczerością, że życzy sobie przejścia swych chłopców do życia cywilnego i czynnie pomaga im dostać się do Kanady. Stwierdził też, że wojna, w którą wpierw wierzył, jest sprawą odległą, wobec czego brak mu podstaw do trzymania swych ludzi razem”¹⁸. To usposobiło Hankeya nieco przychylniej, do myśli o wydawaniu pisma dla 2. Korpusu, w czym utwierdził go mjr Petrie. Pracował on w biurze prasowym (*public relations*) w Wiedniu i wtedy miał dużo do czynienia z 2. Korpusem, a teraz właśnie przechodził do cywila. Powiedział Hankeyowi, że Polacy zakładają spółkę handlową dla wydawania dziennika, którą on będzie zarządzał, i pragną poparcia FO. Petrie obiecał współpracować i stosować się do życzeń FO. Hankey zapewnił go, że FO chce widzieć „rozsądną gazetę” dla Korpusu Rozsiedlenia, ale nie chce jej oficjalnie popierać, żeby rządowi JKM nie przypisywano za nią odpowiedzialności. Co do prasy 2. Korpusu, to nie odznaczała się jak dotąd rozsądkiem i gorzkie rozczarowanie Polaków we Włoszech pochodzi stąd, że pozwoliła im żyć w krainie złudzeń. A teraz, jeśli Polacy będą drukować w Belgii i przywozić tutaj swe gazety, to Anglicy stracą całą kontrolę nad nimi, więc byłoby lepiej gdyby tutaj powstał zespół „chętny do współpracy, który dałby się dostosować do naszych poglądów i który miałby odpowiednie doświadczenie dziennikarskie żeby zacząć wkrótce tu wydawać naprawdę dobrą gazetę”. Należy więc zezwolić dziennikarzom z 2. Korpusu „razem z poważnymi londyńskimi Polakami” założyć gazetę i nadzorować ją za pośrednictwem Petriego, i to szybko, bo wkrótce cały Korpus znajdzie się w Anglii¹⁹.

17. tamże: 11768.

18. tamże.

19. tamże.

W tych warunkach Oddział Kultury i Prasy 2. Korpusu faktycznie przestał istnieć z chwilą zakończenia ewakuacji z Włoch, a na jego miejsce powstała spółka Gryf Publications Ltd, z Protasewiczem jako jednym z głównych udziałowców formalnych. Gryf uruchomił *Słowo Polskie* przeznaczone dla PKPR, którego pierwszy numer ukazał się w Londynie 12 XI 1946. Jego program, sformułowany w wezwaniu „Do czytelników” nie wróżył nic dobrego nadziejom pokładanym w nim przez FO:

„Spotykamy się więc jak starzy znajomi, ale w warunkach zupełnie nowych. Ku celom zasadniczym, które były, są i będą niezmiennie, zmierzać musimy nowymi sposobami. Naszym orężem stają się teraz nasza postawa i nasze postępowanie w codziennym życiu i codziennej pracy... Samą naszą postawą, naszą decyzją pozostania na obczyźnie póki Kraj nasz nie odzyska prawdziwej wolności, ważymy na biegu wypadków... Podstawą niewzruszoną jest wierność wobec Ojczyzny, lojalność wobec naszych konstytucyjnych władz i przyjaźń względem sojuszników...”.

Polską prasę nadal uważnie czytano w FO Research Department (dział badań) i sprawozdania o jej zawartości regularnie płynęły do Północnego Departamentu. 18 XI L.P.H. Barchard z FORD nadesłał swą opinię o *Słowie Polskim*: jego pierwsze trzy numery niewiele różnią się od *Dziennika Polskiego* choć mniej ostro napadają na ZSSR i, jak dotąd, nie wspomniały Wilna i Lwowa. Ale Raczkiewicza nadal tytułują prezydentem, a „londyński” współpracownik, prof. Stroński, wykpiwa wybory w Polsce i podkreśla dążenie do Polski całej i niepodległej. Natomiast zaletą *Słowa* jest to, że daje dość poprawny obraz spraw międzynarodowych, „co z pewnością może skłonić przeciętnego Polaka do zapomnienia, że Anders i Bierut są jedyną siłą wyższą decydującą o jego życiu na tej planecie”. Widać już jasno, że *Słowo* swej postawy nie zmienia i przy tym nie wspomina o *British way of life*, które zgodnie z instrukcjami miało opisywać²⁰. Przy takim nastawieniu jego żywot był krótki i ostatni numer (152) ukazał się 28 VI 1947. Skonało nagle i w bliżej nieokreślo-

20. tamże: N 14779; N 15309.

nych okolicznościach. Już w lutym proponowało połączenie się *Dziennikowi Polskiemu*, co jednak nie podobało się redaktorowi *Dziennika Horce*, a wiadomość o jego złej sytuacji finansowej dotarła do FO w maju²¹. Pożegnanie z czytelnikami w ostatnim numerze nie wyjaśnia czemu „w pełni sił i żywotności schodzi dziś z posterunku”²¹.

Czołowe pismo 2. Korpusu *Orzeł Biały* przetrwało dzięki przeprowadzce do Brukseli. W jego ostatnim włoskim numerze 43/44 z 27 X/3 XI 1946 generał Anders podsumował jego działalność:

„Stwierdzam, że *Orzeł Biały* rozwijając samodzielną myśl i wyrażając uczucia walczącego zwycięsko na polu bitwy żołnierza 2. Korpusu, stworzył zarazem jedno z najpoważniejszych, najsilniej i najszerzej promieniujących ognisk polskiej twórczości duchowej w tej wojnie. Wiele nowych i trwałych wartości ideowych sformułowano na łamach tego żołnierskiego pisma i wiele myśli trafnych wypowiedziano o nowym niebezpieczeństwie grożącym światu cywilizowanemu po klęsce totalitaryzmu niemieckiego, gdy głucho jeszcze było na ten temat w prasie narodów demokratycznych; wiele skutecznego wysiłku włożono by oświecić, z punktu widzenia polskiej racji stanu, bieg wypadków wojennych i politycznych”.

Następny numer wyszedł 16 XII w Brukseli, gdzie *Orzeł* pozostał przez dwa i pół roku, a w Anglii rozprowadzał go Gryf. Pierwszy londyński numer *Orla* ukazał się dopiero 14 V 1949, gdy zimna wojna rozpętała się na dobre, a chętni do powrotu Polacy już dawno wrócili do „wyzwolonej” Ojczyzny.

Hanna ŚWIDERSKA

21. FO 370/56500: N 2061; N 6270.

Konrad W. STUDNICKI-GIZBERT

ŁOTWA – WRAŻENIA I STATYSTYKI

Ryga jest śliczna, szczególnie późną wiosną, kiedy zielenią się drzewa skwerków i bulwarów, kiedy jest pełno kwiatów, a na błękitnym niebie wyraźnie widać panoramę miasta. Aczkolwiek Ryga ustępuje Wilnu pięknem kościołów, a hanzatycki Gdańsk jest bardziej imponujący niż stara Ryga, miasto jest naprawdę piękne i jego pięknem jest harmonijne połączenie stylów z różnych okresów. W Rydze, secesyjna kamienica zgodnie sąsiaduje z domami z XVI stulecia i nawet mniejszy brat okropnego Pałacu Kultury nie bardzo razi. Miasto jest zbudowane na miarę człowieka i przyjemnie po nim spacerować. Ludzie na ulicy wyglądają dobrze ubrani i Łotyszki umieją pokazywać piękne nogi w eleganckich spódniczkach mini. Porównując ludzi na ulicy w Rydze i w przeciętnym mieście amerykańskim, Łotysze wyglądają zamożniej i bardziej elegancko. W śródmieściu, dużo domów i ulic jest odnawianych i odmalowywanych, powstało wiele nowych restauracji – sporo eleganckich i dobrych – a wiele sklepów dorównuje wyglądem dobrym sklepom Europy Zachodniej. Wszystko to sprawia wrażenie kraju zamożnego, dynamicznego i zadbanego.

Niestety to tylko fasada. Wystarczy pochodzić trochę więcej po mieście. Już niedaleko od śródmieścia widać domy opuszczone, okna z rozbitymi szybami albo zabite deskami. W dzielnicach przemysłowych smutnie wyglądają opuszczone

fabryki. Koło hoteli sporo żebraków, i co najsmutniejsze, wiele żebrzących dzieci. Ale najbardziej szokującym i przykrym był dla mnie pewien drobny incydent: gdy piłem piwo przy stoliku na chodniku przy przyzwoitej kawiarence, podeszła do stolika dziewczynka, ładna blondynka, może jedenastolatka, w dobrze skrojonej czarnej, skórzanej spódnicy, z dyskretnym makijażem i *manicure* podkreślającym jej dziecinną urodę; poprosiła o pieniądze, ale mieszaniną łamanego angielskiego i niemieckiego dała do zrozumienia, że jest gotowa do udzielenia innych przyjemności. Podzieliłem się tą niemiłą obserwacją z dobrze poinformowaną Łotyszką, od której dowiedziałem się, że zjawisko dziecięcej prostytucji zaczyna się w Rydze coraz częściej pojawiać. Coraz więcej „turyistów o specjalnych upodobaniach” przyjeżdża z Zachodu, a nędza stwarza podaż. Ryga nie musi się stać drugą Manilą, bowiem jest zbyt bliska krajom zachodniej Europy i niemieckim prawom o karaniu obywateli Niemiec za nadużywanie seksualne dzieci poza granicami państwa, ale groźba wzrostu prostytucji dziecięcej jest bardzo realna. Służby opieki społecznej nie mają środków na rozsądną akcję zapobiegawczą, policja jest przeciążona i niesprawną, a z drugiej strony istnieje nędza i wzrasta demoralizacja.

Przejazdy po Łotwie przynoszą sprzeczne wrażenia. Ładny kraj, zielone pola, lasy i laski. Widać pola dobrze uprawione i dobrze utrzymane traktory, widać też zaniedbanie, małe i prymitywnie uprawiane pólka.

Statystyki rolnictwa wskazują na spadek produkcji. Z eksportera bydła i nierogaczyny Łotwa stała się importerem produktów hodowlanych. Szczęśliwie, drogą dzierżaw, tworzenia spółek i nabywania ziemi od bankrutujących właścicieli, następuje powolna komasacja *de facto*, zatem można zaobserwować większe, dobrze uprawiane pola obok zaniedbanych poletek i wzrost warzywnictwa i produkcji kwiatów obok śladów zaniedbania.

Bogactwem Łotwy są lasy. Szczęśliwie wskaźniki zniszczeń ekologicznych lasów łotewskich są zadowalające, ale są one niszczone przez rabunkową gospodarkę. Przejawy rabunkowej gospodarki leśnej wyraźnie widać, gdy się przelatuje względnie nisko nad krajem w słoneczne dni (co mi się

kilkakrotnie udało i to za każdym razem samolot leciał trochę inną trasą), a jeszcze bardziej jeżdżąc po łotewskich drogach i mijając liczne ciężarówki przeładowane pniami różnej grubości (znaczące różnice w średnicy pni są dobrym wskaźnikiem rabunkowego wyrębu). Obserwacje te potwierdzają statystyki produkcji drzewa, eksportowanego w surowym i pół-surowym stanie – oczywiście przepisy zalesiania wyrębów nie istnieją, a drzewo stało się jednym z najważniejszych eksportów Łotwy. Trochę się mówi o racjonalizacji produkcji, ale są to wypowiedzi ściśle teoretyczne.

Wielkim atutem Łotwy są jej porty. Specjaliści zachwycają się walorami geograficznymi Libawy. Na północ od Libawy leży Wentspils (Widawa), doskonały port o największych załadunkach na Bałtyku (załadunki Wentspils to nafta rosyjska). Ale, pełne wykorzystanie tych portów to ciągle muzyka przyszłości. Libawa ma wielką przyszłość, ale obecnie wszędzie widać tam nędzę, opuszczone domy, fabryki i składy. W zarządzie portu mówiono mi o stworzeniu „wolnego portu” i o tym, jak dzięki tysiącom metrów kwadratowych opuszczonych magazynów i fabryk „nie trzeba inwestować w budowę składów” (oczywiście widoczna nędza i opuszczone fabryki i magazyny odstraszały inwestorów). Niewątpliwie Libawa ma przyszłość, ale tymczasem jedynym przejawem realizacji tego potencjału jest przystań promów Ro-Ro (przewozu ciężarówek) oraz źle planowana i ciągle niezbudowana droga do portu. Reklamowany „wolny port” ciągle czeka na inwestorów. Z Libawą konkuruje Ventplis; zarząd portu podkreśla, że Ventplis ma nowoczesne urządzenia portowe i jest „drugim największym na świecie portem ładującym potas”, a jako „wolny port” ma nieograniczone możliwości przeładowania wszystkich towarów. Port kontenerowy Rygi jest dobrze urządzonej i nowoczesny. Porty łotewskie, przy dobrym planowaniu i rozsądnym kierowaniu inwestycji, a nie ich rozpraszaniu, mają niewątpliwie przyszłość, ale ta przyszłość nie zależy od tworzenia konkurujących ze sobą „wolnych portów”, ale od ruchu tranzytowego między Europą Zachodnią i Rosją.



Im dłużej się Łotwę obserwuję tym bardziej optymistyczne pierwsze wrażenia zmieniają się w coraz dłuższą listę problemów i poważnych trudności. Obserwacje, zwłaszcza obserwacje z sobą sprzeczne, wymagają weryfikacji statystycznej. Szczęśliwie, statystyki łotewskie są dobre i dostarczają prawdziwego bogactwa danych, pozwalających na porównywanie i weryfikację różnych serii statystycznych. Obraz Łotwy przedstawiony przez serie statystyczne jest przygnębiający. Produkt Krajowy Brutto (PKB) w 1996 roku stanowił 51 % dochodu 1990 roku (roku odzyskania niepodległości). Rok 1996 był rokiem, w którym dochód krajowy spadł do najniższego poziomu; w 1997 gospodarka łotewska odbiła się od dna i PKB wzrósł o 6,5%; obecnie (lato 1998) przewiduje się – raczej optymistycznie – że w ciągu następnych 5 lat będzie wzrastał 5% do 7% rocznie, co oznacza, że w 2002 roku osiągnie poziom między 70 a 80 procent poziomu 1990 roku¹. Warto przypomnieć, że w Polsce PKB spadał do 1993 roku i zaczął rosnąć od 1994, osiągając zadowalający wzrost dopiero w 1996 roku. Wbrew absurdalnym opiniom panującym w niektórych kołach, kwestionujących miarodajność statystyk spadku dochodu narodowego w krajach przyjmujących system gospodarki rynkowej, rachunki makroekonomiczne gospodarki narodowej są potwierdzane przez statystyki produkcji, konsumpcji i inne wskaźniki.

Starannie przeprowadzone ankiety wykazują, że wartość przeciętnych zarobków na Łotwie spadła w latach między 1993 a 1996 – a 1993 rok był rokiem nędzy a nie dobrobytu. W 1993 przeciętne miesięczne zarobki netto wynosiły 41 latów a koszt „minimalnego zbioru koniecznych dóbr i usług na głowę” wynosił 37,59 latów; w 1996 roku zarobki miesięczne netto wzrosły do 78,65 latów podczas gdy koszt minimalnego zbioru dóbr i usług osiągnął 73,78 latów – oznacza to spadek około 2,3% (przypominam, że dochód narodowy spadł między 1990 i 1993 rokiem). Tablica „dochodu ludności” zawiera też następującą uwagę: „w czwartym kwartale 1996 roku, 64% rodzin podało, że ledwo może związać koniec z końcem, 9% aby przeżyć likwiduje swoje

1. Latvijas Statistikas Gadagramata/Statistical Yearbook of Latvia, 1997. Dane z 1997 roku: szacunki Ministerstwa Ekonomii.

oszczędności, a 21% coraz bardziej się zadłuża”. Dane te potwierdzają statystyki płac: siła nabywcza płac między 1990 a 1996 rokiem spadła o 49%². Powstaje zamożna „nowa klasa”, pojawiają się nowoczesne i drogie samochody i coraz dramatyczniej wzrasta nierówność dochodów – wzrasta konsumpcja jednych i spada konsumpcja innych grup społecznych. Trudno mi się powstrzymać od zacytowania rozmowy w biurze, w którym pracowałem. „Ryga się pięknie odnawia i nareszcie możemy kupić to co chcemy, kiedy chcemy i to dobrej jakości” – oświadcza jedna z pań, sprawująca raczej odpowiedzialną funkcję. „Tak – odpowiedział jej biurowy sąsiad – ale przed zmianą mieliśmy wszyscy co jeść i w co się ubrać, a teraz możemy wszystko kupić, ale nie mamy za co i większość z nas jest głodna”. Mąż owej pani stał się zamożnym członkiem „nowej klasy”, a pan, który mówił o głodzie, miał dużą rodzinę na utrzymaniu; aby dodać tej rozmowie trochę pikanterii, wspomnę, że owa pani była Rosjanką, a ów pan Łotyszem...



Trudności ekonomiczne odzwierciedlają statystyki społeczne – śmiertelność dzieci wzrosła, obniżył się szczyt osiąganego wieku, wzrosła zachorowalność. Łotwa osiągnęła bardzo wysoki stopień aborcji – 122 aborcje na 100 urodzin³ – co nie jest wskaźnikiem upadku moralności, ale biedy: ludzi nie stać na dzieci, nie stać ich również na środki zapobiegania ciąży, a aborcje są tanie i łatwe. Przyrost naturalny Łotwy dramatycznie spadł i stał się negatywny – nic więc dziwnego, że w Rydze widzi się wiele nastolatków i „młodych dorosłych”, ale prawie nie widać małych dzieci ani kobiet w ciąży.

Obserwacje opuszczonych domów i stosunkowo małej ilości nowych budowli potwierdzają statystyki mieszkaniowe: tylko 2% istniejących domów mieszkalnych została zbudowana po 1991 roku, a procent budynków bardzo starych, zbudowanych przed 1945 rokiem, przewyższa sześciokrotnie

2. Latvijas Statisticas Gadagramata, 1997, tabela 6-1, str. 85.

3. tamże, tab. 10-12, str. 160.

procent nowych domów mieszkalnych. Między 1992 a 1996 nastąpiła masowa reprivatyzacja mieszkań i domów mieszkalnych; niestety była ona przeprowadzona bezmyślnie: wielu nowych właścicieli, nie mając środków na niezbędne remonty, masowo opuszczało odzyskane mieszkania i domy, tak więc 12% mieszkań znajduje się w „stanie nieużywalnym” – są to owe poprzednio wspomniane opuszczone domy z wybitymi oknami (moje obserwacje wskazują, że więcej jest opuszczonych domów w Libawie i na wsi niż w Rydze, ale obserwacji tych nie udało mi się statystycznie zweryfikować).



Przyszłość gospodarcza Łotwy zależy, w znacznej mierze, od sytuacji w Rosji. Łotysze słusznie podkreślają, że kraj ich jest mostem między Europą a Rosją, dochody z tranzytu są niezbędne aby pokryć wysoki deficyt bilansu handlowego, a obroty towarowe z Rosją, Białorusią i Ukrainą wynoszą prawie 30% obrotów towarowych Łotwy i stanowiłyby wyższy procent, gdyby nie rosyjskie utrudnienia. Znakomite porty, powstające związki z Europą Zachodnią i Skandynawią, dobre połączenia transportowe z Moskwą i St. Petersburgiem stanowią wielki atut tego kraju. Łotwa jest zależna gospodarczo od Rosji, ale zależność ta jest pełna paradoksów: polepszenie sytuacji ekonomicznej w Rosji zwiększa łotewskie dochody z tranzytu i przetwarzania towarów na rynek rosyjski, ale zamęt i niepewność w Rosji zwiększają atrakcyjność Łotwy dla firm zachodnich myślących o rynku rosyjskim, ale bojących się w Rosji zaangażować i – co jest największym paradoksem – tym bardziej Łotwa jest atrakcyjna dla inwestorów rosyjskich. Inwestycje rosyjskie na Łotwie są bardzo poważne, aczkolwiek nie bardzo widoczne: wielu inwestorów rosyjskich inwestuje na Łotwie za pośrednictwem, albo pod szyldem firm zachodnich. Znam wypadek firmy łotewskiej, którą nominalni właściciele zachodni sprzedali innej firmie zachodniej. Nie byłoby to ciekawe, gdyby nie fakt, że ta sama osoba – inwestor rosyjski – była prawdziwym sprzedającym i kupującym, a powód tej dziwacznej transakcji nic nie miał wspólnego z Łotwą! W wielu wypadkach, firma

zachodnia woli częściowo finansować swoje inwestycje na Łotwie przez pożyczki albo odstąpienie części udziałów inwestorom rosyjskim – dla firmy zachodniej inwestycja na Łotwie jest ciągle uważana za ryzykowną, podczas gdy dla inwestora rosyjskiego współudział w firmie zachodniej pracującej na Łotwie jest znacznie mniej ryzykowny niż inwestycja w Rosji, zatem wspólna inwestycja, pod szyldem firmy zachodniej, zmniejsza ryzyko obu stron. Ale istnieją też odwrotne przepływy kapitałowe. Na początku 1998 roku łotewski bank centralny odkrył, że większość krótkoterminowych inwestycji banków łotewskich stanowią rosyjskie papiery wartościowe. Przy wysokiej stopie procentowej w Rosji ma to ujemny wpływ na stopę procentową na Łotwie i, co ważniejsze, wprowadza element dodatkowego ryzyka (w czasie kryzysu rubla, istniała poważna możliwość, że załamanie się rubla spowodowałoby kryzys banków łotewskich).



Stosunki łotewsko-rosyjskie komplikuje pamięć historyczna. Łotysze nie zapomnieli lat okupacji sowieckiej i masowych deportacji w epoce stalinowskiej; Rosja nie może zapomnieć, że Łotwa była częścią imperium carskiego i sowieckiego i że porty łotewskie a nie Królewiec czy nawet St. Petersburg są jej naturalną morską bramą na zachód. Dla Rosji, Łotwa to „bliska zagranica”, kraj w którym mieszka liczna mniejszość rosyjska, ale kraj dla niej wrogi i za tę domniemaną wrogość zasługujący na karę. Stosunek ten jest oczywistym absurdem, ale absurdem łatwym do wyzyskania w rosyjskiej polityce wewnętrznej. Mieszkaniec Niżnego Nowgorodu czy Krasnojarska może nic o Łotwie nie wiedzieć, ale będzie przyklaskiwał politykom, obiecującym „ukarać Łotwę za prześladowanie naszych”.

Wrogość Rosji przejawia się w różnych przepisach, ograniczeniach i embargach, których wyraźnym celem jest utrudnianie życia gospodarczego państw bałtyckich (zwłaszcza Łotwy, bowiem Litwa, z różnych powodów jest traktowana lepiej). Swój wrogi stosunek do Łotwy Rosja „uzasadnia” sytuacją rosyjskiej mniejszości narodowej.

Niewątpliwie problem rosyjskiej mniejszości narodowej na Łotwie istnieje. Jest to problem niesłychanie ważny i skomplikowany.

Między 1935 a 1997 rokiem procent Łotyszy w ludności kraju spadł z 77% do 55,3% a procent Rosjan wzrósł do 32,5%. Co więcej, Łotysze stanowią mniejszość w prawie wszystkich większych miastach (nawet w Rydze, Łotysze stanowią nieco więcej niż 40% ludności)⁴. Ryga jest miastem dwujęzycznym – łotewski dominuje w napisach i jako język urzędowy; rachunki wystawiane są po łotewsku i biuletyny informacyjne wiszące na ścianach urzędów i firm są w języku łotewskim – ale faktycznie, językiem dominującym jest rosyjski. Na biurku rządowego dygnitarza leżą notatki pisane przez niego po rosyjsku i na otrzymane w czasie mojej wizyty telefony odpowiadał po rosyjsku. Odwiedzając wiele biur rządowych i prywatnych miałem wrażenie, że jestem w Montrealu w latach sześćdziesiątych – tak jak wówczas w Montrealu oficjalnym językiem był francuski, ale w rzeczywistości większość transakcji odbywała się po angielsku, tak w Rydze nie urzędowy język łotewski, ale nieformalnie i z niechęcią przyjęty, dominuje język rosyjski.

Liczebność i wpływy mniejszości rosyjskiej są oczywiste. Czy jest to mniejszość uciskana? I tak i nie. Niewątpliwie istnieje oficjalna dyskryminacja wobec Rosjan. Tylko 39% Rosjan ma obywatelstwo rosyjskie (63% Polaków ma obywatelstwo łotewskie); aby obywatelstwo to otrzymać trzeba zdać egzamin z łotewskiego i, w praktyce, Rosjanie mają specjalne trudności z egzaminem i urzędnicy w biurach naturalizacji otwarcie się przyznają, że tylko mały procent Rosjan może przeskoczyć tę przeszkodę. Ale w życiu zawodowym i prywatnym konflikty narodowościowe i dyskryminacja są znacznie mniej widoczne. Jak jest naprawdę? Obserwacje z zewnątrz są z natury rzeczy bardzo subiektywne. Dziennikarz zachodni, instynktownie wrogi dyskryminacji i wrażliwy na prawa mniejszości, nie ma trudności w znalezieniu przykładów krzywdzącej dyskryminacji. Dziennikarz polski nato-

4. Elmars Vebers, „Latvijas Valsts un Etniskas Minoritates”, Riga, 1997, str. 20.

miast instynktownie przyznaje rację Łotyszom i podkreśla prześladowania epoki sowieckiej, w czasie której nastąpił masowy przypływ ludności rosyjskiej i zagrożenie istnienia narodu łotewskiego.

●

Jak zwykle w rzeczywistości, problem jest bardzo skomplikowany i uniemożliwia łatwe uogólnienia. Zaczniemy od faktów. W czasie wojny i w latach stalinowskich Łotwa przeżywała okrutne prześladowania i masowe deportacje. Szacunki ludności deportowanej nie są łatwe, ale nawet konserwatywne szacunki wykazują, że około 10% ludności Łotwy została deportowana i ogromny procent deportowanych zginął. Poza tym Łotwa straciła ludność żydowską i znaczny procent inteligencji łotewskiej zdefiniowanej przez Niemców jako pochodzenia żydowskiego. W czasie wojny, gdy Niemcy „repatriowali” Niemców bałtyckich, wielu Łotyszy, aby uchronić się od życia pod okupacją sowiecką, zadeklarowało się jako „pochodzenia niemieckiego”. Straty ludnościowe i kulturowe Łotwy w okresie 1940-1960 były ogromne i deportacje sowieckie były odpowiedzialne za wysoki procent (65-75%) tych strat. Natomiast zupełnie nie jest prawdą, że przypływ Rosjan był bezpośrednio związany z deportacją Łotyszy. Niewątpliwie polityka stworzenia „sowieckiego narodu” odgrywała poważną rolę, ale większość Rosjan przybyła na Łotwę już po 1960 roku⁵, w okresie budowy przemysłu i powstawania centrali regionalnych. Centrale regionalne są ciekawym i zwykle zapominanym zjawiskiem ustroju sowieckiego. Nie miały one wiele wspólnego z podzia-

5. Między 1935 a 1959 rokiem liczba Łotyszy spadła o 9%, co jest zgodne z szacunkiem strat w okresie wojny i deportacji około 12-15% kompensowanego częściowo małym wzrostem naturalnym. Od 1959 do 1994 roku ilość Łotyszy wzrastała, ale dzięki przypływowi Rosjan, Białorusinów i Ukraińców, procent Łotyszy w ludności Łotwy spadł z 62% w 1959 roku do 52% w 1989. Od 1995 roku, w wyniku ujemnego przyrostu naturalnego, ilość Łotyszy liczbowo nieco się zmniejszyła, ale dzięki emigracji Białorusinów, Rosjan, Polaków i Ukraińców, procent Łotyszy wzrósł z 52% w 1989 roku, do 54% w 1994 r., do 55% w 1997 r.

łem administracyjnym czy podziałem regionalnym partii, ale wyłoniły się samorzutnie w ramach wielkich przedsiębiorstw i w organizacji zaopatrywania sił zbrojnych. Pracując w Gruzji odkryłem, że Tbilisi było takim centrum regionalnym Kaukazu, gdzie mieściły się biura regionalne i warsztaty naprawcze Aerołotu i kolei, magazyny i centra zaopatrzenia armii, itp. Podobną rolę w krajach bałtyckich spełniała Ryga (pracując na Litwie słyszałem często od różnych menadżerów powiedzenia, „że o wszystkim decydowała Ryga”). W tych centrach regionalnych zatrudniani byli przeważnie Rosjanie. Tak czy inaczej, większość Rosjan mieszkających na Łotwie pochodzi z tego okresu, byli to „osadnicy kierowani” do powstających miejsc pracy, nawet jeśli nie byli „osadnikami przymusowymi” mającymi zastąpić deportowanych Łotyszy. Dziś, ludzie przybyli na Łotwę (Rosjanie i Ukraińcy) są albo ludźmi starszymi, mającymi powyżej 50 lat, albo są to ich dzieci urodzone i wychowane na Łotwie. Ludzie starsi mają ogromne trudności. Przy istniejącym bezrobociu i likwidacji dawnych centrów regionalnych, mają oni specjalne trudności w znalezieniu pracy, a ci którzy muszą żyć z emerytur, często żyją w nędzy; ale ich smutny los nie jest koniecznie wywołany dyskryminacją, ale ogólną sytuacją. Trudniej uogólniać sytuację młodszych Rosjan. Wielu, tak jak Łotysze, cierpi biedę, a wielu z nich weszło do „nowej klasy”, stanowiąc większość klasy przedsiębiorców.

Pozwolę sobie przytoczyć przykłady. Pan M. prowadzi dobrze rozwijające się przedsiębiorstwo. Karierę przedsiębiorcy rozpoczął w okresie Breżniewa korzystając z zezwoleń na tworzenie małych kooperatyw. Dostarczał usługi przedsiębiorcom państwowym i, obchodząc prawo, które zakazywało zatrudniania pracowników, zatrudniał kilkudziesięciu pracowników „na czarno”. Po uzyskaniu niepodległości, związał się z firmą zachodnią starającą się inwestować na Łotwie, a gdy firma ta napotkała więcej trudności niż przewidywała, przejął niektóre jej działy. Następnie pan M. kupił za grosze fabrykę i maszyny opuszczone przez zbankrutowane przedsiębiorstwo państwowe. Obecnie zatrudnia kilkuset pracowników, eksportuje na Zachód i prowadzi w sposób przykładowy swoje przedsiębiorstwo. Pan M. nie mówi po łotewsku, ani po

łotewsku nie mówi jego piękna asystentka, która natomiast włada doskonale angielskim i niemieckim, a zupełnie nieźle włoskim i szwedzkim. Pan M. nie ma obywatelstwa łotewskiego, co mu specjalnie nie przeszkadza, ale czuje się związany z Łotwą, bowiem „z Rosją nic mnie już nie łączy, a tu mam rodzinę i przyjaciół”. Wśród przyjaciół pana M. są Łotysze, włącznie z ministrami i politykami. Na zapytanie czy, jako Rosjanin, spotyka się z dyskryminacją, odpowiedział: „przez pierwsze lata przeszkadzał mi paszport bezpaństwowy, ale dziś jadę kiedy chcę na Zachód, a zbyt wiele czasu zajmuje mi rozbudowa przedsiębiorstwa, aby mnie polityka interesowała”. Podobne opinie słyszałem od kilku innych przedsiębiorców Rosjan.

W czasie mojego pobytu spotkałam też wielu Łotysz, włącznie z ludźmi, którzy przeszli deportacje sowieckie i których rodzice zginęli w Kazachstanie. Nie słyszałem od nich wrogości do Rosjan, tylko silną pamięć ucisku sowieckiego i obawę przed Rosją. Łotysz, profesor politechniki, zapytany o bieżący konflikt na temat zastąpienia rosyjskiego przez łotewski na wyższych uczelniach, wyraził następujący pogląd: „Jestem Łotyszem, dbam o język, ale zastąpienie rosyjskiego przez łotewski w pracach politechniki jest absurdem. Używamy podręczników w języku rosyjskim i wolę używać podręczników tłumaczonych z angielskiego na rosyjski, niż pisanych po angielsku” (sam mówił dobrze po angielsku). Uważa, że „cały ten problem jest niepotrzebnie rozdęty” przez obie strony.

Obserwując zachowanie się młodzieży, widziałem często wypadki jak dwie grupki studentów, jedna mówiąca po łotewsku, druga po rosyjsku, po pewnym czasie się łączyły i przechodziły na rosyjski. W hotelu w którym mieszkałem była restauracja, w której odbywały się przyjęcia z okazji ślubów, czy innych uroczystości. W czasie tych okazji ulica przed restauracją była pełna młodzieży, dobrze ubranej i oczywiście pochodzącej z „nowej klasy”. Jak na całym świecie, młodzież ta była hałaśliwa, i rozśpiewana. Starałem się odkryć w jakim języku sobie powrzaskiwali i flirtowali – prawie zawsze używali zarówno rosyjskiego i łotewskiego, często się przerzucając z jednego na drugi. Tłumek ten zachowywał się

bardziej dwujęzycznie, niż podobne grupki w Montrealu. Na zakończenie, przytoczę opinię jednej inteligentnej Łotyszki: „Ci którzy zaczynają się dorabiać, nie mają czasu na nacjonalizm; ci, którzy żyją w biedzie, nie mają na to sił; nacjonalizm nacjonalizmem, ale życie musi toczyć się normalnie”. Obawiam się, że wszystko to jest prawdą, ale nie całą prawdą, i że w tym biednym i skomplikowanym kraju, pod przykrywką normalnego życia, istnieją prawdziwe antagonizmy. Może nie tak silne jak się wydaje słysząc i czytając o różnych manifestacjach, ale niewątpliwie silne.

Podkreślam, są to obserwacje powierzchowne; większość moich rozmówców to ludzie „nowej klasy” i z wyjątkiem paru wyższych urzędników – politycznie niezaangażowani. Gdybym rozmawiał z innymi grupami, z literatami, dziennikarzami albo politykami, czyli grupami z którymi normalnie dziennikarze szukają kontaktów, wrażenia moje byłyby przypuszczalnie inne, równie nieobiektywne.



Aczkolwiek łatwo jest przytaczać przykłady rozsądnego współżycia Łotyszy i Rosjan, byłoby nonsensem zaprzeczać, że zasadniczym wewnętrznym problemem Łotwy jest problem mniejszości rosyjskiej. Co więcej, ten bardzo poważny problem jest zaostrzany czynnikami emocjonalnymi i wzajemną demonizacją. Według mitu łotewskiego, Rosjanie to pozostałość przymusowych osadników sowieckich, sprowadzonych na miejsce deportowanych Łotyszy, a obecnie „piąta kolumna” i komuniści, a – co najgorsze – ludzie, którzy są i chcą być obcy krajowi w którym żyją. Na uzasadnienie tego mitu przytacza się przykład manifestacji studentów rosyjskojęzycznych przeciw wprowadzaniu na wyższe uczelnie przymusowego języka łotewskiego, manifestacji raczej bezsensownej, spowodowanej bardziej normalnym lenistwem studentów niż ich antyłotewskim nacjonalizmem. Według mitu rosyjskiego, nacjonałiści łotewscy to spadkobiercy SS. Jako „dowód” tej teorii przytacza się przykład manifestacji łotewskich kombatanów SS, w której brał udział szef łotewskiej armii (za co został następnie wyrzucony pod wpływem nacisku

amerykańskiego). Manifestacja ta była głupia i konfliktowa, jak też głupie były tłumaczenia, że ci byli SS-mani byli włączeni do wojska niemieckiego z poboru i „nie walczyli dla Niemców, ale tylko o niepodległość Łotwy” jest, powiedzmy delikatnie, niezupełnie zgodne z historią (w mordowaniu Żydów współpracowało wielu Łotyszy i wielu Łotyszy służyło nie tylko w Waffen-SS, ale też w SS-SD). Z drugiej strony, pod pomnikiem – z sowieckich czasów – łotewskich „czerwonych strzelców” codziennie ludzie zostawiają kwiaty (widziałem jak dwie babcie, mówiące po łotewsku, pod tym pomnikiem składały kwiaty). Przeszłość jest bardzo skomplikowana i wymyka się łatwym uogólnieniom. Dla większości Łotyszy, czasy okupacji niemieckiej, SS i zniszczenia Żydów, w czym uczestniczyła tylko znikoma ich mniejszość, to są czasy przedhistoryczne, niezwiązane z dzisiejszym wysiłkiem pokojowej i pracowitej odbudowy kraju. Dla większości Rosjan, urodzonych albo wychowanych na Łotwie, Łotwa stała się ich krajem, a z Rosją wiąże ich tylko język i kultura.

Aczkolwiek mity przesadzają przepaść między współzyczącymi narodowościami, faktem jest, że istnieje problem łotewsko-rosyjski. Nawet abstrahując od pamięci ucisku, Łotysze mają powody do troski. Mimo wszystkich ograniczeń, dominacja języka rosyjskiego w miastach jest oczywista. Gazety w języku rosyjskim mają znacznie więcej ogłoszeń, niż gazety w języku łotewskim. Gdy firmy zachodnie ogłaszają posady, żądając pracowników dwujęzycznych, „dwujęzyczność” nie oznacza znajomości angielskiego (czy niemieckiego) i łotewskiego, ale znajomość angielskiego (albo niemieckiego) i rosyjskiego. Masowa naturalizacja Rosjan zmieniłaby geografię polityczną Łotwy. Przyjmując fakt, że Rosjanie przeważają w miastach oraz normalne zjawisko, że frekwencja wyborcza w miastach jest wyższa niż na wsi, w wyniku masowej naturalizacji Rosjan około 40% wyborców głosowałoby na listy rosyjskie, co przy istniejącym rozbiciu partyjnym spowodowałoby, że bez udziału albo współpracy Rosjan nie można by stworzyć rządu. Z drugiej strony, sytuacja, w której 30% ludności jest pozbawionych praw obywatelskich, jest nie do przyjęcia w nowoczesnym świecie. Z punktu widzenia Unii Europejskiej problem mniejszości

rosyjskiej jest jeszcze jednym z punktów konfliktowych z Rosją, a propaganda o „ucisku ludności rosyjskiej” wzmacnia pozycję grup nacjonalistycznych i postkomunistycznych w Rosji. Zatem zasady etyki społecznej i pragmatyczne względy polityczne powodują nacisk państw zachodnich na Łotwę „aby coś zrobiła” dla polepszenia sytuacji prawnej mniejszości rosyjskiej. W wyniku tego nacisku, prawo o obywatelstwie zostało zmienione 23 czerwca 1998 roku. Wprowadzone zmiany są raczej skromne ale idą w dobrym kierunku: dzieci urodzone na Łotwie po odzyskaniu niepodległości mają prawo do obywatelstwa łotewskiego, co powinno złagodzić sytuację w następnym pokoleniu, oraz ułatwiono egzamin z łotewskiego dla ludzi starszych.

Trzeba zaznaczyć, że reformy te, wprowadzone pod naciskiem Unii Europejskiej, nie są dobrze przyjmowane. Dostałem komunikat z oświadczeniem łotewskiego ministra spraw zagranicznych, w którym znajduje się następujące zdanie: „Biorąc pod uwagę, że celem polityki łotewskiej jest uzyskanie członkostwa Unii Europejskiej, oraz przyjęty [przez Łotwę] warunek polityczny wstępnego partnerstwa [*Accession Partnership*] o ‘ułatwieniu procesu naturalizacji, aby przyczynić się do integracji nie-obywateli, a zwłaszcza bezpaństwowych dzieci’ Łotwa uczyniła znaczny postęp”, a na zakończenie tego oświadczenia, minister wyraził wdzięczność instytucjom międzynarodowym za pomoc w tym kroku. Urzędnik ministerstwa, od którego dostałem ten komunikat, dodał: „jak za czasów sowieckich, musimy dziękować za to, że kazano nam zrobić to czego nie chcieliśmy; ale to już historyczny los Łotwy – dziękowaliśmy Krzyżakom, dziękowaliśmy kupcom Hanzy, dziękowaliśmy Szwedom, następnie Polakom, a potem Rosjanom, teraz dziękujemy Zachodowi”. Cynizm czy realizm? Tak czy inaczej, Łotwa czuje się zagrożona przez Rosję i opuszczona przez wszystkich. Według wersji łotewskiej, Estonia to ukochane dziecko Finlandii i Skandynawów, Polacy dbają o Litwę, a nikt nie dba o Łotwę (pod tym względem wizyta Kwaśniewskiego była bardzo na czasie). Czując się „opuszczonymi”, Łotysze robią wszystko co mogą aby wejść do Unii Europejskiej, aczkolwiek ze wszystkich umów przedwstępnych (*Accession Partnership*),

Łotwa zgodziła się na najcięższe warunki. Łotysze są realistami, nie mają złudzeń, że warunki wstąpienia do Unii Europejskiej będą trudne, ale rozumieją, że członkowie Unii nie zawsze przestrzegają jej praw i reguł i że, tak jak wszyscy inni, będą mogli je obchodzić.

Nawet abstrahując od presji z zewnątrz, włączenie Rosjan do życia politycznego Łotwy jest na długą metę konieczne i nie musi zagrażać państwowości łotewskiej. Coraz częściej zwraca się uwagę na powstawanie zjawiska „Euro-Rosjan”, to jest Rosjan żyjących na Łotwie, związanych z Łotwą i uczestniczących we wzmacniających się związkach między Łotwą a Europą. Niewątpliwie, z czasem i o ile nie przeszkodzi temu nacjonalizm, wyrastające pokolenie łotewskich Rosjan, mimo utrzymania rosyjskiej kultury i języka, będzie stawało się coraz bardziej związane z Łotwą i coraz bardziej odmienne od Rosjan w Rosji. Będąc optymistą, można się spodziewać, że z czasem Łotysze przyjmą fakt, że kraj ich będzie dwujęzyczny i dwukulturowy i że właśnie ta dwujęzyczność przynosić będzie korzyści. Mam nadzieję, że tak będzie, ale w dalekiej przyszłości. W międzyczasie trzeba ufać w zdrowy rozsądek i umiejętność współżycia – co jest trudne ale możliwe.



Na zakończenie, garstka obserwacji na temat Polonii na Łotwie. Rodzina mojego ojca pochodzi z dawnych Inflantów Polskich, więc będąc na Łotwie musiałem wstąpić do Dynaburga i odwiedzić tamtejszy dom polski i szkołę polską. Piszząc o Polakach na Łotwie narzucają się trzy słowa: patriotycznie, skromnie i rozsądnie.

Patriotyzm Polaków na Łotwie czy na Litwie to patriotyzm tak głęboki i uczuciowy jakim był patriotyzm naszych ojców czy dziadków (szczególnie tych z kresów), ludzi którzy nic nie wiedzieli o granicy nazwanej rozsądkiem. Polonia na Łotwie trwa, aczkolwiek mało ma ku przetrwaniu warunków, i potrafi zarówno zdobyć się na piękne gesty, jak wystawienie krzyża polskim żołnierzom poległym w czasie wyzwolenia Dynaburga, jak też rozsądnie rozwiązywać ważne problemy

praktyczne. Skromnie, rozsądnie i z ogromnym poczuciem estetyki jest prowadzona polska szkoła, istnieje biblioteka i dom polski i wychodzą bardzo skromne, polskie pisemka. Pomoc ambasady polskiej jest też skromna i rozsądna i – co stanowi przyjemny kontrast z Polonią w Wilnie – rozsądnie układają się stosunki między ambasadą a Polonią. Prawdopodobnie wiele w tym jest zasługi pierwszego sekretarza ambasady, Medarda Masławskiego, który sam pochodzi z kresów, ma rodzinę poza wschodnimi granicami Polski i umie się wczuć w potrzeby i sposób działania tamtejszych ludzi. Nie chcę idealizować – to co widziałem ogromnie mi zaimponowało, natomiast z czasem, prawdopodobnie bym odkrył tarcia i zgrzyty. Ale nawet jeśli rzeczywistość okazuje się nieco odmienna od pierwszego wrażenia, rzadko te różnice są bardzo dramatyczne.

Niestety, warunki przetrwania Polonii na Łotwie nie stawiają optymistycznie. Statystyki łotewskie podają liczbę Polaków na Łotwie w 1997 roku na prawie 55 tysięcy ludzi, co oznacza spadek prawie dziesięcioprocentowy w porównaniu z 1989 rokiem; większość Polaków mieszka w Dynaburgu i okolicach, czyli w Letgalii, najbiedniejszej, najbardziej zrusyfikowanej i najbardziej narażonej przez rosyjskie embargo części Łotwy. Aczkolwiek polska ludność Dynaburga zachowała swoją tożsamość i jest szanowana zarówno przez władze łotewskie, jak i przez rosyjską większość, grupa ta szybko topnieje. W 1996 roku 89% Polaków łotewskich i 90% łotewskich Polek ma współmałżonka nie polskiej narodowości⁶, a 56% używa w domu języka rosyjskiego⁷. Nie można też zapominać, że, w znacznym stopniu, osiągnięcia Polonii dynaburskiej są wynikiem zacięcia, systematycznej pracy i poświęcenia małej garstki niemłodych już ludzi. Co będzie, gdy ci ludzie odejdą?

Będąc rodzinnie związany z dawnymi Inflantami Polskimi, ze smutkiem patrzyłem na rozpadające się tam stare polskie pałace, dwory i dworki. Obecnie potomkowie ludności dawnych Inflantów Polskich stanowią mniejszość wśród

6. tamże, tab. 4-14, str. 57

7. Elamrs Vebers, „Latvijas Valsts un Etniskas Minoritates”, tab. 9, str. 45.

tamtejszej Polonii, której większość pochodzi z następnych fal osadniczych. Różne fale osadnictwa polskiego potrafiły stworzyć społeczność małą, ale wewnętrznie silną, której nie jest obojętna bardzo dawna przeszłość (symbolem której stają się próby ratunku rozpadającego się pałacu Platerów) i nieco mniej dawna, jak wyzwolenie Dynaburga od bolszewików i oddanie go Łotwie. W czasie ostatniej wojny wielu starszych Polaków walczyło w Armii Krajowej, a następnie przeżyło okropny ucisk epoki stalinowskiej. Dziś mała społeczność polska w Dynaburgu nieuchronnie topnieje, ale przechodzi do przeszłości z godnością i z zasługującymi na specjalny szacunek poświęceniem i rozsądkiem.

Konrad W. STUDNICKI-GIZBERT

DOKUMENTY

Andrzej GARLICKI

ZEZNANIA BOLESŁAWA PIASECKIEGO

Życiorys Bolesława Bogdana Piaseckiego (1915-1979) kryje wiele tajemnic i niejasności. Należy do nich m.in. kilka miesięcy, które spędził w więzieniu w latach 1944-1945. Aresztowany został w wyniku denuncjacji 12 listopada 1944 r. w podwarszawskim Józefowie. Mimo młodego wieku (nie ukończył jeszcze 30 lat), miał już bogaty życiorys polityczny. Jeszcze w gimnazjum wstąpił do Narodowej Organizacji Gimnazjalnej sterowanej przez Stronnictwo Narodowe. W czasie studiów prawniczych na Uniwersytecie Warszawskim (1931-1935) był kierownikiem Oddziału Akademickiego Obozu Wielkiej Polski, a po rozwiązaniu OWP przez władze w marcu 1933 r. działał początkowo w Sekcji Młodych Stronnictwa Narodowego a następnie w powstałym w kwietniu 1934 r. Obozie Narodowo-Radykalnym.

W pierwszych dniach lipca 1934 r., po udanym zamachu na ministra spraw wewnętrznych Bronisława Pierackiego, o co początkowo niesłusznie podejrzewano oenerowców, znalazł się na ponad dwa miesiące w Miejscu Odosobnienia w Berezie Kartuskiej, jak oficjalnie nazywano tworzony właśnie obóz. Było to bolesne doświadczenie, ale Bereza nie złamała i nie zastraszyła młodych narodowców. Przeciwnie – wzmocniła łączące ich więzi i pogłębiła determinację.

Następne miesiące były okresem tworzenia Ruchu Naro-

dowo-Radykalnego, potocznie zwanego, od nazwy tygodnika, „ONR-Falanga” lub „bepiści” (to z kolei jako słowo utworzone od inicjałów Bolesława Piaseckiego, co oddaje jego rolę w organizacji). Założenia ideowe i organizacyjne Ruchu opracował Piasecki, który stał się jego niekwestionowanym przywódcą.

W początkach lutego 1937 r. ukazały się „Zasady programu narodowo-radykalnego”, które w 28 punktach formułowały założenia nowej organizacji. Nazwano je, od koloru okładki broszury, zielonym programem.

Program otwierało stwierdzenie, że „Bóg jest najwyższym celem człowieka”. Drogą do Boga jest praca dla Narodu i dla tego szczęście i rozwój człowieka leżą w tworzeniu wielkości Narodu.

„Zielony program – stwierdzają autorzy biografii Piaseckiego – stanowił ostateczne zamknięcie kilkuletniego procesu wyłaniania się z endecji nowej formacji ideowej, która w swym ostatecznym kształcie stała się oryginalnym prądem w dziejach doktryny totalitarnej. Nie ulega też wątpliwości, że Bolesław Piasecki był jednym z głównych animatorów tego procesu, oraz, że jego prace stały się podstawą dla stworzenia całkowicie nowego na gruncie polskim programu politycznego, będącego połączeniem idei nacjonalistycznych z totalitarnymi utopiami” (Antoni Dudek, Grzegorz Pytel: „Bolesław Piasecki. Próba biografii politycznej”, s. 73).

Według zielonego programu, mniejszości słowiańskie miały zostać „zdobyte dla Polski przez asymilację mas i zwalczanie wrogich jednostek”, zaś Żydzi, po pozbawieniu ich majątku, mieli być wyrzuceni z Polski.

Publikacja zielonego programu wyprzedziła o dwa tygodnie przedstawienie przez pułkownika Adama Koca deklaracji ideowo-politycznej Obozu Zjednoczenia Narodowego, który był pomyślany jako polityczne zaplecze rządzące sanacji, poszukującej po śmierci Piłsudskiego nowych idei. Nacjonalizm wydawał się części obozu rządzącego taką właśnie ideą. Uważali oni, że spór Piłsudskiego z Dmowskim należy już do historii, że nowe czasy charakteryzuje dominacja idei nacjonalistycznych i że na tych właśnie ideach należy oprzeć państwo polskie. Marszałek Rydz-Śmigły udzielał tym koncepcjom poparcia.

Nic więc dziwnego, że nastąpiło zbliżenie pomiędzy ONR-Falanga a środowiskiem Rydza-Śmigłego. Adam Koc był zafascynowany Piaseckim i wśród falangistów czuł się – wedle własnych słów – jak w Legionach. Nie trwało to jednak długo. Środowiska totalitarne w obozie rządzącym okazały się zbyt słabe, pułkownik Koc został odwołany „z powodu złego stanu zdrowia” i na tym zakończyły się nadzieje Piaseckiego na zdobycie władzy. Stał się jednak działaczem znanym.

Coraz wyraźniejsze zagrożenie wojenne odsuwało na plan dalszy spory o sposób sprawowania władzy. Obóz rządzący nie musiał już szukać siły w ruchach nacjonalistycznych i mógł konsolidować społeczeństwa wokół groźby niemieckiej agresji. Oznaczało to przekreślenie planów działaczy ONR-Falanga. Tego ciosu organizacja właściwie nie przeżyła. Od całkowitego rozpadu uratował ją wybuch wojny.

Kampanię wrześniową Bolesław Piasecki odbył w Warszawskiej Brygadzie Pancerno-Motorowej dowodzonej przez płk. Stefana Roweckiego. Po klęsce powrócił w pierwszych dniach października do Warszawy.

W grudniu został aresztowany przez niemieckiego agenta Stanisława Brochwicza, którego latem 1939 r. zdemaskował. W wyniku interwencji Luciany Frassati-Gawrońskiej, której udało się dotrzeć do samego Mussoliniego, w kwietniu 1940 r. Piasecki został zwolniony.

Kilka tygodni później gestapo chciało ponownie go aresztować, co jednak się nie powiodło, bo Piasecki już się ukrywał. Związał się wówczas ze środowiskami konspiracyjnymi, które jesienią 1940 r. powołały Konfederację Narodu. Został redaktorem jej pisma pt. *Nowa Polska*. Na razie nie odgrywał większej roli, ale już wkrótce, w 1941 r., stanie na czele Konfederacji Narodu, z której w tym czasie wyodrębniła się organizacja wojskowa pod nazwą Konfederacja Zbrojna. Były to środowiska niechętne rządowi gen. Sikorskiego.

Jeszcze w 1940 r. ukazała się pod pseudonimem Leon Całka, broszura programowa pt. „Wielka Ideologia Narodu Polskiego”. Autorem był Bolesław Piasecki. Sformułował wówczas idee Imperium Słowiańskiego, które objąć miało ziemie pomiędzy Adriatykiem, Bałtykiem i Morzem Czarnym, powstając po klęsce III Rzeszy i ZSSR. Piasecki

zakładał bowiem – całkiem jak się okazało błędnie – że wojna obecna zakończy się, podobnie jak poprzednia, eliminacją ze sceny politycznej Niemiec i Rosji.

„Cele wojenne Polski – pisał Piasecki – domagają się pokonania Niemiec i Rosji, zwycięstwa nad wiekowymi błędami przeszłości oraz zapewnienia warunków imperialnego rozwoju. Jest rzeczą bezprzykładnie oczywistą, że Polska musi więcej chcieć wygrać w tej wojnie niż Anglia i Ameryka. Tamte bowiem państwa są już imperiami, my się dopiero mamy nim stać.”

Konfederacja Narodu utworzyła Uderzeniowe Bataliony Kadrowe, a ściślej rzecz biorąc jeden UBK. W październiku 1942 r. wyruszył on w pole na tereny Polesia. Akcja zakończyła się całkowitym niepowodzeniem. Skutkiem niezamierzonym było żądanie Komendy Głównej Armii Krajowej, by UBK podporządkowały się dowództwu AK.

Pertraktacje w tej sprawie trwały kilka miesięcy i zakończyły się ostatecznie rozkazem dowódcy AK gen. Tadeusza Komorowskiego „Bora” o wcieleniu oddziałów wojskowych Konfederacji Narodu z dnia 17 sierpnia 1943 r. W tymże rozkazie Piasecki został awansowany do stopnia podporucznika. UBK miały działać na terenie Okręgu Nowogródzkiego AK.

Piasecki wyruszył w pole i dostał dowództwo III batalionu 77. pp AK. Wziął udział w wyzwolaniu Wilna, a następnie rozwiązał oddział zalecając pojedyncze przedostawanie się do Warszawy. Dotarł do stolicy w połowie sierpnia, gdy trwało już powstanie i przedostanie się z Pragi przez Wisłę było niemożliwe. Zatrzymał się więc w podwarszawskim Józefowie. Tu był świadkiem wkroczenia oddziałów Armii Czerwonej, co ostatecznie przekreślało koncepcję Imperium Słowiańskiego.

W nocy z 11 na 12 listopada został aresztowany przez zastępcę naczelnika sekcji Wydziału Informacji 1. Armii WP kapitana Prochorowa, w obecności kapitana Szermetiewa. Wynika to z protokołu rewizji. Piasecki używał wówczas dokumentów na nazwisko Leon Wojtaszkiewicz. Już 14 listopada 1944 r. odbyło się pierwsze przesłuchanie, które prowadził wspomniany już kapitan Prochorow. Przesłuchiwał on Piaseckiego również 15 i 16 listopada.

Od pierwszego przesłuchania Piasecki w pełni współpracował z kapitanem Prochorowem, ujawniając mu wszystkie posiadane informacje, również te, które mogły doprowadzić do kolejnych aresztowań. Kapitan Prochorow (jeśli to prawdziwe nazwisko, co raczej wątpliwe) rychło przekonał się, że ma do czynienia z nietypową sprawą i nietypowym aresztantem. Po trzech dniach przesłuchania zostały więc przerwane. Co było dalej – nie wiemy, bo w dokumentacji następuje kilkumiesięczna przerwa. W tym czasie Piasecki spotykał się, w obecności płk. Franciszka Bycana (zastępca szefa Głównego Zarządu Informacji Wojska Polskiego) z pułkownikiem Iwanowem, czyli z generałem Iwanem Sierowem. Był to najwyższy stopniem funkcjonariusz NKWD na ziemiach polskich. Dostrzegł w Piaseckim wielkie talenty polityczne (wedle Jakuba Bermana miał się o Piaseckim wyrazić *genialnyj malczik*) i uznał, że należy je wykorzystać. W ten sposób udało się Piaseckiemu uratować życie.

Nadal jednak siedział w więzieniu. 10 kwietnia 1945 r. zastępca Szefa 4-go Wydziału Głównego Zarządu Informacji WP mjr Anatol Targoński uzyskał aprobatę swego przełożonego ppłk. Konstantego Łabanowa na decyzji o przekazaniu materiałów śledczych dotyczących Piaseckiego do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, co oznaczało, że sprawa przechodzi z gestii władz wojskowych w ręce władz cywilnych.

12 kwietnia oficer śledczy MBP kpt. Siedlecki wydał postanowienie o zastosowaniu wobec Bolesława Piaseckiego aresztu tymczasowego, o czym następnego dnia poinformowano Piaseckiego. 10 maja 1945 r. został on osadzony w więzieniu mokotowskim w Warszawie.

19 maja por. Jan Pacholek przesłuchiwał Piaseckiego oraz postanowił – po zapoznaniu go z materiałami śledztwa – śledztwo zamknąć i sprawę wraz z zatrzymanym skierować do dyspozycji prokuratora Naczelnej Prokuratury WP. Dwa dni później por. Pacholek sporządził, zatwierdzony przez kpt. Różańskiego, akt oskarżenia.

Do procesu jednak nie doszło i chyba od początku dojść nie miało. Wszystkie działania od kwietnia wydają się mieć

charakter czysto biurokratyczny. W czasie gdy por. Pacholek trudził się nad przygotowaniem aktu oskarżenia, Piasecki pisał memoriał, który znajdzie się na biurku Władysława Gomułki. Deklarował w nim chęć politycznej współpracy w pozyskiwaniu społeczeństwa dla polityki Rządu Tymczasowego (tekst memoriału w: Andrzej Garlicki: „Z tajnych archiwów”, s.16-21).

Oferta została przyjęta. 2 lipca Piasecki opuścił więzienie mokotowskie. Dwa dni później przyjęty został przez Gomułkę i tę rozmowę można uznać za początek powojennej kariery Bolesława Piaseckiego.

Publikowane dokumenty przechowywane są w Archiwum Urzędu Ochrony Państwa (sygn. 206/III). Protokoły przesłuchań są pisane ręcznie (zarówno teksty rosyjskie, jak i polskie tłumaczenia), akt oskarżenia pisany był na maszynie. Za podstawę publikacji przyjęto tłumaczenia na język polski. Poprawiono błędy w nazwiskach wprowadzając właściwą pisownię. Zachowano błędy i nieporadności językowe.

Andrzej Garlicki

PROTOKÓŁ DOCHODZENIA

14 LISTOPADA 1944 R.

Ja, z-ca Naczelnika Sekcji Wydziału Informacji I-ej Armii kpt. Prochorow, przesłuchałem zatrzymanego Piaseckiego Bolesława s. Ludomira, urodz. 1915 r. w m. Łódź, Polaka, żonatego, z wyższym wykształceniem magister praw, ze słów nie karanego, bez stałego miejsca zamieszkania i zajęć. Żona Piasecka Halina z dwoma dziećmi mieszka w Zalesiu pod Warszawą.

Pytanie: Opowiedzcie, gdzie żyliście i czym zajmowaliście się do 1939 r.?

Odpowiedź: Urodziłem się 1915 r. w Łodzi w rodzinie właściciela sklepu z manufakturą. Od 1917 r. do 1939 r. mieszkalem przy rodzicach w Warszawie przy ul. Mariensztat 1.

Od 1922 do 1931 r. uczyłem się w szkole średniej a po zakończeniu wstąpiłem na Uniwersytet Warszawski, gdzie uczyłem się od 1931 do 1935 r. Od 1935 do 1936 r. służyłem w wojs. w Szkole Broni Pancernej w Modlinie. Od 1936 r. do 1939 r. do chwili wybuchu wojny pracowałem w charakterze pomocnika adwokata Wilczyńskiego w Warszawie.

Od pierwszego września 1939 r. do 12 października 1939 r. służyłem w 111 komp. czołg. „R”. Rano, dnia 12 października 1939 r. komp. nasza została przez Niemców rozbita, ja żeby nie dostać się do niewoli przebrałem się w cywilne ubranie i powróciłem do Warszawy.

Pytanie: Czy należeliście do jakichś organizacji politycznych do 1939 r. i czy za to podawaliście się represjom ze strony władz?

Odpowiedź: W 1932 r. wstąpiłem do sekcji Młodzież. Stronnictwa Narodowego w Warszawie. Sekcja ta w 1934 r. była przemianowana na tzw. Obóz Narodowo-Radykalny – Falanga, którego ja od 1936 r. byłem kierownikiem „O.N.R. Falanga”.

Przez ten okres czasu tj. od 1932 r. do 1935 r. byłem przez władze polskie aresztowany pięć razy i siedziałem razem wzięwszy dziewięć miesięcy nie będąc ani razu sądzony. O.N.R.-Falanga, której byłem członkiem odróżniała się od O.N.R.-A.B.C. tem, że była cały czas w opozycji do Rządu a O.N.R.-A.B.C. wchodziła w skład Rządu, w związku z tym i członkowie Falangi byli przez Rząd aresztowani.

Pytanie: Kiedy i przy jakich okolicznościach wstąpiliście do organizacji „A.K.” i przez kogo zostaliście zwerbowani?

Odpowiedź: Członkiem „A.K.” jestem od 17 sierpnia 1943 r. Okoliczności mego wstąpienia do „A.K.” były następujące:

Kiedy w 1939 r. wróciłem do Warszawy, która była okupowana przez Niemców, nigdzie nie pracowałem. Dnia 17 listopada 1939 r. byłem przez Niemców aresztowany i przesiedziałem w więzieniu do 16 kwietnia 1940 r.

Przyczyną do tego, że zostałem przez Niemców aresztowany było to, że przed wojną w 1939 r. przypadkowo zdemaskowałem niemieckiego szpiega – Brochwicza mieszkańca Warszawy, który został aresztowany ale później zwolniony.

Po wkroczeniu Niemców, Brochwicz doniósł na mnie do Gestapo i ja byłem aresztowany i zwolniony zostałem dzięki

temu, że ten ostatni był aresztowany przez Niemców za grabież a na mnie nie było świadków.

Kiedy wyszedłem z więzienia, bojąc się powtórnego aresztowania nie żyłem w domu ale ukrywałem się w Warszawie u znajomych. Wtedy w związku z tym, że większa część członków org. Falanga zginęła lub rozjechała się rozwiązałem tą organizację i organizowałem nową organizację pn. „Konfederacja Narodu” celem prowadzenia walki z Niemcami. „Konfederacja Narodu” („K.N.”) była niezależną od żadnych partii politycznych taką ona była do 17 sierpnia 1943 r. prowadząc szereg bojowych i dywersyjnych operacji przeciwko Niemcom.

Ogólnie ilość członków „K.N.” doszła do 2000 ludzi.

W listopadzie 1942 roku, jako kierownik org. „K.N.” otrzymałem od generała Roweckiego „Grot” rozkaz przejść ze swoją grupą z Białostockiego woj., gdzie prowadziłem działalność do woj. Nowogródzkiego. Rozkazu tego nie wykonałem.

Powinienem opowiedzieć, że org. „Armia Krajowa” nazywana tak była w 1943 r. Przedtem ona nazywała się „Związek Walki Zbrojnej” („Z.W.Z.”) poczem w 1942 r. była przemianowana na „Polski Związek Powstańczy” („P.Z.P.”) i ostatnia jej nazwa „Armia Krajowa” do 1943 r. Komendantem tych wszystkich organizacji, jakiej by one nazwy nie nosiły był gen. „Grot”, który w 1943 r. był aresztowany przez Niemców. Na jego miejsce nastąpił gen. „Bór”.

W lipcu 1943 r. byłem wezwany na audiencję do „Bora” do Warszawy ul. Smulikowskiego, nr domu nie pamiętam. Byłem przyjęty osobiście 17 sierpnia 1943 r. i otrzymałem od niego rozkaz, żeby „K.N.” której byłem kierownikiem złączyć z „A.K.” i przejść ze swoim oddziałem w lasy Nowogródzkie, co i wykonałem.

Jednocześnie wtedy gen. „Bór” mianował mnie podporucznikiem. Od tego czasu jestem członkiem „A.K.” pod pseudonimem „Sablewski”.

Pytanie: Opowiedzcie o swojej działalności jako członka org. „A.K.” na okupowanej przez Niemców terytorii i jakie były zarządzenia na wypadek wkroczenia Czerwonej Armii?

Odpowiedź: Przez cały ten okres czasu tj. od października 1943 r. do lipca 1944 r. będąc na okupowanej przez Niemców terytorii na czele swego oddziału prowadziłem operacje bojowe przeciwko Niemcom. Przyczem, kiedy w listopadzie 1943 r. przybyłem do Nowogródka, nawiązałem łączność z komendantem tego okręgu ppułk. „A.K.” „Prawdżicem” a ten podporządkował mnie szefowi Partyzanckiego Wydziału Okręgu

rotmistrz. „Lechowi”. Nazwisk ich nie znam.

Podczas jednej walki w listopadzie* byłem ranny i od grudnia 1943 r. do marca 1944 r. byłem na leczeniu w Warszawie. Ranny byłem pod m. Burnos.

Dnia 5go lipca 1944 r. otrzymałem rozkaz od d-wa „A.K.”, kierownika Nowogródzkiego i Wileńskiego Okręgów pułkown. lub gener. „Wilka” razem z moim Batalionem w liczbie 511 ludzi wyruszyć w kierunku m. Wilna, rozpocząć operację bojową, celem opanowania miasta.

Wynik tej walki był taki, że z mego oddziału zostało się 280 ludzi, którzy razem z Czerwoną Armią wkroczyli do Wilna.

O zarządzeniach kierownictwa „A.K.” jak ustosunkować się do Czerwonej Armii w razie jej wkroczenia na tereny polskie mogę opowiedzieć tylko to, że wkroczenie Czerwonej Armii w lipcu 1944 r. na tereny polskie dla d-ców „A.K.” było nie-spodziewane, myśleli, że wojska Czerwonej Armii będą w Polsce nie prędzej jak w listopadzie-grudniu 1944 r. a za ten czas Polski emigracyjny Rząd w Londynie za pośrednictwem Anglii dojdzie do porozumienia z Rosją. Dowództwo „A.K.” nie dawało żadnych instrukcji wrogiego charakteru w stosunku do Czerwonej Armii i żądało pozycji wyczekującej aż do otrzymania instrukcji z Londynu.

Jako fakt potwierdzający przeprowadzę przykład: Kiedy przy zajęciu Wilna oddziały „W.K.” w liczbie około 7000 ludzi pod dow-wem pułk. „Wilka” odmówili przyłączenia się do formacji Czerwonej Armii „Wilk” próbował domówić się z dowodzącym frontem, gener. Czerniachowskim o tem, ażeby z oddziałów „A.K.” spod Wilna organizować 19-tą Dywizję „A.K.”, któraby bezpośrednio podlegała gen. „Borowi” a taktycznie podlegała dowództwu Czerwonej Armii.

„Wilk” nie doszedłszy do porozumienia z dowództwem Czerw. Armii uprzedził oddzielnych d-ców oddziałów „A.K.”, zabraniając im samodzielnie pertraktować z Czerwoną Armią i jeżeliby Czerwona Armia próbowała ich rozbroić, żeby nie podporządkowali się a rozeszli się do domu.

W rezultacie tego oddziały „A.K.” zaczęły rozchodzić się do domu a d-ca 4go Batalionu „A.K.” – por. „Ragner” razem ze swoim batalionem przeszedł na stronę niemiecką. Dokładnie tego faktu nie wiem.

Ja rozpuściłem swój batalion. Tak jak większa część ludzi

* Błąd. Piasecki został ranny 9 grudnia 1943 r.

pochodziła z Warszawy wszyscy małymi grupkami udali się w stronę Warszawy. Osobiście szedłem z grupą 5ciu ludzi i dnia 21 sierpnia 1944 r. zmuszony byłem zatrzymać się w Józefowie, ponieważ Warszawa znajdowała się jeszcze w rękach Niemców, a jeden członek „A.K.” – Briesemejster, który szedł razem ze mną w Józefowie miał swoją willę i u niego ja zatrzymałem się.

Razem ze mną do Józefowa przyszedli następujące osoby: 1) podporucznik Hulkowski Jerzy „Pawłowicz” – d-ca plutonu „A.K.”. Obecnie mieszka na Pradze, ale stałego adresu nie ma. 2) podporucznik Wyszomirski Stanisław „Kowalski”, mój adjutant, mieszka na Pradze przy ul. Inżynierskiej, Nr domu nie pamiętam. 3) podchorąży Briesemejster Stanisław „Kowalski”, kwatermistrz „A.K.”. Mieszka w Józefowie razem ze mną. Podczas mego zatrzymania wyjechał do Radości. 4) Czernicka Janina „Janka”. W oddziale „A.K.” była kucharką. Mieszkała razem ze mną i razem ze mną była zatrzymana. Przedtem moja służąca. Pozatym w tej grupie byłem ja.

Pytanie: Wymieńcie znanych wam pracowników Głównego Sztabu „A.K.”?

Odpowiedź: Z liczby kierowniczych pracowników Głównego Sztabu „A.K.” w Warszawie, wiem tylko po pseudonimach. 1) Generał „Bór” Komorowski 2) Szef Sztabu „A.K.” „Grzegorz” gen. Pełczyński 3) Szef I-go Oddz. „A.K.” gener. „Kortum” 4) Pracownik I-go Wydz. mjr „Fidelis” 5) Szef II-go Wydz. Szt. „A.K.” pułk. (nieczytelne) 6) Szef Wydziału Operacji pułk. „Erazm”. Gdzie oni znajdują się obecnie nie wiem.

Z moich słów zapisano prawidłowo i jest zgodne z moimi zeznaniami.

(-) Piasecki

Przesłuchał Z-ca kier. 4go Wydz.

(-) kpt. Prochorow

Przetłumaczył of. śledczy M.B.P.

Pachotek ppor.

PROTOKÓŁ DOCHODZENIA

Zatrzymanego Piaseckiego Bolesława s. Ludomira,
z dnia 15go listopada 1944 r.

Pytanie: Opowiedzcie o swojej działalności, jako członka org. „AK” na wyzwolonym terytorium Polski od Niemców.

Odpowiedź: Jak zeznałem wyżej, na wyzwolonym terytorium Polski jestem od 21 sierpnia 1944 r. tj. od dnia mego przybycia do Józefowa koło Pragi. Okoliczności, przy jakich dostałem się do Józefowa już opowiedziałem.

W Józefowie po jakimś czasie spotkałem szereg swoich znajomych, którzy żyli w Józefowie i w okolicy Pragi i na Pradze.

Przy spotkaniach się z tymi ludźmi, którzy przeważnie przychodzili do mnie do mieszkania, ponieważ nigdzie z Józefowa nie wyjeżdżałem mówiliśmy, że praca org. „AK” na wyzwolonym terenie Polski podupadła, ponieważ nie ma odpowiedniego kierownictwa a głównie do-wo „AK” znajdowało się po drugiej stronie Wisły na okupowanym przez Niemców terenie i nie ma z nim żadnej łączności.

W Józefowie do mnie przychodzili następujący czł. org. „AK”:

1. Podpułk. „Trzaska”. O nim już mówiłem, dodać jeszcze mogę to, że jak mi powiedział „Prawdzic”, „Trzaska” w pierwszych dniach listopada wyjechał do Lublina.

2. Podpułk. „Prawdzic” były komendant Nowogródzkiego okręgu „A.K.”. Nazwiska jego nie wiem. Mieszka na Pradze w domu jakiegoś senatora. Powinien był wyjechać do Białegostoku do białostockiego komendanta okręgu „Mścisława” za pieniądze.

Rysopis „Prawdzica”, blondyn, średniego wzrostu, oczy niebieskie, lat około 50.

3. Porucznik „Ostoja” adjutant „Prawdzica” zajmował się podrabianiem dokumentów dla członków „A.K.”. Przez niego były podrobione dwie karty rozpoznawcze, znalezione u mnie podczas rewizji a które on dał mi przez „Pawłowicza”. Mieszka razem z „Prawdzicem”.

Rysopis: blondyn, średniego wzrostu, lat 30.

4. Groński Czesław – „Krzemień” redaktor „Alarmu” – o nim podałem wyżej.

5. Podporucznik Kętrzyński Wojciech „Wołkowicki” członek org. „A.K.”, zamieszkuje w Siedlcach i tam wydawał gazetkę „A.K.” „Niepodległość”.

Rysopis: szatyn, średniego wzrostu, raniony w rękę, wiek 25-26.

6. Podpor. Krasicki Andrzej „Bojar”, partyzant „A.K.” mieszka w Siedlcach.

Rysopis: blondyn, wysoki, wiek ok. 27-28 lat, u mnie w domu on nie był a pracował w Siedlcach razem z Kętrzyńskim, gdzie razem z nim wydawał gazetkę „Niepodległość”.

7. Kostrowicki „Dymitr”, partyzant „A.K.”, mieszkał w Siedlcach razem z Kętrzyńskim i Krasickim, gdzie razem z nimi wydawał gazetkę „Niepodległość”. Rysopisu jego nie pamiętam, zdaje mi się, że szatyn średniego wzrostu.

8. Łączniczka „Sława”, nazwiska jej nie wiem, była łączniczką między mną a Kętrzyńskim, który mieszkał w Siedlcach. Mieszka w Siedlcach na Roskoszewie.

Rysopis: blondynka, średniego wzrostu, lat 20-22.

9. Podporucznik Reiff Ryszard „Jacek” były d-ca kompanii partyzanckiej. Obecnie aresztowany w Białymstoku, o tem wiem od Kętrzyńskiego.

10. Pchr. Korolkiewicz Stanisław „Szczęsny” d-ca komp. Obecnie mieszka w gminie Ciechanowice wieś Pełka nad Bugiem.

11. Beńkowski Witold „Kalski”, urzędnik warszawskiej delegatury, przedstawiciel Rządu emigracyjnego w sprawach opieki, mieszka w Międzyzlesiu lub Otwocku.

Rysopis: wzrost średni, lat ok. 40.

12. Kapitan „Henryk” pracownik dwójki w Warszawie. Od niego otrzymałem 200 rubli w złocie na cele „A.K”. Przysłany do mnie był przez Kętrzyńskiego, gdzie znajduje się obecnie nie wiem.

Rysopis: blondyn, wysoki, chudoszczupły, około 40 lat.

13. Plutonowy Romanowski Ryszard „Babinicz” partyzant, przychodził do mnie za pieniędzmi z polecenia „Wrońskiego”, gdzie mieszka nie wiem.

14. Pchr. Andruszewski „Sambor”, szeregowy członek „A.K.”. gdzie mieszka nie wiem.

15. Dr Malczewski Tomasz, pseudonimu nie miał, mieszka w Józefowie obok mnie. W Józefowie zajmował się wyrabianiem kenkart i pomagał „Grońskiemu” w wydawaniu gaz. „Alarm”.

Podałem wszystkich, którzy przychodzili do mnie, za wyżej wskazany period.

Pytanie: W jakim celu przychodzili wyżej wymienieni ludzie?

Odpowiedź: Członkowie „A.K.”, którzy przychodzili do mnie to przychodzili w sprawach służbowych i osobistych.

Pułkownik „Trzaska” przychodził do mnie po to, że przez znajomego „Grońskiego”, członka 27 dywizji „A.K.”, która w sierpniu 1944 r. stała w Otwocku, zaznajomiłem się z d-cą 27 dywizji ppułk. „Trzaską” i poprosiłem go, żeby zaszedł do mnie pomówić i dowiedzieć się co w ogóle robi się w „A.K.”.

Przy końcu września r.b. do mnie do Józefowa przyszedł „Trzaska”, wraz ze swym adjutantem „Tadeuszem”. On opowiedział mi o wszystkim co wiadomym mu było o organizacji „A.K.” na prawym brzegu Wisły. Z jego słów wychodziło, że stanowisko „A.K.” na prawym brzegu Wisły było niejasne, ponieważ nie było żadnych instrukcji z Londynu i Warszawy. Jednocześnie „Trzaska” powiedział mi, że on myśli przedrzeć się do Warszawy i tam zamieszkać, poprosiłem go, żeby dowiedział się o mojej żonie, która mieszkała w mieście. Żadnych innych poleceń mu nie dawałem.

Po raz drugi „Trzaska” z „Tadeuszem” przyszli z początku października 1944 r., przyszli po swojej inicjatywie, bez mego zaproszenia. Opowiedział mi „Trzaska”, że przez linię frontu przedrzeć się nie mógł i opowiedział swoje zapatrywanie o org. „A.K.” na wyzwolonych terenach Polski. Powiedział, że na tych terenach dla korzyści w pracy org. potrzeba naznaczyć tymczasowe dowództwo i w tym celu on pojedzie do Lublina poradzić się z tamtejszym komendantem okręgu „A.K.”. Pseudonimu komendanta on nie powiedział mi.

Trzeci raz przyjechał sam bez adjutanta przy końcu października lub z początku listopada. Opowiedział mi, że komendanta lubelskiego okręgu „A.K.” on nie widział, ponieważ takiego nie ma. U mnie wtedy oprócz „Trzaski” byli: Bieńkowski Witold, Briesemejster.

Ja i Bieńkowski postawiliśmy przed „Trzaską” propozycję żeby on przyjął na siebie obowiązki tymczasowo p.o. komendanta na wyzwolonej części Polski. „Trzaska” odmówił i powiedział, że poradzi się z komendantami lubelskiego okręgu „A.K.” i później da odpowiedź.

„Trzaska” zaczął nam opowiadać, że członkowie „A.K.” zostają aresztowani, że organizacja jest w przededniu rozpadu, że potrzeba nam jest lepiej pracować itd.

Z podpułkownikiem „Prawdnicem”, któremu ja jako komendantowi nowogródzkiego okręgu byłem podległy wraz z Ba-

talionem którego byłem d-cą spotkałem się z nim w pierwszych dniach listopada r.b. „Prawdzic” przyszedł razem ze swym adiutantem „Ostoją”. Spotkać się razem chcieliśmy prędzej ale ja nie mogłem, ponieważ byłem chory.

„Prawdzic” opowiedział mi, że próbował organizować zjazd komendantów okręgów i pułkowników, celem wybrania tymczasowego komendanta „A.K.” na wyzwolonym terytorium Polski i omówienia planu pracy org. „A.K.” na najbliższy okres czasu. Zorganizować jemu nie udało się ponieważ komendant białostockiego okręgu „A.K.” „Mścisław” i ppułk. „Janczur” odmówili wzięcia udziału w tej naradzie.

„Prawdzic” opowiedział, że „Mścisław” ma łączność radiową z Londynem, który od nich przyjmuje depesze a nie daje na nie odpowiedzi ani instrukcji co dalej robić. Opowiadał, że w Białymstoku „A.K.” wydaje swoją gazetę i w lasach Puszczy Białowieskiej ukrywają się oddziały „A.K.”.

Wykorzystawszy przypadek, poprosiłem adiutanta „Ostoję”, ażeby zrobił mnie dwie karty rozpoznawcze i w tym celu dałem mu swoje zdjęcie. Później „Ostoja” przesłał mi przez Gumkowskiego dwie podrobione przez niego karty rozpoznawcze, które były znalezione u mnie podczas rewizji.

Przy drugiej rozmowie z „Prawdzicem” byli obecni: Bieńkowski, Bresmejster i ja.

Opowiedziałem „Prawdzicowi” o tem, że „Trzaska” odmówił przyjąć na siebie obowiązki tymczasowego komendanta na wyzwolonym terytorium Polski i w związku z tym ja i Bieńkowski proponujemy mu objąć to stanowisko.

„Prawdzic” zgodził się na to, ale powiedział, że on przedtym pojedzie do „Mścisława” ażeby wziąć u niego pieniędzy dla organizacji pracy w „A.K.”, jednocześnie dał Briesmejstrowi pięćdziesiąt dolarów papierowych ażeby ten rozdał ich członkom „A.K.”.

Wtedy przyszlismy między sobą do przekonania, że w związku z wynikłą sytuacją, aresztowaniem jej członków, brakiem konkretnego kierownictwa i łączności z główną komendą „A.K.”, org. rozpadnie się. W związku z tym.....*) przyjąć środki zapobiegawcze wzięwszy w swoje ręce kierownictwo nad pozostałymi członkami „A.K.” i stworzyć analogiczną „A.K.”, no tym niemniej nową organizację. Konkretnie jak powinna nazywać się ta nowa organizacja my, tj. ja, Bieńkowski i „Prawdzic” nie ustaliliśmy.

*) kilka słów nieczytelnych

Narada ta była u mnie w nocy z 6 na 7 listopada r.b. Rano po tym „Prawdzc” i Bieńkowski, jak przenocowali rozeszli się do domu.

Pytanie: Jakie stanowisko powinniście byli zajmować w nowo organizowanej organizacji.

Odpowiedź: Tak jak mnie powiedział „Prawdzc”, że jeżeli sprawa z nową organizacją pójdzie dobrze i jak on dostanie pieniędzy to zostanieznaczony (na) stanowisko oficera I Wydziału tj. będę prowadzić pracę nad stworzeniem tej organizacji.

Przesłuchanie przerwano.

Protokół zapisany z moich słów prawidłowo, przeczytany mi na zrozumiałym dla mnie języku, składaam swój podpis.

(-) Piasecki

Przesłuchał z-ca k-a

kapitan Prochorów

Przetłumaczył z języka rosyjskiego

of. śledczy M.B.P.

Pacholek ppor.

PROTOKÓŁ DOCHODZENIA

zatrzymanego Piaseckiego Bolesława s. Ludomira
z dnia 15 listopada 1944 r.

Przesłuchiwany uprzedzony z art. 66 W.U.K. P.W.S.

Pytanie: Opowiedzcie o wiadomej wam strukturze, kierownictwa i członkach org. „A.K.” na wyzwolonym terytorium Polski.

Odpowiedź: Wiadomym mi jest, że na wyzwolonym terytorium Polski jest trzy okręgi „A.K.” a mianowicie:

1. Białostocki Okręg
2. Lubelski Okręg i niepełny
3. Warszawski okręg, część którego znajduje się na okupowanym przez Niemców terytorium.

Każdy z okręgów „A.K.” dzieli się według następującego principu:

1. Komendant Okręgu i jego Sztab

2. Inspektorzy, którzy kierują obwodami, liczba których równa się liczbie powiatów w okręgu. Obwody dzielą się na rejon-y i ostatnie dzielą się na placówki.

Jaka jest liczba obwodów, rejonów i placówek nie wiadomo.

Wszystkie te organizacje są konspiracyjne i są kierowane z góry do dołu, przyczem i z kierownictwa i starszego dowództwa są wiadome tylko pseudonimy.

Nazwę wiadomych mi danych o pracy i o ludziach „A.K.” w woj. Białostockim.

1. Komendant okręgu pułk. „Wujek”, „Mcisław”

2. Szef Sztabu okręgu mjr „Las”

3. Komendant Białostocki obwodu por. „Janowicz”

4. Jeden z Inspek. Białost. okręgu por. „Jacek”.

Muszę powiedzieć, że w okręgu Białostockim praca org. „A.K.” jest postawiona lepiej czym w innych okręgach i dobrze zakonspirowana przed Polskim Wojskiem i Rządem w Lublinie.

Stało się (tak) dlatego, że Okręg Białostocki nie wykonał rozkazu „Bora” o „Burzy” – tj. przy przybliżeniu się Czerwonej Armii do Białegostoku oddziały „A.K.” powinny były według rozkazu gen. „Bora” napadać na Niemców i wychodzić z podziemia dla organizowania formacji „A.K.”, które bezpośrednio byłyby podlegli gen. „Borowi” a taktycznie podlegaliby d-cy Czerwonej Armii. Okręg Białostocki tego rozkazu nie wykonał i w większości członkowie „A.K.” zostali się zakonspirowani.

Jak mi wiadomo, że słów „Prawdźica” i „Szczęsnego” Białostocka organizacja ma łączność radiową z Londynem. Londyn przyjmuje depezę a z powrotem dla Białegostoku jakoby żadnych instrukcji nie nadaje.

Oprócz łączności radiowej białostocki okręg ma łączność przez kurierów z zastępcą „Bora” „Niedźwiadkiem” w Warszawie, skąd przyszła łączniczka białostockiego okręgu, kiedy to było dokładnie nie wiem.

W Białymstoku wydają gazetkę „A.K.” mają też i pieniądze.

W lasach puszczy Białowieskiej są uzbrojone oddziały „A.K.”, które są na nielegalnej stopie.

Wszystko to powtarzam, co wiadomym mi jest ze słów „Prawdźica” i „Szczęsnego”.

O Lubelskim okręgu „A.K.” wiem bardzo mało.

Komendanta okręgu nie ma.

Funkcje komendanta wykonuje jego z-ca, którego ani nazwiska, ani pseudonimu nie znam.

Jakoby mieli łączność radiową z Londynem mieć.

Tylko to wiem ze słów „Szczęsnego” o lubelskim okręgu „A.K.”.

O warszawskim okręgu „A.K.” tj. na wyzwolonej części terytorium, wiem, że:

Nie ma komendanta okręgu ani jego zastępcy, chociaż takim powinien być pułkownik „Andrzej”, jako najstarszy w stopniu spośród ukrywających się w warszawskim okręgu oficerów „A.K.”.

Nie ma też szefa sztabu ani nikogo z kierownictwa, jak wszyscy oni zostali się w Warszawie, kiedy Czerwona Armia zajęła Warszawę-Pragę.

W związku z tym, że nie ma żadnej łączności między członkami „A.K.”, którzy zostali się na wyzwolonym terenie a dowództwem w Warszawie i linię frontu przejść jest prawie niemożliwe. Dowództwo „A.K.” nie rozczytywało na to, że Czerwona Armia zatrzyma się na prawym brzegu Wisły. Kierownictwo i łączność z Warszawą została przerwana i członkowie „A.K.” nie znają konkretnych instrukcji o ustosunkowaniu się do Czerwonej Armii i w swojej większości zaprzestali wszelkiej działalności w organ.

Wymienię wiadomych mi ludzi z d-wa dywizji „A.K.”, którzy znajdują się i ukrywają się po linii Otwock, Świder, Praga.

Z 27 dywizji „A.K.”

1) D-ca dywizji podpułk. „Trzaska”, nazwisko jego prawdopodobnie Sznuć, mieszkał w Warszawie przy ul. Wiljamskiej.*)

Rysopis: szatyn, wysokiego wzrostu, lat 50.

2) Jego adiutant „Tadeusz” mieszka razem z „Trzaską”.

3) Podpor. Piotrowski „Roman” mieszkał na Pradze ul. Grochowska 289, jego mieszkanie było konspiracyjne.

4) Podpor. Groński „Krzemień” był redaktorem gazetki A.K. „Alarm”, która była wydawana w Pradze. Został ubity w Pradze 7 listopada r.b. od rozrywu pocisku.

5) Podpor. „Ludwik” mieszkał w Celestynowie razem z 20toma ludźmi z 27 dywizji „A.K.”.

Opowiadał mi o tem „Trzaska”.

30 dywizja „A.K.”

1) Z d-ca dywizji mjr „Żegota”, jakie zajmował stanowisko nie wiem.

*) Tak w tekście, prawdopodobnie ul. Wilanowska.

2) Poruczn. „Olgierd”, osobiście dawał radioaparat redaktorowi gazety „Alarm” „Krzemieniowi”, z którym razem pracował nad wydawaniem gazety. Mieszka w Pradze na Grochowie, nr nie wiem.

O nich opowiadał mi „Krzemień” i „Pawłowicz”.

8 dywizja „A.K.”

1) D-ca dywizji podpułk. „Jangar”, mieszka w Siedlcach ale gdzie, tego nie wiem.

O nim opowiadał mi „Prawdzie” i „Siedlecki”. Oprócz nich, w rejonie Otwocka, Świdra i Pragi mieszkają, jak mi wiadomo ze słów „Pawłowicza”.

1. Inspektor „A.K.” na prawy brzeg Wisły podpułkownik „Andrzej”.

2. Z-ca kom-ta „A.K.” po Pradze, mjr „Tara”,

3. Kom-nt podprążskiego rejonu „A.K.” mjr „Kania”. Osobiście ich nie widziałem.

Wskazani wyżej członkowie „A.K.”, chociaż są w kierownictwie ale niczego konkretnie nie robią dla organizowania pracy i dla nawiązania łączności z głównym d-wem „A.K.”. W skrajnym wypadku mnie, jako członkowi „A.K.” o tem nic nie wiadomo, aby oni podjęli jakieś kroki w tym kierunku .

Chcę uzupełnić, że „Tara”, „Andrzej” i „Kania” mieszkają razem: częściowo w Otwocku lub w Świdrze w jednym ze szpitali. O tem opowiadał mi „Pawłowicz” .

Pytanie: Czy wyżej wskazani ludzie mają drukarnię, maszynki do pisania lub radioaparaty?

Odpowiedź: O tem o kogo i gdzie znajdują się drukarnia, maszyny do pisania i radioaparaty osobiście nie wiem. Myślę, że o tym nie mogę opowiedzieć.

1. Gajewski – imienia i pseudonimu nie wiem. Pracował razem z „Krzemieniem” nad wydawaniem gazet. Mieszka w Pradze przy ul. Stalowej 28, dokładnego nr domu nie pamiętam.

2. Wyszomirski Jan, „Wroński” przyjaciel „Krzemienia”, mieszka w Pradze przy ul. Inżynierskiej 7 lub 9, nr domu dokładnie nie pamiętam, ulica nazwana prawidłowo.

Oprócz tego wiadomo mi jest, że wszyscy, którzy przyszli do Pragi z 27 i 30 dywizji „A.K.”, celem przedarcia się do Warszawy i wzięcia udziału w powstaniu przeciwko Niemcom a nie mogli przedrzeć się przez Wisłę na tamtą stronę w związku z silnymi walkami, zostali się na Pradze, przeważnie przy ul. Grochowskiej, gdzie i znajdują się do obecnego czasu.

Skreślono „głównym”

Przesłuchanie

Protokół zapisany z moich słów prawidłowo, został mi odczytany na zrozumiałym dla mnie językiem co podpisuje się
(-) Piasecki
Przesłuchał z-ca nacz-ka 4go Wydz.
(-) kapitan Prochorow
Przetłumaczył of. śledczy Min. Bezp. Publ. Pacholek, ppor.

PROTOKÓŁ DOCHODZENIA

Zatrzymanego Piaseckiego Bolesława s. Ludomira
z dnia 16 listopada 1944 r.

Uprowadzony z art. 66 WUR PWS

Pytanie: Zeznawajcie dalej o waszej przestępczej działalności jako członka „A.K.” na wyzwolonym terytorium Polski.

Odpowiedź: Na przesłuchaniu z dnia 15 listopada r.b. zeznałem już, że przybyłem na wyzwolone terytorium Polski i zamieszkałem w Józefowie. Widząc brak kierownictwa nad miejscowymi organizacjami „A.K.” ze strony d-ca, które zostało w Warszawie, u mnie przyszło na myśl o stworzeniu nowej organizacji, analogicznej po politycznymi ideami „A.K.”.

Jako rezerwy stworzonej nowej organizacji myślałem wykorzystać kadry „A.K.”, które po przypuszczeniu mojemu i drugim powinni rozlecieć się.

W tym celu prowadziłem pertraktacje z p.pułkownikiem „Trzaską”, „Prawdnicem” i urzędnikiem warszawskiej delegatury, przedstawicielem emigracyjnego Rządu Bieńkowskim Witoldem. O szczegółach i rezultatach tych pertraktacji opowiedziałem wyżej.

Jednocześnie z pertraktacjami z „Trzaską”, „Prawdnicem” i Bieńkowskim, prowadziłem praktyczną działalność, która jak przypuszczałem powinna być fundamentem nowo stworzonej organizacji.

Przy końcu października r.b. do mnie do Józefowa przyjechał ppor. „A.K.” Reiff Ryszard i opowiedział, że jego ludzie z partyzanckiego oddziału, którzy po zajęciu Wilna zostali

się w mieście i nic nie robią a poddają się represjom ze strony władz miejscowych i chcą ich jako Polaków wysiedlić. Reiff powiedział, że myśli pojechać do Białegostoku, a stamtąd wysłać swoich ludzi, członków „A.K.” – „Papaja”, „Sulimę”, żeby wyprowadzić Akowców z Wilna i rozmieścić ich pod Białymstokiem i Siedlcami, żeby oni oczekiwali dalszych instrukcji co dalej mają robić. W Wilnie naszych członków było 10-15 ludzi.

Z myślą „Jacka” o koncentracji, względnie rozmieszczeniu ludzi pod Białymstokiem i Siedlcami zgodziłem się. Ostatni pojechał. Rezultaty mnie niewiadome, ponieważ Reiff był aresztowany w Białymstoku.

W październiku r.b., daty nie pamiętam, przyszedł do mnie ppor. Kętrzyński Wojtek „Wołkowicki”, mój kolega z oddz. „A.K.” i powiedział, że on zatrzymał się w Siedlcach, tak jak liczy, że na tyłach lżej ukryć się od władz. Opowiedział mi, że zamierza w Siedlcach wydawać gazetkę „A.K.” pn. „Niepodległość”.

Razem z nim będą pracować ppor. Krasicki Edward „Bojar”, Kostrowicki „Dymitr” i łączniczka „Sława”. Wszystkie materiały dla tego celu już ma. Wiadomości radiowe z Londynu, które będą drukować, on otrzyma od Stronnictwa Narodowego w Siedlcach, którzy mają radioodbiornik. Jednocześnie powiedział mi, że nawiązał kontakt ze Stronnictwem Narodowym i otrzymuje od nich pomoc przez adwokata Swiniarskiego, adresu nie wiem. Szczegółów nie wypytywałem się go. Zgodziłem się z jego planem i na rozchody dałem mu 50 lub 60 rubli w złocie. Adresów, gdzie mieszka Kętrzyński i drudzy u niego nie pytałem się.

„Niepodległość” wychodziła kilka niedziel. W początku października r.b. do mnie przysłała łączniczka „Sława” i powiedziała, że gazetka więcej nie wychodzi, ponieważ nie ma skąd brać londyńskiego komunikatu tj. radioaparat Stronnictwa Narodowego został wykryty i skonfiskowany przez władze.

Kętrzyńskiemu przekazałem przez „Sławę”, żeby on dalej został w Siedlcach i cokolwiek robił czekając dalszych instrukcji ode mnie.

W pierwszych dniach listopada Kętrzyński sam przyjechał do mnie i powiedział mi, że Reiff został aresztowany, poczem wrócił z powrotem do Siedlec, skąd jak mnie zawiadomił pojechał w Pragę.

Prawie jednocześnie z wydawaniem gazety „Niepodległość” w Siedlcach była wydawana gazetka „Akowiec” na Pradze.

W początku października r.b. do mnie przyszedł mój stary znajomy, członek „A.K.” Groński Czesław „Krzemień” i powiedział, że znudziła się mu bezczynność i zaproponował wydawać gazetkę „Alarm”, dla tego celu miał już wszystkie potrzebne materiały i ludzi. Radiokomunikaty z Londynu miał otrzymywać przez por. „Olgierda”.

Powiedział, że do wydawania gazetki „A.K.” „Alarm” on przyciąga „Gajewskiego”, Wyszomirskiego Jana „Wrońskiego” i dr Malczewskiego.

Inicjatywę Grońskiego pochwaliłem i od początku października do obecnego czasu na Pradze wychodziła gazetka „Alarm”. Na rozchody związane z wydawaniem gazetki „Alarm” osobiście wydałem Grońskiemu dwa razy po 20 rubli w złocie tj. razem 40 rubli w złocie. Jest to wszystko co mogę powiedzieć o wydawaniu gazetki „Alarm”.

Pytanie: Opowiedzcie, gdzie znajduje się typografia „Alarmu”, radioodbiornik przez który przyjmowali komunikaty z Londynu, kto i jakim sposobem rozpowszechniał gazetę?

Odpowiedź: Gdzie znajduje się typografia i radioodbiornik nie wiem. Tak samo nie wiem przez kogo i jakim sposobem i pośród kogo rozpowszechniali gazetkę „Alarm”. Nie wiem nic konkretnego. O tym wszystkim mogą opowiedzieć bezpośrednio pracownicy wydawnictwa „Alarm”, Gajewski, Wyszomirski Jan i Malczewski.

Pytanie: W ilu egzemplarzach była wydawana gazetka „Alarm”?

Odpowiedź: „Alarm” wychodzi raz na tydzień w ilości do 300 egzemplarzy.

Pytanie: Kto dawał materiały do „Alarmu” i czy wy osobiście pisaliście artykuły?

Odpowiedź: Wszystkie artykuły były pisane przez Grońskiego. Przy końcu października r.b. zaczął pisać Malczewski. Ja sam nie pisałem żadnych artykułów ani też nie przeprowadzałem korekty.

Pytanie: Przedstawiajcie dalej swoje zeznania.

Odpowiedź: We wrześniu Briesemejster poznał mnie z urzędnikiem warszawskiej delegatury, przedstawicielem emigracyjnego rządu w sprawach opieki Bieńkowskim Witoldem „Kulskim”.

Bieńkowski starał się dobić, żeby wszyscy przedstawiciele różnych partii, okręgów Siedleckiego, Lubelskiego i Białostockiego zebrali się dla wyboru i organizowania Wojewódzkiej Rady Narodowej, któraby w podziemiu prowadziła działalność

opozycyjną pośród ludności cywilnej w stosunku do Polskiego rządu w Lublinie, analogicznie z pracą „A.K.”.

Jednak próby Bieńkowskiego w tym kierunku nie udały się nie patrząc na moją pomoc w tej sprawie, która wyrażała się w rozesłaniu kurierów w jego sprawie do Siedlec do Kętrzyńskiego Wojtki i do Białegostoku – Reiffa Ryszarda. Do Lublina kuriera posłał sam Bieńkowski. Wszędzie była odpowiedź negatywna, ponieważ Bieńkowski nie miał do tego pełnomocnictw i zajmował niskie stanowisko.

Pytanie: Jaką pracę przeprowadziliście w organizacji terrorystyczno-dywersyjnej grupy i spadochronowych oddziałów?

Odpowiedź: W tym kierunku niczego nie robiłem i o istnieniu takich grup nic nie wiem.

Przesłuchanie przerwano.

Zapisano z moich słów prawidłowo, mnie przeczytano na zrozumiałym dla mnie języku na co składałem swój podpis.

(-) Piasecki

Przesłuchał

(-) kpt. Prochorow

Przetłumaczył of. śl. Min.Bezp.Publ. Pacholek

PROTOKÓŁ DOCHODZENIA

zatrzymanego Piaseckiego Bolesława s. Ludomira
z dnia 16 listopada 1944 r.

Pytanie: Opowiedzcie szczegółowo o spotkaniu z gener. „Borem”, kto oprócz was był jeszcze na przyjęciu, jakie otrzymaliście dyrektywy dla dalszej pracy w „A.K.”?

Odpowiedź: Spotkanie z „Borem” wyprzedzały następujące okoliczności:

Organizacja, której byłem kierownikiem „Konfederacja Narodu”, jak zeznałem już wyżej otrzymała (rozkaz) od poprzednika „Bora” – „Grota” złączyć się z „Armią Krajową”, ale rozkazu tego nie wykonałem. W związku z tym, ja jako kierownik i organizator „K.N.” byłem wezwany na audiencję do gener. „Bora”.

Dnia 17 sierpnia 1943 r. udałem się do mieszkania gen. „Bora” do Warszawy na ul. Smulikowskiego nr 1 lub 5, dokładnie nie pamiętam. Adres ten powiedział mi mjr. „Fidelis”.

Kiedy zostałem wprowadzony do gabinetu „Bora” przez nie znajomego mi człowieka, uwidziałem gen. „Bora” i ppułk. „Sępa”, którzy siedzieli. Przyjęty zostatem stojąc i nie był zaproszony siadać.

„Bór” powiedział, że o mojej działalności jako organizatora „K.N.” jest zaznajomiony i dał mi następujący rozkaz do wykonania.

Złączyć „Konfederację Narodu” z „Armią Krajową” i przeprowadzić swój oddział w Nowogródzkie i zameldować się u komendanta Nowogródzkiego okręgu „A.K.” ppułk. „Prawdzica” a u niego otrzymam dalsze instrukcje.

Powiedział, że nadaje kilku moim ludziom stopień podchorążych a mnie samemu stopień podporucznika.

Zgodził się opłacić długi zaciągnięte przez moją org. „K.N.”.

Przypomniał o obowiązku wypełnienia wszystkich rozkazów d-wa „A. K.”.

Cała rozmowa trwała 15-20 minut.

Żadnych politycznych instrukcji ani też jak dalej prowadzić pracę w „A.K.” od „Bora” nie otrzymałem.

Żadnej narady podczas mego pobytu u Bora nie było i o takim wypadku nic nie wiem.

Pytanie: Jakie to było mieszkanie, gdzie przyjął was „Bor”, prywatne czy służbowe?

Odpowiedź: Jak przypuszczam było to prywatne mieszkanie, skromnie umeblowane i niewielki pokój, żadnej ochrony koło niego nie zauważyłem.

„Bor” był ubrany w cywilne ubranie, szatyn, średniego wzrostu, lat ok.50.

Pytanie: Jakie jeszcze instrukcje lub rozkaz otrzymaliście będąc u „Bora”?

Odpowiedź: Nic więcej o „Borze” nie mogę powiedzieć.

Protokół zapisany z moich słów prawidłowo, przeczytany mi na zrozumiałym dla mnie języku na co składałem swój podpis.

Piasecki.

Przesłuchiwał kpt. Prochorow

Przetłumaczył of.śl. Pacholek, ppor.

PROTOKÓŁ

Przesłuchania-oskarżonego

Warszawa dnia 19 maja 1945 r.

Oficer śledczy Minist. Bezpieczeństwa Publicznego por. Pacholek Jan przesłuchiwał niżej wymienionego w charakterze podejrzanego-oskarżonego o popełnienie przestępstwa z art. 1 Dekr. o Ochrn. Państw. i art. 191 K.K. który po wyjaśnieniu jakie przestępstwo jest mu zarzucone oraz po pouczeniu go o prawie odmowy odpowiedzi na zadawane mu pytania, zeznał co następuje:

Imię i nazwisko: Piasecki Bolesław

Data urodzenia: 1915 r.

Imiona rodziców: Ludomir-Pelagia

Miejsce zamieszkania: Warszawa

Miejsce urodzenia: Łódź

Obywatelstwo: polskie

Wyznanie: rzym.-kat.

Zajęcie: asystent przy katedrze filozofii prawa

Wykształcenie: wyższe

Stan rodzinny: żonaty dwoje dzieci

Stan majątkowy: nie posiada

Służba wojskowa: 1935-36, 1939 i partyzantka 1940-1944 r.

Odnaczenia i orderzy: nie posiada

Poprzednia karalność: ze słów nie karany

Pytanie: Czy oskarżony przyznaje się do winy, że do dnia zatrzymania tj. do 12 listopada 1944 r. brał udział i kierował związkiem „Armia Krajowa” mającym na celu obalenie demokratycznego ustroju w Państwie Polskim i że działalność jego przejawiała się w tym, że po 15 sierpnia 1944 r. i do dnia zatrzymania go tj. do 12.XI.1944 r. brał aktywny udział w organizowaniu kierownictwa „A.K.” na wyzwolonym terenie Polski, brał aktywny udział w organizowaniu antypaństwowej działalności „A.K.” na wyzwolonym terenie, że w związku z tym, że główne kierownictwo „A.K.” zostało na okupowanym terytorium Polski i praca org. A.K. na wyzwolonym terenie Polski była zdeorganizowana, na swoją rękę usiłował organizować na wyzwolonym terenie komendę główną „A.K.”, któraby kierowała

antypaństwową działalnością na całym wyzwolonym spod okupacji niemieckiej terytorium Polski, że w tym celu nawiązał kontakt z wybitnymi działaczami „A.K.” jak z d-cą 30 dywizji „A.K.” ppłk. „Trzaską”, komendantem Nowogródzkiego Okręgu „A.K.” ppłk. „Prawdzielcem”, pracownikiem K.W. „A.K.” ppł. „Henrykiem” i innymi wybitnymi antyrosyjskimi działaczami „A.K.”, z którymi przeprowadzał konferencje i odprawy, na których omawiano sprawy organizacyjne, wysyłał aktywnych członków org. „A.K.” w poszczególne rejony wyzwolonej spod okupacji Polski dla organizowania tam „A.K.” i antypaństwowej działalności, że finansował nielegalne wydawnictwa gazet, które były wydawane przez „A.K.”, że działalnością swą dążył do obalenia demokratycznego ustroju Państwa Polskiego, do podważenia zbrojnego Sojuszu Narodu Polskiego z ZSRR, że w celu tym żył pod fałszywym nazwiskiem i posługiwał się fałszywymi dokumentami.

Odpowiedź: Tak przyznaję się do wyżej zarzucanych mi faktów i wyjaśniam ponadto, że nie prowadziłem żadnej działalności w org. „A.” próbowałem tylko zorganizować Tymczasowe Kierownictwo org. „A.” na wyzwolonym terenie Polski.

Pytanie: Czy oskarżony chce uzupełnić lub dać dodatkowe wyjaśnienia do śledztwa.

Odpowiedź: Nie mam nic więcej do dodania ani do wyjaśnienia.

Na tym protokół zakończono, przeczytałem i jest zgodny z moimi wyjaśnieniami.

Piasecki

Przesłuchiwał Pacholek, por.

PROTOKÓŁ PRZESŁUCHANIA

m. Warszawa, dnia 19.V.1945 r.

Of. śledczy Min. Bezp. Publ. por. Pacholek Jan przesłuchał podejrzanego Piaseckiego Bolesława, który po uprzedzeniu go o prawie odmowy zeznań, zeznał:

Pytanie: Od kogo otrzymaliście broszurę pt. „Idą czasy”?

Odpowiedź: Broszurę pt. „Idą czasy” otrzymałem za pośrednictwem Wyszomirskiego od Kirejczyka – działacza Związku Nauczycielstwa Polskiego, celem przeczytania i wyrażenia oceny. Broszury tej przeczytać nie zdążyłem, pierwszą publikację tak samo w maszynopisie czytałem w 1943 r.

Pytanie: Czy pisaliście artykuły do nielegalnej gazetki „Alarm” i „Niepodległość”?

Odpowiedź: Artykułów nie pisałem, ponieważ wydawanie gazetek traktowałem jako zajęcie drugoplanowe. Jak już zeznałem, za zagadnienie pierwszej wagi uważałem próbę zorganizowania kierownictwa walącego się „A.K.” na terenach wyzwolonych.

Pytanie: Czy przechodziliście rejestrację wojskową jako oficer w stopniu porucznika?

Odpowiedź: Nie rejestrowałem się ponieważ termin rejestracji na tych terenach mnie minął, zamierzałem rejestrować się na Pradze, a wtedy R.K.U. nie było jeszcze zorganizowane. Było rozporządzenie ale nie było jeszcze przepisów określających terminu i miejsca rejestracji.

Na tym protokół przesłuchania zakończono, przeczytałem i jest zgodny z moimi zeznaniami.

Piasecki

Przesłuchiwał Pacholek, por.

POSTANOWIENIE

o pociągnięciu do odpowiedzialności karnej

m. Warszawa, dnia 19 maja 1945 r.

Of. śledczy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie por. Pacholek Jan rozpatrzywszy sprawę przeciwko Piaseckiemu Bolesławowi s. Ludomira urodz. 1915 r.

ustalił, że:

Piasecki Bolesław, do dnia zatrzymania go tj. do 12 listopada 1944 r. brał udział i kierował związkiem p.n. „Armia Krajowa” („A.K.”) mającym na celu obalenie demokratycznego

ustroju Państwa Polskiego, przyczem działalność jego przejawiała się w tem, że po 15-tym sierpnia i do dnia zatrzymania tj. do 12 listopada 1944 r. brał aktywny udział w organizowaniu na wyzwolonych terenach Polski kierownictwa „A.K.”, brał aktywny udział w organizowaniu antypaństwowej działalności org. „A.K.” na wyzwolonym terenie Polski. W związku z tym, że główne kierownictwo „A.K.” zostało na okupowanym terytorium Polski i praca org. „A.K.” na wyzwolonym terenie była zdeorganizowana, na swoją rękę usiłował organizować na wyzwolonym terenie Komendę Główną „A.K.” któraby kierowała antypaństwową działalnością na wyzwolonym terenie Polski. W tym celu nawiązał kontakt organizacyjny z szeregiem aktywnych działaczy org. „A.K.”, jak z d-cą dywizji „A.K.” p.pułk. „Trzaską”, komendantem Nowogródzkiego okręgu „A.K.” ppułk. „Prawdzielcem”, pracownikiem K.W. „A.K.” kpt. „Henrykiem” i innymi wybitnymi i aktywnymi działaczami „A.K.”, z którymi przeprowadzał konferencje i odprawy, na których omawiano plany stworzenia kierownictwa „A.K.” i działalności danej org., organizowania wydawnictw nielegalnych gazet na wyzwolonym terenie. Dla organizowania antypaństwowej działalności w poszczególnych rejonach wysyłał członków „A.K.” dla organizowania antypaństwowej pracy „A.K.” za Bugiem, w woj. Białostockim, w Pradze i innych miejscowościach. Finansował wydawnictwo nielegalnych gazet o antypaństwowej treści. Działalnością ową dążył do obalenia demokratycznego ustroju Państwa Polskiego i do podważenia zbrojnego Sojuszu Narodu Polskiego z ZSSR. W celu zamaskowania swoich przestępstw był pod fałszywym nazwiskiem i posługiwał się fałszywymi dokumentami.

Na mocy powyższego postanowił pociągnąć Piaseckiego Bolesława s. Ludomira do odpow. karnej z art. 1 Dekr. o Ochr. Państwa i art. 191 K.K.

Postanowienie powyższe zostało mi odczytane w dniu 19.05.1945 r.
Piasecki Bolesław

Zatwierdzam
Kierownik VIII-go Wydziału
(-) Róžański kpt.

AKT OSKARŻENIA

przeciwko: Piaseckiemu Bolesławowi s. Ludomira vel
Wojcieszkiewiczowi Leonowi osk. z art. 1 Dekretu o
Ochronie Państwa i art. 191 K.K.

(Oskarżony-zaaresztowany)

W dniu 12 listopada 1944 r. przez Wydział Informacji I-ej Armii Polskiej został zatrzymany Wojcieszkiewicz Leon.

W toku śledztwa ustalono, że prawowite nazwisko Wojcieszkiewicza Leona jest Piasecki Bolesław, który od najmłodszych lat walczył przeciwko demokracji. Piasecki od 1936 r. do 1939 r. był kierownikiem antydemokratycznej faszystowskiej organizacji p.n. „O.N.R.-Falanga”. Podczas okupacji rozwiązał wspomnianą organizację i z jej członków utworzył profaszystowską org. p.n. „Konfederacja Narodu” którą kierował do chwili wcielenia jej do „Armii Krajowej” („A.K.”) w 1943 r. w „A.K.” został naznaczony d-cą oddziału pod pseudonimem „Sablewski” na tym stanowisku pozostawał do chwili wkroczenia Armii Czerwonej i Wojska Polskiego na tereny Polskie tj. do lipca 1944 r. W lipcu 1944 r. w okolicach Wilna, został rozbrowiony wraz ze swym oddziałem przez Czerwoną Armię. Ludzie rozeszli się do domu, a Piasecki udał się w stronę Warszawy i tam zamieszkał. Na wyzwolonych terytoriach Polski władzę objęła już wtedy K.R.N. i P.K.W.N. Piasecki nie może pogodzić się z demokratycznym ustrojem w Polsce i zaczyna swą antypaństwową działalność celem obalenia demokratycznego ustroju Państwa Polskiego. W tym celu nawiązał kontakt organizacyjny z wybitnymi działaczami „A.K.”, jak z d-cą 30-tej dywizji „A.K.” ppłk. „Trzaską”, komendantem Nowogródzkiego okręgu „A.K.” ppłk. „Prawdżicem”, pracownikiem kontrwywiadu „A.K.” kpt. „Henrykiem”, przedstawicielem delegatury tzw. Rządu emigracyjnego „Kalskim” i szeregiem innych działaczy „A. K.” (K. 8,18,19,44,52).

Kontakt z wyżej wymienionymi utrzymywał do chwili zatrzymania go tj. do 12 listopada 1944 r. (K. 18).

W związku z tym, że główne kierownictwo „A.K.” zostało na okupowanej przez Niemców części Polski i że org. „A.K.” na wyzwolonym terenie Polski została się bez kierownictwa i zaczęła się rozpadać, Piasecki po nawiązaniu kontaktu z działaczami „A.K.” zaczął przeprowadzać u siebie w domu zebrania i odprawy z aktywnymi działaczami „A.K.” (K. 8,44).

Na odprawach i zebraniach omawiał plan odtworzenia org. „A.K.” na wyzwolonych terenach Polski i jej antypaństwowej działalności przy pomocy nielegalnej literatury, nowo zorganizowanych terrorystycznych bojówek, celem których byłaby fizyczna likwidacja demokratycznych działaczy społecznych i politycznych niewygodnych or. „A.K.”. Dla kierowania pracą org. „A. K.” proponował na wyzwolonych terenach utworzyć „tymczasowe centralne kierownictwo” „A.K.”, które by kierowało całą org. W tym celu wyznaczył ppłk. „Prawdźica” na stanowisko komendanta „A.K.” na wyzwolonych terenach, który na tę propozycję zgodził się. Sam miał objąć stanowisko kierownika wydziału organizacyjnego. (K. 21,53,54).

Ostatnia odprawa odbyła się w nocy z 6 na 7 listopada 1944 r. (K. 21, 54).

Dla organizowania wydawnictw nielegalnej literatury i terrorystycznych bojówek wysłał w poszczególne rejony wyzwolonej części Polski aktywnych działaczy „A.K.” i tak do Białegostoku wysłał kpt. „Jacka” do Siedlec kpt. „Wołkowyskiego”, do m. Pragi por. „Wrońskiego” i za Bug por. „Szczęsnego” (K 9,10,45)

Organizował i finansował nielegalne wydawnictwo gazet. (K. 29-30, 57-58).

Dla dokończenia wyżej opisanych przestępstw miał ścisły kontakt org. z aktywnymi działaczami „A.K.” jak ppłk. „Trzaską”, ppłk. „Prawdźicem”, ppor. „Ostoją”, „Krzemieniem”, ppor. „Bojarem”, „Dymitrem”, ppor. „Jackiem”, kpt. „Henrykiem”, dr. Malczewskim i innymi, z którymi utrzymywał ścisły kontakt do dnia aresztowania tj. do 12.XI.1944 r. (K. 8-9, 18-19, 44-45, 52).

Działalnością swą dążył do obalenia istniejącego w Polsce ustroju demokratycznego.

Dla zamaskowania i ukrycia swojej działalności żył pod fałszywym nazwiskiem Wojcieszewicza, posługiwał się fałszywymi dokumentami, podrobił dowód tożsamości tj. kartę rozpoznawczą, którą chciał używać za autentyczną.

Zbadany w charakterze oskarżonego całkowicie przyznał się do winy (K. 72-73-74).

Ponadto winę jego potwierdza zeznanie świadka Romanowskiego (K.1 -13).

Na mocy powyższego oskarżam: Piaseckiego Bolesława s. Ludomira vel Wojcieszkiwicza Leona ur. 1915 r. w Łodzi, ostatnio zamieszkałego w Józefowie koło Warszawy, Polaka, wyz. rzym. kat. z wyższym wykształceniem, z zawodu asystenta przy katedrze filozofii prawa, w wojsku służącego od 1935 r. – 1936 r. ppor. ze słów nie karanego.

O to, że

1. Do dnia 12 listopada 1944 r. brał udział i kierował związkiem p.n. „Armia Krajowa” („A.K.”) mającym na celu obalenie istniejącego ustroju demokratycznego w Polsce. Działalność jego przejawiała się w tym, że po 15tym sierpnia 1944 r. na wyzwolonych spod okupacji niemieckiej terytoriach Polski wyznaczył głównie kierownictwo org. „A.K.”, wysyłał działaczy „A.K.” w poszczególne rejony wyzwolonej części Polski dla organizowania terrorystycznych bojówek i wydawnictw nielegalnej literatury, przeprowadzał u siebie w domu konspiracyjne zebrania i odprawy z wybitnymi i aktywnymi działaczami „A.K.”. Organizował i finansował wydawnictwo nielegalnej literatury. Do dnia 12.XI.44 r. miał częsty kontakt organizacyjny z wybitnymi i aktywnymi działaczami „A.K.”.

2. W celu użycia za autentyczne podrobił świadectwo tożsamości tj. kartę rozpoznawczą i inne dokumenty, którą chciał posługiwać się jako autentyczną.

Przestępstwa te się przewiduje punkt 1 w art. 1 Dekretu o Ochronie Państwa (Dz. U.R.P. z dnia 30.X.44 r. Nr 10 poz. 50) punkt 2 w art. 191 K.K.

Na zasadzie art. 6 cytowanego Dekretu o Ochronie Państwa i art. 20 K.K.W.P. sprawa ta podlega rozpatrzeniu przez Sąd Wojskowy Okręgu Warszawskiego.

Akt oskarżenia sporządzono dnia 21.V.1945 r.

Oficer śledczy

(-) Pacholek por.

Wykaz osób podlegających wezwaniu na rozprawę:

Oskarżony

Piasecki Bolesław s. Ludomira – więzienie Warszawa-Mokotów.

Zaświadczenie

1. Przestępstwa dokonano w okresie od 15.VIII.44 r. do 12.XI.44 r.

2. Śledztwo wszczęto dnia 10.IV.1945 r. (K. 64)

3. Śledztwo zakończono dnia 19.V.1945 r. (K. 76)

4. Dowody rzeczowe – dwie karty rozpoznawcze i dokumenty (K. 79)

Oficer śledczy: Pacholek por.

Grzegorz MAZUR

NIEZNANY LIST GEN. PAWŁO SZANDRUKA

Gen. Pawło Szandruk, urodzony 28 II 1889 r. we wsi Borsuki w powiecie krzemienieckim, rozpoczął swoją karierę jako oficer carskiej armii. W latach 1917-1920 służył w armii Ukraińskiej Republiki Ludowej (URL), w tym też brał udział w wojnie Polski z bolszewikami w 1920 r. jako wysoki oficer u boku atamana Semena Petlury. Przebywał następnie w obozie internowanych żołnierzy ukraińskich w Kaliszu, gdzie założył wojskowe pismo historyczne *Tabor*. Ogłosił też wspomnienia „Ukraińska Armia w walce z Moskwą”. Był oficerem kontraktowym WP, w 1938 r. ukończył polską Wyższą Szkołę Wojenną. W 1939 r. był zastępcą dowódcy 18 pułku piechoty, ciężko ranny 26 IX 1939 r. pod Krasnobrodem dostał się do niewoli niemieckiej. Ze względu na stan zdrowia i na skutek starań brata oraz Andrzeja Liwińskiego został zwolniony, ale wkrótce potem dwukrotnie aresztowany przez gestapo, m.in. więziony był na Mokotowie przez około 7 miesięcy. Mieszkał następnie w Skierniewicach pod stałym nadzorem gestapo. W grudniu 1944 r. na polecenie Pre-

zydenta Ukraińskiej Republiki Ludowej na emigracji, A. Liwińskiego i w związku z powstaniem Ukraińskiego Komitetu Narodowego, którego przewodnictwo objął, został powołany na dowódcę wszystkich oddziałów ukraińskich, formowanych i walczących u boku Niemiec (tzw. I armii UNA); sama ukraińska 14. Dywizja SS liczyła wtedy około 20 tys. ludzi. W dniach 24-27 IV 1945 r. dokonała ona zamachu i poddała się oddziałom amerykańskim w rejonie Grazu i Radstadt. Po nawiązaniu łączności z A. Liwińskim w styczniu 1946 r. został ministrem spraw wojskowych w Radzie URL, ale w wyniku nieporozumień z nim ustąpił jesienią tego roku wraz z prof. Romanem Smal-Stockim. Wedle oceny polskich czynników, dokonanych 25 XI 1948 r., P. Szandruk był jednym z najbardziej konsekwentnych zwolenników porozumienia polsko-ukraińskiego. W 1949 wyemigrował z Niemiec do USA, gdzie zmarł 15 II 1979 r. W Nowym Jorku w 1959 r. opublikował wspomnienia „Arms of Valor”. Za postawę w 1939 r. został po wojnie odznaczony *Virtuti Militari* 5 klasy¹.

Adresat listu, mjr Jerzy Ponikiewski, jest nam bliżej niezany, bliżej natomiast są znane dwie inne osoby. Stanisław J. Paprocki (1895-1976) w czasie wojny był wysokiej rangi urzędnikiem Ministerstwa Informacji i Dokumentacji, zajmującym się sprawami narodowościowymi. Także po jej zakończeniu leżało to w zakresie jego obowiązków w rządzie polskim na obczyźnie; zaraz po wojnie był jednym z twórców i czołowych działaczy Ligi Niepodległości Polski. Polskim generałem, któremu P. Szandruk chciał przekazać treść tego listu był Stanisław Kopański (1895-1976), w owym czasie generalny inspektor Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia².

Prezentowany poniżej list stanowi interesujący dokument, będący świadectwem powolnego tworzenia się wśród

1. Instytut Polski i Muzeum im. gen. W. Sikorskiego (IPMS) w Londynie, Kol. 30/1/6 – Stanisław J. Paprockiego; R. Torzecki, „Polacy i Ukraińcy. Sprawa ukraińska w czasie II wojny światowej na terenie II Rzeczypospolitej”, W-wa 1993, tamże dalsze szczegóły o P. Szandruku.

2. O S.J. Paprockim zob.: W. Szyszkowski, „Stanisław Paprocki” [w:] „Polski Słownik Biograficzny”, t. XXV – 1980, s. 186-188, zaś o S. Kopańskim zob. m.in.: „Wrzesień 1939 w relacjach i wspomnieniach”, wybór i oprac. M. Cieplewicz, M. Kozłowski, W-wa 1989, s. 153-154.

Polaków i Ukraińców świadomości koniecznej współpracy, a także – prekursorskie w swej wymowie – świadectwo pojawiania się pierwszych koncepcji Zjednoczonej Europy. Warto przytoczyć go tym bardziej, że przecież zaledwie parę lat wcześniej trwały zaciekle walki między Ukraińcami i Polakami na Kresach Południowo-Wschodnich, a w ukraińskim życiu politycznym bardzo żywe były wtedy ugrupowania nacjonalistyczne, na czele z OUN. Dokument ten znajduje się w Instytucie Polskim i Muzeum im. gen. W. Sikorskiego w Londynie, w spuściźnie po Stanisławie J. Paprockim – Kolekcji 30/I, teczka 6. Odnalezienie go i publikacja stała się możliwa dzięki stypendium uzyskanemu z Funduszu Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej.



Londyn, dnia 6 lipca 1947 r

Wielce Szanowny Panie Generale,

Dopiero w tych dniach otrzymałem za pośrednictwem p. mjr. Jerzego Ponikiewskiego z Niemiec list kondolencyjny p. gen. Pawła Szandruka z dn. 20 lutego rb., wywołany śmiercią śp. gen. Tadeusza Kutrzeby.

Zgodnie z życzeniem gen. Szandruka odpis tego listu pozwalam sobie przesłać Panu Generałowi. Nadmieniam przy tym, że p. gen. Szandruk, jeden z najwybitniejszych petlurowców, znajduje się od pewnego czasu w opozycji do Prezydenta URL na emigracji, p. Andrzeja Liwickiego, wraz z szeregiem innych wybitnych petlurowców jak prof. A. Szulhin w Paryżu i prof. R. Smal-Stocki w New Yorku.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

(St. J. Paprocki)³

1 zał



3. Obok podpisu maszynowego odręczny.

Wielce Szanowny Panie Majorze,

Wieść o śmierci Śp. Generała T. Kutrzeby bardzo głęboko mną wstrząsnęła. Śmierć takiego dzielnego żołnierza i obywatela jest i dla nas, Ukraińców, wielką stratą. A dla mnie zwłaszcza, gdyż w ciągu tej wojny i przed nią straciłem trzech najlepszych opiekunów i przyjaciół: Śp. Generałów J. Stachewicza, T. Klimeckiego i obecnie T. Kutrzebę.

Nieraz byłem świadkiem, jak ci trzech Generałówie Polscy w rozmowach z różnymi działaczami polskimi twardo i jasno bronili prawa ukraińskiego do samodzielności, prawa na swoje własne suwerenne państwo. Może raczej intuitywnie⁴ aniżeli politycznie wyczuwali przyszłe dzieje, konieczność wspólnego frontu przed zagładą. Panie Majorze! to jedyny poratunek dla naszych narodów i gdy nie będziemy mieli wzajemnej, może nawet najdalej posuniętej tolerancji, zginiemy. Stany Zjednoczone Europy – ideał, ale jego osiągnięcie wymaga: 1) wspólnoty wszechsłowiańskiej, 2) długich lat i wielkiego wysiłku. Zanim to się stanie, rozplyniemy się w morzu moskiewskim lub pangermańskim. Czy możemy pozwolić na to, żeby potomkowie nasi przeklinali nas za to, że oni będą musieli być obiektem, a nie subiektem dziejów Europy? A przecież mogliśmy, lecz nie chcieliśmy (lub nie umieliśmy), możemy lecz boję się, że znów nie chcemy zdobyć nasze prawa podmiotowe... Dlatego też z nadzwyczajną satysfakcją przeczytałem list Pana Majora do kpt. F.⁵, zawierający credo polityczne w tym względzie Pana Majora. Ma Pan Major trudności, mało zrozumienia – bardzo dobrze, bo to jest dowodem wielkości Idei, którą Pan Major broni. Z naszej, ukraińskiej strony te same trudności mamy Profesor Roman⁶ i ja – i z tego również się cieszę... Śp. Generał T. Kutrzeba ofiarował mi swoją „Wyprawę Kijowską r. 1920” z

4. Winno być: intuicyjnie.

5. Nie udało się go zidentyfikować.

6. Roman Smal-Stocki.

taką dedykacją: „Nie ma walki bez kryzysu i w wielkich sprawach nie ma łatwych zwycięstw” – mnie te słowa zawsze w mojej pracy (bardzo, bardzo ciężkiej) przyświecają. Te słowa pochodzą spod pióra Polskiego Generała i prawdopodobnie Pan Major pod nimi się podpisze również... Walczymy, Panie Majorze, za słuszną sprawę.

Teraz inne rzeczy. Chciałbym na niektóre, przez Pana Majora w liście do kpt. F., poruszone zagadnienia, dać od siebie odpowiedź.

Przede wszystkim sprawa mojej, jakby powiedzieć, opozycji. Otóż Panie Majorze, w 60-tym roku życia z jednej strony, z moim charakterem – z drugiej, trudno byłoby szukać uzasadnień do zmiany światopoglądu. Jednak uważałbym siebie samego za człowieka niegodziwego, gdybym nie zwalczał tego co zdaniem wszystkich nas jest objawem destrukcji – cała sprawa w tym, że niestety nie wszyscy mają charakter walczyć. Oportunizm ułatwia życie... codzienne i osobiste. Walcząc więc jestem również zwalczany, lecz niestety prowokacją; z jednej strony robią mnie banderowcem, z drugiej polonofilem. Pierwsze – jest kłamstwem, koniecznym dla zwalczania na zewnątrz, drugie – dla zwalczania na wewnątrz. Nic się nie boję, tym bardziej, że społeczeństwo w swoich odczytach publicznych informuję. Jedno jest przykre, że te prowokacje pochodzą ze źródeł całkowicie naszych. Tak samo przez swoich (naszych) byłem zadenuncjowany przed Niemcami i mało tego, że siedziałem w Mokotowskim więzieniu w izolacji, ale mogłem i tego oczekiwać – postradać życie. Ci sami ludzie i teraz mnie prowokują i trudno przekonać starszego Pana, że to nowe (a może stare) wydanie Niedajkaszy i Łazarewskiego⁷... Otóż, Panie Majorze, nie jestem i nigdy nie będę należał do jakiejś partii czy organizacji, jestem patriotą ukraińskim, który widzi możliwość istnienia ukraińskiego państwa i może nawet narodu w koncepcji najbliższej współpracy politycznej i militarnej polsko-ukraińskiej. Za Polskę się biłem, bo uważałem, że przez to biję się za Ukrainę. Wierzę, że do tego zagadnienia więcej powracać

7. Nie udało się ustalić o kogo chodzi, być może P. Szandruk miał na myśli jakichś swoich przeciwników politycznych.

nie będziemy. A gdy zajdzie potrzeba bić się jeszcze raz za Polskę – będę! Z tych samych powodów. A poza tym mówiłem już Panu Majorowi, że Polska była dla mnie Drugą Ojczyzną.

Już dużo różnych rzeczy omówiłem z Panem Majorem, lecz jeszcze więcej teraz jest do omówienia. Byłbym bardzo rad znowu z Panem Majorem się spotkać. Zresztą spodziewam się przy najbliższym spotkaniu z p.p. J.P. i red. Hr.⁸ wszystko omówić i prawdopodobnie relacje z tych rozmów Pan Major będzie miał. Jednak o kontakcie tym marzę, gdyż chodzi o to, że Pan Major bliżej zna nas wszystkich i nasze zagadnienia.

Załączony list uprzejmie proszę w treści przekazać Panu Generałowi Kopańskiemu.

Proszę przyjąć wyrazy szczerego szacunku i poważania

(-) *P. SZANDRUK*

8. Osoby niezidentyfikowane.

WSPOMNIENIA

J. Zdzisław SZYŁEYKO

DZIENNIK RADIOWY ROZGŁOŚNI POLSKIEJ RWE 1952 – 1972

(FAKTY, WSPOMNIENIA, REFLEKSJE)

W książkach i publikacjach o RWE jakie się ukazały dotychczas, czy w tych, które tylko zahaczały o ten temat lub nawiązywały do niego marginesowo, mało albo w ogóle nie pisano o pracy dziennika radiowego polskiej sekcji, chociaż autorzy zgodnie przypisywali mu duże znaczenie. Wydaje się też, że poza wspomnieniami cała tematyka radiowa zasługuje na bardziej obszerne, naukowe opracowanie, mogące być ważnym źródłem informacji dla badacza powojennej historii Polski.

Pierwszy kierownik rozgłośni w latach 1952-1975 Jan Nowak-Jeziorański w swoich dwóch wielce ciekawych książkach o RWE¹, o dzienniku radiowym – zapewne z uwagi na zakres materiału – pisze niewiele. Podkreśla jednak kilkakrotnie jego znaczenie.

Praca dziennika w odróżnieniu od pracy w redakcji programu, była anonimowa. Ludzie zajmujący się pisaniem

1. „Wojna w eterze”, Odnova, Londyn, 1985 i „Polska z oddali”, Odnova, Londyn, 1988.

i redagowaniem „wiadomości” byli nieznanymi twórcami istotnej i najważniejszej części całodziennych emisji. Dla własnego zespołu radiowców dziennik był elementem nieodzownym, lecz także niezauważalnym; był komórką większego organizmu, funkcjonującą bezbłędnie, na którą nie zwraca się uwagi podobnie jak na proces własnego oddychania, czy regularne bicie serca. Dziennik stanowił typowy przykład wysiłku zespołowego o produkcji nieproporcjonalnie wysokiej w stosunku do ilości zatrudnionego personelu. Od piętnastu do osiemnastu dziesięciominutowych emisji dziennie wypełniało dwie i trzy czwarte godziny programu. Wymagało to przygotowania od dwóch i pół do trzech tysięcy wierszy tekstu maszynowego. Tę pracę w ciągu dwudziestogodzinnej radiowej doby wykonywało pięciu lub sześciu redaktorów i trzy lub cztery sekretarki na zmianach sześciolub ośmiogodzinnych. Wiadomości oczywiście były powtarzane ale prawie w każdym wydaniu ukazywały się w zmienionej formie, skróconej względnie rozszerzonej, zależnie od sytuacji. Dziennik, popularnie zwany „news'em” – wygodne acz niepotrzebne spolszczenie angielskiego słowa *news*, spełniał podwójną rolę: informował słuchaczy w kraju i dostarczał tematów własnym komentatorom do audycji politycznych, jak „Fakty, Wydarzenia, Opinie”, lub o lżejszym charakterze, jak „Panorama dnia”. Komentarz był interpretacją wiadomości dziennika, a wiadomość stanowiła jakby pierwszy sygnał naprowadzający na cel resztę programu rozgłośni.

Depesza podana na antenę i czytana przez spikera „na żywo”, musiała być precyzyjna, zrozumiała i napisana czystym, dobrym językiem, a przy tym – oszczędnym w słowa. Długi i nieraz zawiły tekst angielski należało „przerobić” na strawny dla polskiego słuchacza biuletyn. Przy tym należało pisać szybko. Straconego czasu nic nie mogło zastąpić.

Jak wielkie znaczenie odgrywał dziennik potwierdzają jeszcze dziś głosy tych, którzy w epoce komunizmu i zimnej wojny dowiadywali się prawdy o tym, co się dzieje w Polsce i na świecie z naszych codziennych komunikatów. Spotykałem ludzi, którzy z wyraźną satysfakcją mówili, że rozpoczynali dzień od słuchania dziennika RWE. Nazywali

siebie, nie bez pewnej dumy, pokoleniem wychowanym na audycjach Wolnej Europy.

Jak to się zaczęło?

W RWE pracowałem 20 lat. Z tego 18 w redakcji dziennika w Monachium i 2 lata podczas dwóch tur do Ameryki, w sekcji nowojorskiej poza etatem. Do Monachium przyjechałem z Londynu 5 marca 1952 r., w pierwszej grupie osób zaangażowanych do rozgłośni. Moją kandydaturę wysunął Bolesław Wierzbiański, ówczesny prezes Związku Dziennikarzy. Już wtedy dziennik istniał w załączkowej formie jako część jednogodzinnej audycji, którą Amerykanie zaczęli nadawać do Polski z Nowego Jorku jeszcze w sierpniu 1951 roku. Wiadomości pisali w Monachium i przekazywali do USA dwaj redaktorzy: Jerzy Bohusz-Szysko przybyły z Londynu i Antoni Tarnowski z Ameryki. Audycję powtarzano kilka razy dziennie, ale ze względu na słabe nadajniki, była mało słyszalna w Polsce.

W marcu 1952, po skompletowaniu zespołu redaktorów, spikerów, reżyserów, aktorów i personelu administracyjnego, rozpoczęła się „sucha zaprawa”. Sekcja polska mieściła się na razie w prywatnym budynku na Possartstrasse 9, nieprzystosowanym do pracy radiowej. Skrzydło przeznaczone dla nas w głównym gmachu radia przy Englischer Garten 1, nie było jeszcze gotowe. Dwumiesięczny okres przygotowawczy wypełniły wykłady na tematy fachowe, np. „Jak należy pisać dla radia?”, czy o radiostacjach amerykańskich, organizacji ich pracy i.t.p. Wysłuchaliśmy wtedy, pamiętam, radiowej adaptacji słynnej powieści H.G. Wellsa „Wojna światów”, w znakomitej reżyserii Orsona Wellesa tak dalece realistycznej, że wywołała panikę wśród słuchaczy w Ameryce. Radia uczyli nas także nasi specjaliści: Wojciech Trojanowski – mistrz radiowego reportażu, Wiktor Budzyński z „Lwowskiej Fali”, Zdzisław Marynowski – dyrektor rozgłośni poznańskiej, Wiktor Trościanko z radia wileńskiego, Wincenty Rapacki – dyrektor Radia Łódź i wybitny reżyser teatralny oraz radiowy, Wacław Radulski. Były spotkania z kierownictwem amerykańskim.

Na jednym z nich doradca polityczny William Griffith wyjaśniając genezę powstania RWE, powiedział wyraźnie, że Amerykanie nie kierowali się jakąś specjalną sympatią dla Polaków, lecz względami politycznymi. Będziemy współpracować tak długo – mówił – dopóki nasze interesy będą zbieżne. Griffith, od czasu kiedy go poznałem w londyńskim hotelu Dorchester podczas wstępnych rozmów z kandydatami, robił zawsze wrażenie chłodnego analityka. Rzadko się uśmiechał. Griffith mówił szczerze. W Ameryce zafascynowanie Rosją dawno minęło. Po blokadzie Berlina przyszła wojna w Korei. Zaalarmowani rosnącą siłą Sowietów Amerykanie budowali system przeciwdziałania. Radio miało stać się bronią pierwszej linii w wojnie psychologicznej. Nasze interesy były rzeczywiście identyczne.

3 maja 1952 roku nastąpiło otwarcie rozgłośni. Program inauguracyjny został nadany z największego studia w nowym gmachu, do którego przeniosła się sekcja polska. Redakcja dziennika mieściła się w trzech pokojach na parterze skrzydła „A”. Wyposażenie mieliśmy nowe: maszyny do pisania, telefony i dalekopis połączony z centralną zbiornicą wiadomości w tym samym gmachu, zwaną *Central News Room*, którą dzień i noc obsługiwali redaktorzy amerykańscy, względnie anglojęzyczni. Praca opierała się na instrukcji noszącej nazwę „Dziennik Radiowy” wydanej w ograniczonej ilości 30 egzemplarzy przez kierownika rozgłośni Jana Nowaka. Podaję ją w całości:

1. „Dziennik” stanowi najważniejszą i najbardziej atrakcyjną część programu. Instynktowna nieufność wobec propagandy oraz totalne uzależnienie jednostki od państwa, a tym samym od wydarzeń politycznych sprawiają, że głód wiadomości jest największą siłą przyciągającą słuchaczy za Żelazną Kurtyną. Bez dobrej obsługi informacyjnej najlepszy program nie zdobędzie powodzenia.

2. Aby spełnić swe zadanie i zaspokoić potrzeby słuchaczy, „Dziennik” musi być interesujący i aktualny. Ścisłość i dokładność informacji stoją jednak na pierwszym miejscu. Należy mieć nieustannie na uwadze fakt, że słuchacz ma możliwość słuchania i porównywania

„Dziennika” RWE z wiadomościami innych radiostacji zachodnich i wybierze zawsze ten program, z którego najwięcej się dowie i któremu najbardziej ufa.

3. Przy redagowaniu „Dziennika” przestrzegać należy następujących zasad:

a) „Dziennik” zawiera tylko wiadomości i fakty ściśle oddzielone od opinii i komentarzy zespołu redakcyjnego. Przytaczając wypowiedzi osobistości politycznych mające znaczenie ważnych wydarzeń, należy za każdym razem wskazywać wyraźnie źródło, a w dłuższym tekście należy to czynić kilkakrotnie.

b) W „Dzienniku” podaje się tylko fakty sprawdzone i pewne.

c) „Dziennik” musi obejmować wszystkie ważne wiadomości z danego dnia – zarówno pomyślne jak i nie-pomyślne dla słuchacza polskiego.

d) Do osiągnięcia celu polityczno-propagandowego dążyć należy przez układ wewnętrzny biuletynu i poszczególnych depesz, unikając równocześnie starannie zewnętrznej formy i wszelkich pozorów propagandy. Sposób odczytywania „Dziennika” winien również sprawiać wrażenie bezstronnej informacji.

e) Wiadomości „Dziennika” przeznaczone są dla społeczeństwa w Kraju. Dobór ich, kolejność podawania, długość poszczególnych depesz i cała budowa biuletynu, winna odpowiadać hierarchii zainteresowań audytorium polskiemu.

f) Ważne wiadomości z Polski podane przez radio warszawskie, winny być bezzwłocznie w skrócie powtórzone dla zadokumentowania bliskiego kontaktu z życiem Kraju.

g) „Dziennik” przeznaczony jest dla ogółu słuchaczy; musi być zatem zrozumiały i ciekawy dla najprostszego człowieka.

h) „Dziennik radiowy” pod względem swej formy różni się od sposobu redagowania wiadomości prasowych. Komunikat należy pisać w formie ciągłego opowiadania, ujętego w najprostszych słowach i krótkich zdaniach, nie przekraczających dwóch linii.

i) depesze „Dziennika” redagowane są na podstawie doniesień agencji, nie mogą natomiast w żadnym wypadku być tłumaczone z depesz agencyjnych.

4. Każdorazowej zgody Kierownika lub jego zastępcy wymagają:

a) wiadomości z życia politycznego emigracji polskiej, lub wypowiedzi polskich polityków emigracyjnych;

b) wiadomości lub wypowiedzi dotyczące polskich zagadnień terytorialnych.

Przytoczona wyżej Instrukcja – niestety bez daty – podpisana przez Kierownika Sekcji Polskiej Jana Nowaka, była ściśle wykonywana. Dwa natomiast punkty, (g) i (h), nie zawsze mogły być przestrzegane. O tym czy dziennik był „ciekawym” nie decydował redaktor, lecz „siła wyższa”. Także pisanie komunikatu w formie ciągłego opowiadania nie zawsze było możliwe, podobnie jak ograniczenie długości zdań do „dwóch linii”.

Organizacja pracy

Materiał przysyłany z centrali (CNR) dalekopisem do redakcji rozgłośni narodowych, stanowiły w większości oryginalne depesze agencyjne. Tasiemcowe zazwyczaj teksty agencji prasowych bloku komunistycznego, redaktorzy w centrali – skracali.

RWE zapewniło sobie (dużym kosztem) pełen serwis czołowych agencji zachodnich. Były to: *Associated Press* – AP, *International News Service* – INS, *United Press Agency* – UPA, angielski *Reuter*, francuska agencja *Agence France Presse* – AFP, włoska ANSA, zachodnio-niemiecka *Deutsche Presse Agentur* – DPA. Do tego dochodziły serwisy zagraniczne agencji krajów bloku sowieckiego, jak TASS, PAP, jugosłowiańska TANJUG i chińska HSINHUA. Materiał był więcej niż obfity.

Dalekopisu pilnował i dokonywał selekcji materiału redaktor dyżurny. Po szybkim zapoznaniu się z treścią dawał depesze agencyjne „do przeróbki” redaktorom piszącym, sprawdzał teksty, wносił poprawki, kompletował dziesięciominutowy zestaw, dyktował maszynistce skróty najważniejszych trzech lub czterech wiadomości. Kwadrans przed każdą

pełną godziną zjawiał się spiker i zabierał do studia teczkę z dziennikiem. Na przygotowanie jednej emisji, redaktor dyżurny miał 45 minut. Nierzadko, w sytuacjach nadzwyczajnych, trzeba było donieść do studia ważną wiadomość z ostatniej chwili.

Dyżur redakcyjny trwał od sześciu do ośmiu godzin. Pierwszy rozpoczynał się o czwartej rano, ostatni kończył o północy. Dyżurny był odpowiedzialny za wszystkie wydania dziennika w czasie jego służby. Na niego spadały gromy jeżeli coś „nie grało” czy nastąpiła pomyłka. Wtedy był wzywany do dyrektora, gdzie w najlepszym wypadku wysłuchiwał gorzkiej wymówki. Dla ścisłości trzeba dodać, że zdarzało się to w latach późniejszych, kiedy do redakcji przychodzili ludzie młodszy z małym doświadczeniem i bez stażu dziennikarskiego. Pochwał niestety nie pamiętam, przypuszczalnie dlatego żeśmy ich nie słyszeli.

Praca w dzienniku była nerwowa, męcząca, wymagała ciągłej koncentracji, a także uważnego śledzenia wydarzeń w Polsce i na świecie w godzinach pozasłużbowych. Czytanie różnego rodzaju opracowań, czasopism i tekstów audycji politycznych własnej rozgłośni, jednym słowem „trzymanie ręki na pulsie”, oznaczało w praktyce ograniczenie czasu przeznaczanego na odpoczynek, a niekiedy odbijało się na zdrowiu.

Z początku, przez dobrych kilka lat, redaktorzy dziennika przygotowywali kolejno „Przegląd Wydarzeń Tygodnia”. Audycję zaprojektował pierwszy szef dziennika, Marian Piotrowski, o którym będzie jeszcze mowa. Piętnastominutowy Przegląd miał inny charakter niż dziennik, mianowicie formę narracyjną, z zachowaniem logicznej ciągłości, w ujęciu reportażowo-felietonowym, niepozbawionym subtelności komentarza. Audycja była ciekawa i cieszyła się popularnością wśród słuchaczy. Po pewnym czasie, nie wiem dlaczego, została zlikwidowana.

Zespół „Dziennika” – Sylwetki

W początkowym okresie skład redakcji „Dziennika” był

następujący: Szef: – dr Marian Piotrowski. Redaktorzy: – Kazimierz Wierzbiański, Tadeusz Łada-Bieńkowski, Jan Tabaczyński, Roman Fengler, Sławomir Dunin-Borkowski, Antoni Tarnowski i Zdzisław Szyłyko. Po sześciu lub siedmiu miesiącach doszedł Jan Krok-Paszkowski. Rolę sekretarek spełniały panie: Maria Parczewska, Zofia Kraszewska, Ewa Kessler, Edwarda Srebowska. W charakterze sekretarza piszącego biegle na maszynie występował przybyły z Francji Mikołaj Szlachciński.

Z biegiem czasu i w miarę wzrastających potrzeb personel rósł. Przybyli: Wacław Bniński, Paweł Zdziechowski i Stanisław Szablowski.

W pierwszej ekipie składającej się z ośmiu redaktorów wszyscy, z wyjątkiem Jana Krok-Paszkowskiego i mnie, byli dziennikarzami o długim stażu i dużym doświadczeniu.

Szef, Marian Piotrowski, przed wojną długoletni korespondent PAT-a w Paryżu, miał szerokie stosunki w świecie dziennikarskim. Przyjaźnił się z Filipem Benem, późniejszym korespondentem *Le Monde* w Warszawie. Ben pochodził z Łodzi. Nazywał się Norbert Nieświski. We wczesnych latach pięćdziesiątych pracował dla izraelskiego pisma *Mariv*, wychodzącego w Tel-Awivie. Często przyjeżdżał do Monachium. Wpadał do naszej redakcji, gdzie go poznałem.

Piotrowski, człowiek o dużej kulturze, potrafił godzić cechy wymagającego szefa z walorami uładnego dyplomaty i dżentelmena. Oczekiwał od zespołu dokładnej znajomości zagadnień międzynarodowych. Czytanie artykułów co najmniej czterech najważniejszych gazet europejskich a także dwóch amerykańskich (*New York Times* i *Washington Post*) uznawał za konieczne. Zalecając specjalizację, kazał mi śledzić ruchy zjednoczeniowe w Zachodniej Europie, w związku z czym wyjeżdżałem później kilkakrotnie jako korespondent na kongresy w Hadze, Paryżu i Strasburgu.

Kazimierz Wierzbiański objął kierownictwo dziennika po odejściu Piotrowskiego na stanowisko zastępcy Jana Nowaka. Był starszym bratem Bolesława, prezesa londyńskiego Związku Dziennikarzy. Kazimierz posiadał gruntowną znajomość swego zawodu i długoletnie doświadczenie. W Polsce

pracował w MSZ-cie, w czasie wojny – o ile się nie mylę – był referentem prasowym jakiegoś ministerstwa w Londynie. W pracy okazywał wyrozumiałość i koleżeńską życzliwość, co mu nie przeszkadzało w sumiennym kontrolowaniu zespołu i umiejętnym wyłapywaniu nawet najdrobniejszych pomyłek.

Szef darzył mnie dużą sympatią a będąc smakoszem i znawcą dobrej kuchni, nieraz zabierał na kolacje do monachijskich restauracji. W tych epikurejskich wypadach brał udział Jan Tabaczyński, a czasami także Wacław Zbyszewski, zatrudniony wówczas w konkurencyjnym Głosie Ameryki. Wszyscy trzej znali się jeszcze z dawnych krakowskich czasów.

Tabaczyński był w czasie wojny bliskim współpracownikiem prof. Stanisława Kota na Bliskim Wschodzie. Przed wojną, w latach dwudziestych przez jakiś czas pełnił funkcję prezesa Biblioteki Jagiellońskiej. Zaprzyjaźniliśmy się w późniejszych latach. Ceniłem go niezmiernie za dobroć charakteru. Miał gołębie serce, zawsze chętny do niesienia pomocy, zawsze skromny. Po odejściu na emeryturę, wrócił do Londynu. Zostawił mi swego mercedesa, którego nigdy nie nauczył się prowadzić. Przedwczesnej śmierci Jana Tabaczyńskiego w 1961 roku nie mogłem odżałować.

Wspominając tamte lata ciśnie się pod pióro postać Wacława Zbyszewskiego, chyba jednego z najwybitniejszych polskich publicystów. Po rozstaniu się z Głosem Ameryki pisał doskonałe felietony dla naszej rozgłośni. Podczas monachijskich, restauracyjnych epizodów, Zbyszewski zachwycał mnie swoją erudycją, zdumiewał fenomenalną pamięcią, zaciekał znajomościami jakie miał wśród polityków a także w świecie nauki i kultury oraz zaskakiwał złośliwością. Nie miał litości dla ludzi, których nie lubił. Nie zostawiał na nich suchej nitki. I dla nich, szczególnie dla konkurentów po piórze, rezerwował ukute przez siebie powiedzonko: „bez-talencie”. Zbyszewski lubił „odbrązawiać”. Robił to z satysfakcją, nawet z namiętnością, co wydawało się zdradzać gorzkniejącą w miarę lat naturę. Zbyszewski przeszedł do historii polskiego dziennikarstwa, która – mam nadzieję – potraktuje go łaskawiej niż on sobie współczesnych.

Seniorem zespołu dziennika był Tadeusz Łada-Bieńkowski. Przed wojną kilka lat spędził w Gdańsku jako

korespondent *Gazety Polskiej*. Znał niemiecki równie dobrze jak polski i z tego tytułu był jakby referentem prasy niemieckojęzycznej. Oznaczał się piękną postawą, spokojem i opanowaniem w najgorętszych sytuacjach. Dyktował szybko najtrudniejszą depeszę bezbłędnie, co najwyżej z dodaniem kilku znaków przestankowych. Depesza była składna, jasna, zrozumiała. Przy tym był niezwykle skromny, może nawet przesadnie na swój talent i doświadczenie. Cechowała go wielka życzliwość. Nie zapomnę, że był pierwszym w zespole, który mnie, młodszemu od niego o dobrych dwadzieścia lat, zaproponował „bruderszafta”.

Jeszcze jednym znawcą spraw niemieckich był Roman Fengler, poznaniak, przedwojenny redaktor w *Kurierze Poznańskim*. Wojna zastała go we Lwowie i tam wpadł w ręce NKWD. Odsiedział dwa lata w łagrze. Po zwolnieniu, Sikorski ściągnął go do Anglii, gdzie Fengler został wiceprzewodniczącym Rady Narodowej. Należał do endecji.

Moja znajomość z Romanem Fenglerem przez koleżeństwo pracy i dzięki wzajemnej sympatii, zamieniła się w ciągu roku w szczerą przyjaźń. I właśnie wtedy, ten zawsze pełen optymizmu i zdawałoby się okaz zdrowia, nagle zachorował. Lekarze w amerykańskim szpitalu wojskowym nie zdołali postawić prawidłowej diagnozy. Pacjent gasł w oczach. Odwiedzałem go codziennie. Uśmiechał się jeszcze pod maską tlenową. Zmarł w piątek, 20 sierpnia 1954 roku przeżywszy zaledwie lat 47. Był to pierwszy pogrzeb członka polskiej sekcji RWE.

Sławomir Dunin-Borkowski należał do kategorii reporterów prasy sensacyjnej. Bardzo zdolny, z fantazją, dowcipny. Swoją reporterski styl potrafił zgrabnie przystosować do wymogów dziennika radiowego. W czasie wojny należał do AK. Napisał książkę o warszawskiej konspiracji. W Powstaniu redagował pismo *Warszawa walczy*.

Świeżym nabytkiem był Jan Krok-Paszkowski. Początkowo pracował w nasłuchu radiowym, do „Dziennika” przeszedł pod koniec 1952. Jana, także akowca i uczestnika Powstania oraz kolegę z NiD-u, poznałem w Londynie na jakiejś zabawie studenckiej w „Ognisku”. Nasza znajomość z biegiem czasu urosła do rozmiarów najlepszej przyjaźni.

W pierwszych latach istnienia rozgłośni, na zastępstwa w razie urlopów czy chorób dochodził Edward Sokopp, redaktor działu sportowego i specjalista od motoryzacji. Przedwojenny dobry dziennikarz i utalentowany reporter znał się na sporcie i na samochodach i w obu dziedzinach był dla nas niezaprzeczalnym autorytetem. Należał chyba do najbardziej popularnych osób z całego radia, gdyż ku wielkiej radości wszystkich, organizował co roku na swoje imieniny gry samochodowe, dla których przyjęła się wkrótce nazwa „sokopiady”.

O „Dziennik” zawadzili: Jan Brodzki z Londynu, który szybko tam wrócił, oraz wspomniani już Paweł Zdziechowski z Francji, Wacław Bniński i Stanisław Szabłowski. Bniński początkowo pracował w dziale badań i analiz. Po dwóch latach w dzienniku, wskutek nieporozumień z dyrekcją, wyjechał do Stanów Zjednoczonych.

Po śmierci Romana Fenglera do naszego zespołu dołączył dr Stanisław Kodź, prawnik z Wilna, mój krajan, znawca spraw sowieckich i dobry znajomy prof. Wiktora Sukiennickiego. Profesor prowadził u nas stałą audycję „Za murami Kremla”. Kodź – adwokat z zawodu a flegmatyk z natury, pisał, a raczej dyktował powoli, lecz wystawiał się precyzyjnie czystym, dobrym językiem. Mówił mało, trzymał się raczej z daleka. Jeszcze dziś go widzę jak zaciąga się papierosem podnosząc głowę znad gazety i wodzi wzrokiem po suficie jakby w myśli chwalił czy krytykował autora artykułu. Rozmawialiśmy często o Wilnie. Znał tam wszystkich, którzy się liczyli w świecie polityki i kultury.

Feliks Chrzanowski, długoletni przedwojenny korespondent PAT-a w Rzymie, współpracownik *Przeglądu Porannego*, *Ikaca* i *Kuriera Warszawskiego* – znał jak nikt inny, chyba z wyjątkiem Włodzimierza Sznarbachowskiego pracującego w innym dziale, włoską scenę polityczną. W dzienniku pracował dobrych kilka lat, potem został przeniesiony do redakcji programu. Chrzanowski celował w reportażu i felietonie. Pisał dość dużo do prasy emigracyjnej, miał wielkie poczucie humoru. Efekt jego ciętych uwag i anegdot był tym większy, że wygłaszał je z kamiennym wyrazem twarzy, rzadko się uśmiechając.

Wyrażne piętno swojej obecności w zespole redaktorów

wiadomości, zostawił nieustający arbiter w sprawach spornych, zawitych, wymagających kompromisu – Michał Tyszkiewicz. Swoim hrabiowskim tytułem nie tylko że się nie chwalił, lecz starannie unikał jakichkolwiek aluzji na ten temat i nie lubił jak go tytułowano „panem hrabią”. Michał Tyszkiewicz był powszechnie szanowany i ceniony za swoją pryncypialność i obronę pokrzywdzonych. Był samotnikiem. Nigdy nie pogodził się ze stratą swojej żony, Hanki Ordonówny, zmarłej na Bliskim Wschodzie. Po odejściu na emeryturę Kazimierza Wierzbiańskiego, Tyszkiewicz jako jego zastępca, objął kierownictwo dziennika.

Kruszyły się szeregi. Ubywali starsi wiekiem i doświadczeniem. Po Ładzie-Bieńkowskim, Romanie Fenglerze, Janie Tabaczyńskim, Sławomirze Dunin-Borkowskim i po przejściu do innego działu Jana Kroka-Paszkowskiego, wakanse wypełnili: Andrzej Krzczunowicz, Wojciech Gniatczyński, Tadeusz Kryśka-Karski i Wiesław Pisarczyk. Nieco później w skład redakcji weszli: Mikołaj Szumski, Piotr Guzy, Andrzej Czyżowski i Tadeusz Lasko. Ten ostatni był najpierw spikerem na zasadzie wygranego konkursu. Miał doskonały radiowy głos i dobrą dykcję. W latach sześćdziesiątych przez pewien czas pracowali także w „Dzienniku”: Adam Sutkowski, z wykształcenia muzykolog o dużym uroku osobistym. Mało interesował się polityką, więcej życiem kulturalnym. Przyjechał z Francji i tam wkrótce wrócił. Jego miejsce zajął młody Alfred Znamierowski, znawca zagadnień czechosłowackich mówiący dobrze po czesku.

Kolejnym kierownikiem „Dziennika” w latach sześćdziesiątych, po przejściu na emeryturę Michała Tyszkiewicza, był Andrzej Krzczunowicz. Zdolny, niebywale pracowity, dokładny, taktowny i koleżeński, doszedł później do stanowiska zastępcy dyrektora rozgłośni, a po upadku PRL-u został ambasadorem w Brukseli.

Ambasadorstwo nie minęło także ostatniego z moich kolegów w dzienniku, Marka Łatyńskiego, który przybył z Polski z doświadczeniem radiowym pod koniec lat sześćdziesiątych. Pisanie przychodziło mu niezmiernie łatwo zarówno w sensie dosłownym, gdyż sam wystukiwał z dużą szybkością depesze na maszynie, jak również dzięki błyskawicznej orien-

tacji i umiejętności kondensowania materiału w kilku celnych zdaniach. Po rezygnacji Jana Nowaka i odejściu dwóch jego następców – Zygmunta Michałowskiego i Zdzisława Najdera – Łatyński został dyrektorem polskiej sekcji². Awansował jeszcze wyżej, kiedy Polska przestała być „Ludową” i stała się niepodległą. Otrzymał ambasadorstwo w Bernie.

Kariere zrobił też Jan Krok-Paszkowski. Opuścił RWE w 65 r., wrócił do Londynu, otrzymał pracę w BBC. Po kilku latach doszedł do stanowiska dyrektora sekcji polskiej, a jeszcze później, w 1987 roku, zaproszono go do Monachium, gdzie przez pewien czas pełnił funkcję „specjalnego doradcy” dyrektora RWE, którym był wówczas wychowany w Ameryce Gregory Wierzyński, bratanek poety, Kazimierza Wierzyńskiego. Kierownikiem dziennika polskiej sekcji był wtedy mój bliski przyjaciel Władysław Poncet, poprzednio redaktor sportowy.

Muszę jeszcze wspomnieć Wojtkę Gniatczyńskiego i Wiesława Pisarczyka, bardzo dobrych kolegów z którymi pracowałem w latach sześćdziesiątych. Wojtek należał do nielicznych szczęśliwców, którzy przeżyli Oświęcim. Wyszedł na wolność z poważnie nadszarpniętym zdrowiem. Ten wyjątkowo uzdolniony, jeszcze młody człowiek, zajmował się i krytyką literacką, poezją i malarstwem. Przyjechał z Londynu ze swoją żoną Lalą. Kiedy zmarł w 1986 roku, już po moim odejściu z radia, napisałem do Lali dlaczego miałem do niego wielki szacunek i szczerze go podziwiałem: Wojtek nie wyniósł z obozu żadnej psychicznej skazy, żadnego kompleksu, żadnych uprzedzeń. Był rzeczowy, chłodny, uczciwy w swoich ocenach, acz na marginesie jego logiki spostrzegałem subtelny winietkę romantyzmu. Pisał wiersze dobre i ciekawe. Tomik poezji dedykował swojej córce Magdalence.

Wiesław Pisarczyk, starszy wiekiem, był kiedyś Wojtką profesorem, zdaje się w Irlandii. Profesor – polonista dbał o czystość języka, zżymał się nawet na najmniejszy ślad niechlujstwa, błąd gramatyczny traktował jak największe przestępstwo. Wojnę spędził w oślagu w Murnau gdzie zaprzy-

2. Napisał książkę: „Ogród Angielski 1 – Wspomnienia z Radia Wolna Europa”. Wydawnictwo Uniwersytetu M. Curie-Skłodowskiej, Lublin 1997.

jaźnił się z naszym radiowym kapelanem ks. Tadeuszem Kirschke i Janem Jasiewiczem, późniejszym reżyserem w rozgłośni. Wiesław Pisarczyk miał czarującą żonę, starszą już panią, Irlandkę, o wielkiej kulturze i otwartym sercu. Wieczory u Pisarczyków należały do atrakcji życia towarzyskiego.

Piotr Guzy zjawił się w dzienniku dosyć późno w latach sześćdziesiątych. Przyjechał z Londynu, pracował w BBC. W czasie wojny służył w dywizji pancerniej gen. Maczka. Podczas kampanii na kontynencie stracił nogę, po wojnie wrócił do Polski, po czym z powrotem do Anglii. Guzy napisał dobrą książkę „Krótki żywot bohatera pozytywnego” wydaną przez Instytut Literacki, która otrzymała nagrodę *Kultury*.

Mikołaj Szumski uzupełnił nasz zespół mniej więcej w tym samym czasie co Guzy. W Londynie był redaktorem *Dziennika Polskiego*. Ożenił się ze znaną aktorką polską Danutą Karell, która występowała także na scenach angielskich. Był koleżeński, uprzejmy, a co ważniejsze – pochodził z dobrej dziennikarskiej szkoły.

W ciągu dwudziestu lat, od początku istnienia rozgłośni do roku 1972, przez dziennik radiowy przesunęło się dwudziestu pięciu redaktorów. Jedni odchodzili po osiągnięciu wieku emerytalnego, inni w wyniku przesunięć do innych działów, a jeszcze inni rezygnowali z różnych powodów. Praca była odpowiedzialna, niewdzięczna, wyczerpująca fizycznie. W dzienniku nie było miejsca na indywidualne popisy talentów czy zdolności. Praca miała charakter zespołowy, wykonywali ją „ludzie bez nazwisk”.

Równie często zmieniały się sekretarki. Poza pierwszą ekipą o której wspomniałem na początku, w ciągu dwudziestu lat w dzienniku pracowały panie: Anna Trościankowa, Róża Blomfield, Anita Kolacińska, Maria Gniatczyńska, Jolanta Cisewska, Krystyna Dunin-Borkowska, Wanda Kinasiewicz, Barbara Przyszlakowska i Ewa Wężyk.

Spikerzy do zespołu dziennika nie należeli, ale ich lektorskie zdolności i styl decydowały o jakości ostatecznego produktu na antenie. Wspomnę tylko kilka nazwisk spikerskiej czołówki. W pierwszym okresie byli to: Zbigniew Błazyński i Feliks Broniecki, a później: Tadeusz Lasko, Jerzy

Bożekowski, Wacław Krajewski, Halina Markowska, Renata Rozpędowska oraz Irena Zembrzуска.

Refleksje

Patrząc z odległości długiego czasu na dwadzieścia lat pracy w RWE, myślę, że śmierć Stalina 5 marca 1953 roku była tym historycznym momentem przełomowym, który spowodował lawinę wydarzeń prowadzących stopniowo do samolikwidacji systemu komunistycznego. Pamiętam ten dzień. Miałem rozpocząć dyżur o czwartej rano. O drugiej w nocy obudził mnie telefon. Dzwonił szef, Marian Piotrowski. „Wysyłam samochód – powiedział – niech pan natychmiast przyjeżdża, umarł Stalin”.

Byłem gotów w ciągu dziesięciu minut. Noc, mróz, śnieg na ulicy i w Angielskim Ogrodzie. Trzęsę się nie tyle z zimna co z wrażenia. Piotrowski przy biurku, przed nim piętrzą się zwoje depesz. Daje mi je do ręki, czytam, zjawiają się sekretarki, piszemy.

Rozgłośnia polska RWE rzetelnie informowała społeczeństwo w kraju o wydarzeniach i zmianach wiodących albo ku lepszemu albo oznaczających regresję i dociskanie śruby rozluźnionej chwilowym zelżeniem kursu. Informowaliśmy szybko, uczciwie, bezbłędnie o rozruchach robotniczych w Berlinie Wschodnim w czerwcu, roku śmierci Stalina; w lipcu o tym, że Beria przypłacił głową swoje intrygi; w rok później zaczęliśmy nadawać rewelacje Józefa Światły, których znaczenia nie da się przecenić. Rok 1956 był następnym etapem na pochylni prowadzącej system do zguby, o czym wtedy jeszcześmy nie wiedzieli. Ten rok przyniósł XX Zjazd Partii w Moskwie i tajny referat Chruszczowa, który ujawniliśmy na falach radiowych; przyniósł poznański czerwiec, polski październik i rewolucję węgierską.

W 1968 roku byliśmy świadkami demonstracji studenckich w Polsce, agresji sowieckiej w Czechosłowacji i usłyszeliśmy doktrynę Breżniewa. Lecz mimo cofania się od reform w pewnych momentach i brutalnych represji, polaryzacja systemu trwała. W grudniu 1970 roku nastąpiły strajki na

Wybrzeżu, odszedł Gomułka, przyszedł Gierek, pogłębiała się erozja komunizmu. I w tych wszystkich sytuacjach, w tych przełomowych momentach znaczących milowym krokiem szlak historii, dziennik radiowy dawał zawsze pierwszy sygnał.

Rok 1972 był moim ostatnim rokiem w RWE. W kwietniu wyjechałem do Stanów Zjednoczonych. Ale z daleka śledziłem dalej działalność „naszej rozgłośni”, którą tak nazywałem. Odwiedzałem Monachium kilka razy w następnych latach, spotykając coraz mniej przyjaciół i kolegów, dawnych towarzyszy pracy. Rozgłosnia nabrała innego charakteru, a charakter jej zmienili nowi ludzie. Nie znałem ich, a często nie rozumiałem. Byli to ludzie o wiele młodszy, wychowani w PRL-u. Mimo to ciągłość celów przetrwała. Radio Wolna Europa przyczyniło się do odwrótu komunizmu w sposób oczywisty lecz w stopniu niewymiernym, którego nie da się ocenić przy pomocy „szkiełka i oka”. Jest pewne, że odegrało znakomitą rolę.

Podczas mojej pierwszej podróży do Polski w lipcu 1989 roku, jeden z moich przyjaciół w Warszawie, wierny słuchacz naszych audycji i pilny czytelnik paryskiej *Kultury*, powiedział z największą powagą i bez żadnej przesady: „Powinniśmy postawić w stolicy dwa dziękczynne pomniki. Jeden dla Jana Nowaka-Jeziorańskiego, a drugi dla Jerzego Giedroycia”. Nie protestowałem, bo wydawało mi się, że miał rację.

J. Zdzisław SZYŁEYKO

NOC, JAK CZARNA ROZPACZ

20 sierpnia 1968 roku pełniłem nocny dyżur w redakcji Dziennika Krajowego Polskiego Radia przy ulicy Malczewskiego w Warszawie. Sytuacja była napięta w związku z kolejnym kontredansem Leonida Breżniewa nad Czarną. Jego pociąg specjalny wycofał się właśnie na Wschód po rozmowach z Dubczkiem, które jakoby doprowadziły do „zbliżenia wzajemnych poglądów”. Mimo to byłem pełen niepokoju. Kilka dni wcześniej w *Trybunie Ludu* ukazał się pokaźny artykuł Mariana Podkowińskiego, informujący jakby mimochodem, że parlament czechosłowacki podjął uchwałę o wystąpieniu CSRS z Układu Warszawskiego. Wiadomość była tej wagi, że natychmiast zatelefonowałem do autora owej publikacji, którego dobrze znałem, zapytując skąd zaczerpnął tę informację, bowiem nigdzie nie mogę znaleźć jej potwierdzenia. Zamiast rzeczowej odpowiedzi usłyszałem jakieś wykrętne frazesy a gdy zażądałem, żeby podał mi konkretne źródło tej rewelacji, bo chcę ją ogłosić również na antenie, Podkowiński powiedział bardzo niepewnym głosem: „A wie pan, ja to naprawdę gdzieś przeczytałem, z całą pewnością gdzieś to widziałem, muszę to sprawdzić i zadzwonię do pana”.

Odpowiedź zastróżonego skądinąd seniora polskiego dziennikarstwa była tak niezwykle – nawet w morzu marcowego kłamstwa, które zalewało nadal wszystkie niemal „środki masowego przekazu” – że budzić musiała zdumienie. Od czasu tej rozmowy byłem przekonany, że sprawa interwencji zbrojnej w Czechosłowacji jest tylko kwestią czasu. Jednakże broniłem się przed tą myślą.

Po raz pierwszy chyba w historii, od Aldony i Mieszka I, nie Czesi na Polaków lecz Polacy na Czechów patrzyli z nadzieją. Tam kwitła „praska wiosna” a tu wciąż grzęźliśmy w pomarcowym błocie. To właśnie głównie sprawiło, że posta-

nowiono ten promyk nadziei zadusić, używając do tego celu również polskiego żołnierza.

Około godziny 21.30 AFP a potem Reuter doniosły z Pragi o wylądowaniu na tamtejszym lotnisku jakiegoś tajemniczego, niezapowiedzianego samolotu pasażerskiego, bez znaków rozpoznawczych, który natychmiast odkołował na boczny pas startowy, wygasił światła i tkwi tam w ciemności, dotychczas niezidentyfikowany. (Okazał się on później sowieckim stanowiskiem dowodzenia wojsk powietrznych uczestniczących w inwazji). O godzinie 22.00 milcząca dotąd agencja TASS wyrzucać zaczęła z dalekopisu długie zwoje papieru. Tekst rozpoczynało wspólne oświadczenie szefów państw Układu Warszawskiego w wersji uznanej później za nieistniejącą. Wkroczenie wojsk Układu następowało „na zaproszenie zdrowych sił Czechosłowacji”, czeskich i słowackich „patriotów”. W ciągu pół godziny dalekopis wystukał około 500 nazwisk owych zapraszających i wciąż zapowiadał ciąg dalszy. Ponieważ cały tekst objęty był embargo do godziny 24.00 a w Moskwie minęła właśnie północ, więc uznałem, że mamy prawo już go publikować i posłałem pierwsze przetłumaczone odcinki wraz z kilkudziesięcioma nazwiskami „patriotów” na antenę. Były one uszeregowane w porządku alfabetycznym, niektóre z podaniem funkcji partyjnej lub państwowej, inne bez bliższego określenia, jakby całą listę sporządzano w dużym pośpiechu. Nie zdołałem jej nie tylko zapamiętać ale nawet porządnie przeczytać. Obiecywałem sobie, że przestudiuję ją w porannej prasie. Do emisji trafiły, jak pamiętam, wyłącznie nazwiska rozpoczynające się na litery A, B i C.

Wkrótce potem TASS przerwał nadawanie i wycofał cały ten serwis, obiecując jego nową wersję. Jednocześnie odezwał się dalekopis PAP-u, zapowiadając nadanie własnego komunikatu w „godzinach późniejszych” i zakazując korzystania z jakichkolwiek innych źródeł. Jednak tego co poszło w eter nie można już było zatrzymać. Ogólnemu zamieszaniu przypisuję, że nikt nie robił mi z tego powodu wymówek, chociaż sprawa „zaproszenia” i osób zapraszających urosła potem do zasadniczej kwestii. Komunikat PAP o „udzieleniu pomocy”, bez zaproszenia, ogłoszony został tak późno, że poranna prasa

polska ukazała się 21 sierpnia bez jakiegokolwiek wzmianki o akcji wojsk Układu Warszawskiego, podczas gdy czołgi 2-ej Armii generała Siwickiego dawno już pełnym gazem parły na południe.

W bardzo interesujących wspomnieniach pt. „Armia ze skazą”, wydanych w roku 1994 w „Czytelniku”, generał Tadeusz Pióro wyraża pogląd, że każdy z polskich generałów wykonałby wówczas rozkaz wkroczenia do Czechosłowacji. Myślę, że się myli. Znałem przynajmniej kilku generałów, którzy tego rozkazu z pewnością by nie wykonali, ale w ramach marcowych czystek znaleźli się wtedy poza służbą jako rewizjoniści albo „syjoniści”. A ci niscy stopniem, czy w ogóle bez stopnia, szeregowi żołnierze? Ilu z nich odmówiło, zdezerterowało, przeżyło ciężki osobisty dramat? Co z nimi robiono? Niewiele o nich wiemy. Jeden z nich, młody czołgista opluty przez Czechów gdzieś w knajpie pod Hradec Kralove, gdzie wstąpił na piwo, wygarnął serię z pistoletu maszynowego zabijając na miejscu dwie, czy trzy osoby. Poinformowało nas o tym Radio w głębokiej tajemnicy dodając, że stanął natychmiast przed sądem wojennym. Czy go rozstrzelano? Według oficjalnych danych podczas tej małej, brudnej bratobójczej wojny życie straciło około stu osób. Czy nikogo w tym rachunku nie pominięto?

Zginął wówczas m.in. mój znajomy korespondent moskiewskiej *Komsomolskiej Prawdy*. Nie został zestrzelony wraz z helikopterem przez kontrrewolucjonistów, jak to twierdziła sowiecka prasa, lecz roztrzaskał się pijany w sztok, wraz z nie mniej pijanym pilotem, przy próbie lądowania na małym studziennym podwórzu starej praskiej kamienicy.

20 sierpnia 1998

Andrzej ALBRECHT

CI, CO ODESZLI

Bohdan STACHIEWICZ

WSPOMNIENIE O GENERALE STACHIEWICZU

W listopadzie 1998 upływa 25 lat od śmierci gen. Wacława Stachiewicza – ostatniego, między wojnami, Szefa Sztabu Głównego armii polskiej i Szefa Sztabu Naczelnego Wodza w 1939 r.

Należał on do tego pamiętnego pokolenia, które od najwcześniejszej młodości poświęciło całe swoje życie, najpierw zbrojnej walce o wolność, ukoronowanej odzyskaniem niepodległości w 1918 r. a później nieustrudzonej pracy nad odbudowywaniem naszego wojska i państwa.

Gen. Stachiewicz spędził swoje młodzieńcze lata na froncie jako dowódca plutonu a potem kompanii w 5-m pułku piechoty „Zuchowatych” 1-ej Brygady Legionów pod dowództwem Józefa Piłsudskiego. Już wtedy wykazywał niepospolite zdolności dowódcze. Dowódca jego pułku, późniejszy generał Leon Berbecki, tak o nim pisał w opinii z 25 VI 1919 r.: „Kierownictwo kompanii, a w zastępstwie batalionu wybitne, wytrawne, pełne taktu i pewności siebie. Duży wpływ na ludzi, zdolność porwania na bohaterski czyn. W boju odważny i utalentowany, pełen inicjatywy, ze świetną orientacją, niezaprzeczalny ślad geniuszu wojskowego szczególnie (w sprawach związanych) z wielką sztuką wojenną...

Instruktor bardzo dobry. Wykształcenie gruntowne i wysokie. Twardy, taktowny, rozważny żołnierz”.

W roku 1917 na rozkaz Marszałka Piłsudskiego Stachiewicz odmawia, wraz z innymi, złożenia przysięgi na wierność cesarzowi niemieckiemu, zostaje wcielony do armii austriackiej w stopniu podoficera i wysłany na front włoski. Na rozkaz komendanta Polskiej Organizacji Wojskowej płk. Rydza-Śmigłego dezerceruje i przedostaje się nielegalnie do Warszawy, gdzie obejmuje stanowisko szefa sztabu Komendy Naczelnej P.O.W. Nr 1, które piastuje aż do dnia odzyskania niepodległości.

Po wojnie Stachiewicz pozostaje na stałe w wojsku. Spędza dwa lata w Paryżu jako słuchacz École Supérieure de Guerre a po powrocie do kraju zostaje wykładowcą taktyki w naszej Wyższej Szkole Wojennej. W opinii o Stachiewicz, wystawionej przez dyrektora nauk WSW, francuskiego generała Faury, czytamy: „W płk. Stachiewiczu widzę inteligencję i siłę woli, które mogą być bezcenne dla Wojska Polskiego... Należy on do tej grupy oficerów, których trzeba będzie przygotować do objęcia całokształtu (obronności), aby w razie niebezpieczeństwa umieli odegrać najwyższą rolę, do której są przeznaczeni”.

W późniejszych latach płk Stachiewicz pracuje na różnych odpowiedzialnych stanowiskach w wojsku, najpierw w sztabach a potem w linii, gdzie przechodzi wszystkie stopnie dowodzenia. Jest kolejno dowódcą pułku, piechoty dywizyjnej i dywizji. W roku 1935 zostaje mianowany generałem a po śmierci Marszałka Piłsudskiego nowy Generalny Inspektor gen. Rydz-Śmigły powołuje go na stanowisko Szefa Sztabu Głównego.

Nominacja najmłodszego starszeństwem generała na stanowisko etatowo przewidziane dla generała broni stawia go w trudnej sytuacji w stosunku do niektórych starszych generałów, którzy bardzo prestiżowo traktują swoje pozycje w hierarchii wojskowej. W czasie kampanii wrześniowej 1939 r. to nastawienie będzie bardzo utrudniało pracę Szefa Sztabu Naczelnego Wodza, zwłaszcza w okresie kiedy przebywając w Warszawie pod nieobecność Naczelnego Wodza dowodzi, *de facto*, armiami frontu środkowego, ale nie może wydawać

rozkazów dowódcom armii starszym stopniem od niego.

Innym dużym utrudnieniem w pracach Sztabu była metoda pracy marszałka Śmigłego. Sztab nie miał kontaktu z Inspektorami Armii i nie był informowany o postępie prac nad planem operacyjnym. Śmigły nie lubił dyskutować problemów. Swego szefa sztabu traktował jako wykonawcę zadań należących do odpowiedzialności Sztabu Głównego a nie jako generała, który mógł mu być pomocny w rozważaniu ważniejszych problemów nad którymi pracował.

Utrudnieniem było również bardzo niechętne ustosunkowanie się do sztabu ministra spraw wojskowych gen. Kasprzyckiego. Uważał on Sztab Główny za konkurenta i nie ułatwiał z nim współpracy. Są dane, dotychczas niesprawdzone, że w kilku wypadkach, M.S.Wojsk. prawdopodobnie działało poza plecami Sztabu w sprawach należących do kompetencji Sztabu i Sztabu o tym nie informowało.

Największą trudność w planowaniu uzbrojenia i rozbudowy armii przedstawiał brak zrozumienia naglących potrzeb wojskowych przez ministra skarbu E. Kwiatkowskiego. Całością budżetu wojskowego administrowało Ministerstwo Spraw Wojskowych. Sztab Główny dysponował jedynie budżetem rezerwy zaopatrzenia przekazywanym mu rocznie przez M.S.Wojsk. Co roku musiał Sztab znacznie ścinać zapotrzebowania aby dostosować się do żądań ministra skarbu, który grożąc załamaniem gospodarczym państwa albo dymisją, odmawiał wojsku przyznania dodatkowych funduszy koniecznych na skutek ciągle wzrastającego zagrożenia. Ta konieczność budżetowania tylko na rok a nie na kilka lat naprzód była ogromnym utrudnieniem w planowym uzbrajaniu wojska.

Pomimo tych wszystkich trudności i braku pieniędzy na uzbrojenie, zwłaszcza w dziedzinie broni pancernej i lotnictwa, Sztab Główny pod kierownictwem gen. Stachewicza, pracując bez wytchnienia przez cztery lata, przygotował nasze wojsko do wojny jak można było najlepiej w tak krótkim czasie i w tak niezmiernie trudnych okolicznościach. Wprowadzono w życie, między innymi: plan dozbrojenia i rozbudowy Sił Zbrojnych, alarmowy plan mobilizacyjny dla wojska, policji, K.O.P., straży granicznej etc. Rozpracowano

sztabowo przekazany przez Generalnego Inspektora plan operacyjny wschodni i zachodni i związane z tym plany transportowe i plany wstępnego rozwinięcia. Skoordynowano prace cywilnych ministerstw dla wojska, postawiono na nogi Centralny Okręg Przemysłowy i przemysł wojenny. Zorganizowano Sztab Lotniczy i rozbudowano przemysł lotniczy.

Sztab Główny przeprowadził rozmowy i zawarł tajne umowy wojskowe z Francją i Anglią, które zobowiązywały aliantów do udzielenia Polsce pomocy w wypadku wojny z Niemcami. Po kampanii wrześniowej oryginalny tekst tajnej umowy z Francuzami został doręczony osobiście generałowi Sikorskiemu przez płk. Jaklicza, zastępcę gen. Stachewicza. W roku 1944 zeznając przed komisją badającą przyczyny klęski wrześniowej, gen. Stachewicz był zapytany przez sędziego Liniewicza czy istniały jakieś umowy z Francuzami. Okazało się, że Ministerstwo Obrony Narodowej (gen. Kuksiel) nic nie wiedziało o istnieniu takiej umowy. Widocznie gen. Sikorski, nie chcąc drażnić Francuzów, zataił istnienie tego tak ważnego dokumentu nawet przed własnymi ministrami.

Tytaniczny wysiłek oficerów Sztabu Głównego pod kierownictwem gen. Stachewicza w okresie 1935-1939 umożliwił Polsce w 1939 roku tajną mobilizację jej wojsk jeszcze przed wybuchem wojny i pozwolił stawić z honorem czoło całej potęgze Niemiec hitlerowskich.

Ale te osiągnięcia polskiego Sztabu Głównego nie zostały po wojnie odpowiednio przedstawione. Uczciwa ocena pracy i osiągnięć Sztabu była przez długie lata utrudniana całkowitym brakiem zrozumienia przez krytyków cywilnych i wojskowych jak wielkie były ograniczenia zakresu kompetencji Sztabu Głównego. Myślano, że nasz Sztab Główny posiadał takie same kompetencje jak sztaby w innych państwach, w których Sztab Główny był odpowiedzialny za wszystkie aspekty przygotowań do wojny, włącznie z operacyjnym planem wojny. U nas było inaczej. Koncepcja operacyjnego planu wojny była odpowiedzialnością Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych i Inspektorów Armii. Szef Sztabu nie był nawet informowany o postępie tych prac. Po ich ukończeniu Sztab otrzymywał je jedynie celem rozpracowania wykonawczego.

Głównym jednak powodem rozpowszechniania fałszywych ocen o pracy Sztabu Głównego było rozszalałe partyjniactwo polityczne nowego rządu gen. Sikorskiego, ukonstytuowanego w Paryżu po klęsce wrześniowej, przez przedwojenną opozycję. Nie mogli oni pozwolić na żadną uczciwą i bezstronną ocenę, która mogła podważyć ich politycznie wymaganą tezę, że ponieważ przegraliśmy kampanię, wszystko co osiągnięto w okresie niepodległości było złe i bezwartościowe. Wtórowali im w tych oskarżeniach Francuzi a po wojnie również reżymowi historycy w kraju. Po klęsce wrześniowej generał Stachiewicz uciekł z miejsca internowania w Rumunii, chcąc dołączyć do wojska polskiego we Francji. Jednak nowo uformowany rząd gen. Sikorskiego nie chciał do tego dopuścić. Na podstawie politycznie inspirowanych fałszywych oskarżeń zesłano go do Algierii i internowano tam pod nadzorem nie wojska, ale policji francuskiej.

Nowy Wódz Naczelny, gen. Sikorski, zatrzymał Stachewicza w czynnej służbie wiedząc, że jako oficer będzie on lojalnie wykonywał rozkazy swych nowych przełożonych, ale nigdy nie zamierzał dopuścić go do Francji lub dać mu możliwość dalszej walki z Niemcami. Przez trzy lata pobytu w Algierii nie wypłacano mu należnej gaży oficerskiej. Odizolowany w małej arabskiej miejscinie, bez środków do życia i bez opieki lekarskiej, musiał korzystać z zasiłków Czerwonego Krzyża. Takie traktowanie polskiego generała będzie na zawsze stanowić czarną plamę na honorze żołnierskim generałów Sikorskiego, Kukiela i Modelskiego, którzy w swej chorobliwej obawie o utrzymanie się przy władzy, chcieli w ten sposób uniemożliwić urojony „zamach stanu” ze strony gen. Stachewicza.

Po wylądowaniu wojsk amerykańskich w Algierii, gen. Stachiewicz został zwolniony z internowania przez gubernatora Algierii, bez wiedzy i zgody władz polskich. Po śmierci gen. Sikorskiego, gen. Sosnkowski zezwolił mu na przyjazd do Londynu, gdzie przyjechał pod koniec grudnia 1943 r.

Trudno jest uwierzyć jak olbrzymiej siły woli, jak wielkiej dyscypliny wewnętrznej i siły charakteru wymagało przetrwanie tego okresu internowania w warunkach w jakich większość ludzi by się załamała. Izolowany w zupełnie mu

obcym środowisku, pozbawiony jakiejkolwiek możliwości odpowiedzi na bezpodstawne ataki, oskarżenia i szykany, które często przekraczały granicę przyzwoitości, gen. Stachiewicz jeszcze raz wykazał wtedy żelazną wolę i te zalety charakteru, które pozwoliły mu zachować w najgorszych okolicznościach godność osobistą, najwyższe poczucie honoru wojskowego i wysoką kulturę osobistą. Nawet po przybyciu do Anglii, temu tak wybitnemu i zdolnemu oficerowi uniemożliwiono, z powodów politycznych, dalszą walkę z Niemcami. Ale gen. Stachiewicz podjął wtedy inną walkę. W Londynie, a potem w Kanadzie, pracuje aż do śmierci, aby przedstawić w uczciwy i bezstronny sposób prawdę o naszych przygotowaniach do wojny, tak zfałszowaną przez swoich i obcych.

Dokonał tego, współpracując z Komisją Historyczną Sztabu Głównego w Londynie w przygotowaniu dzieła „Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej” i pisząc własne relacje i artykuły.

Gen. Stachiewicz zmarł w Montrealu 12 XI 1973 roku.

Ten tak skromny i uczciwy człowiek nie zniżył się nigdy do poziomu swoich oskarżycieli. Nigdy nie winił innych. Zachował zawsze szacunek i uznanie tych, którzy z nim pracowali, i tych, którzy go znali. Dorobek pisarski gen. Stachiewicza został opublikowany w 1998 r. w Polsce, w tomie zatytułowanym „Wierności dochować żołnierskiej”. Stanowi on rzetelny i uczciwy ostatni raport dla narodu, generała, który całe swe życie poświęcił wiernej i ofiarnej służbie Ojczyźnie.

Bohdan STACHIEWICZ

MYKOŁA ŁEBED' – OD TERRORYSTY DO POLITYCZNEGO PRAGMATYKA

W Stanach Zjednoczonych zmarł w wieku osiemnastu lat ukraiński działacz polityczny, Mykoła Łebed', postać niecodzienna, ongiś dla ukraińskich nacjonalistów bohater narodowy, dla demokratów – synonim zła. Współczesnym Polakom nazwisko zmarłego mało mówi. Tylko starsi może sobie przypominać warszawski proces o zabójstwo ministra spraw wewnętrznych w rządzie „sanacji” – Bronisława Pierackiego, zamordowanego przez bojówkarza Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów, Maciejkę, 15 czerwca 1934 r. na ulicy Foksal. Organizatorem zamachu był członek krajowego kierownictwa organizacji, Mykoła Łebed'. Syn ubożego krawca wiejskiego z miejscowości Nowi Strylska z okolicy Żydaczowa w województwie lwowskim, urodził się 23 listopada 1910 roku. Choć biedni, rodzice posłali go do gimnazjum we Lwowie. Maturę zdał w 1930 roku, ale po wybuchu kryzysu gospodarczego, który szczególnie uderzył wieś galicyjską, na uniwersytet nie było pieniędzy. Zresztą Łebed' już w gimnazjum w 1928 roku zorganizował rewolucyjną grupę i tą drogą poszedł dalej. Szybko awansował w ruchu podziemnym. Miał markę dobrego organizatora i odważnego konspiratora. Należał do grona tych młodych chłopców, którym kryzys gospodarczy Polski zniweczył wszelkie szanse awansu społecznego. Reszty dokonała pacyfikacja czyli ekspedycja karna wojska i policji polskiej na wsiach ukraińskich w 1930 roku. Cała młoda generacja przeważnie pochodzenia chłopskiego lub wiejskiego kleru grecko-katolickiego, w większości wielodzietnego i tak samo zubożałego jak chłopstwo, stała się posłusznym narzędziem w rękach starszej generacji kombatanów z przegranych wojen z bolszewikami i Polakami, żadnej odwetu. Centrale, najpierw Ukraińskiej Organizacji Wojskowej, następnie przeistoczonej w Organizację

Ukraińskich Nacjonalistów, znajdowały się w stolicach państw przeważnie skłóconych z Polską, a więc w Berlinie, Pradze i Kownie.

Pęd młodzieży do faszyzującej – pod wpływem idei Mussoliniego – OUN był podobnym przejawem kryzysu demokracji w dorastającym pokoleniu jak Żelazna Gwardia w Rumunii, Ustasza w Chorwacji czy ONR w Polsce. OUN różniła się od innych podobnych ruchów tym, że za przykładem faszystów włoskich nie głosiła haseł antysemitycznych, co później irytowało hitlerowców. W latach 1932-34 Łebed' był kurierem pomiędzy Lwowem a Pragą, Berlinem i Rzymem, skąd przywoził dyrektywy Naczelnej Komendy czyli Provodu. Na pacyfikację Komenda postanowiła odpowiedzieć wzmożonym terrorem przeciwko wybitnym politykom polskim i ukraińskim – ugodowcom, przezywanym *chruniami* czyli świniami. Terror miał też według zamysłu wodzów nacjonalistycznej emigracji unicestwić rozpoczęte z inicjatywy piłsudczyków – Tadeusza Hołównki i Janusza Jędrzejewicza – w 1931 roku rokowania z ukraińskimi demokratycznymi kołami o powstrzymanie eskalacji konfliktu i znalezienie dróg do porozumienia. Jego dalszą funkcją było utrzymywanie w stałym pogotowiu ducha rewolucji a wraz z tym organizacyjną zwartość podziemia. Odpowiadało to jak najbardziej nastrojom sfrustrowanej, zdeklasowanej młodzieży, pełnej kompleksów i nienawiści do wszystkiego w otoczeniu, co pokieraszowało jej awans, karierę czy co najmniej jakieś przyzwoite zajęcie. Naczelnym symbolem wszelkich nieprawości i źródłem nieszczęść – podobnie jak u młodych, ale na skutek stalinizmu za Zbruczem – bardzo słabych komunistów było państwo polskie.

Pierwszą ofiarą rosnącej fali terroru stał się Hołownko, zastrzelony 29 sierpnia 1931 roku w Truskawcu. Kiedy jednak wahający się szef organizacji krajowej, student geologii, Bohdan Kordiuk, zaczął wątpić o celowości i moralności takiej polityki, został zdymisjonowany, a jego funkcję przejął były student leśnictwa, bezwzględny zwolennik polityki terrorystycznej, 26-letni Stepan Bandera. Jego najbliższym współpracownikiem stał się Mykoła Łebed'. Pierwsza akcja zorganizowana przez Łebedia, mianowicie zbrojny napad na

pocztę w Gródku Jagiellońskim, 30 listopada 1932 roku, była kompletnym fiaskiem. Otrzymał więc ostrą naganę od szefa OUN, pułkownika Konowalca, wraz z szansą na rehabilitację pod warunkiem dokonania wydatnego czynu rewolucyjnego. Miało nim stać się zabójstwo ministra spraw wewnętrznych, wystylizowanego w wewnętrznej propagandzie podziemnej na „kata narodu ukraińskiego”, Bronisława Pierackiego. W istocie zaważyły przecieki z kół umiarkowanej opozycji ukraińskiej o planach ministra wdrożenia reform wobec zagadnienia ukraińskiego w Polsce czyli zagrożenia bazy rewolucyjnej.

Mykoła Łebed' podjął się misji przygotowania zamachu. Podczas dwukrotnego pobytu w Warszawie wystudiował sposób bycia ministra, jego poruszanie się po stolicy bez jakiegokolwiek ochrony. Pod jego kierownictwem zamachu miał dokonać początkujący zecer ze Lwowa, dwudziesto-jednoletni Hryhorij Maciejko, który również chciał się zrehabilitować za to, że nieopatrznie przyczynił się do aresztowania swojego druha z OUN. Maciejko zastrzelił Pierackiego w biały dzień 15 czerwca 1934 roku w sieni przed Klubem Towarzyskim na ulicy Foksal 3, a potem uciekł przez nikogo nie zatrzymany i konspiracyjnie został przerzucony do Czechosłowacji. Mykoła Łebed' uciekł do Niemiec ale po energicznej interwencji polskiego ambasadora Lipskiego u najwyższych władz niemieckich, został wydany Polsce i wraz z innymi oskarżonymi został skazany 13 stycznia 1936 roku na karę śmierci, zamienioną następnie na dożywotnie więzienie. Karę odbywał na Świętym Krzyżu. Wypuszczony po napaści Hitlera na Polskę w 1939 roku spotkał się z Bandera i innymi działaczami podziemia w Krakowie i przystąpił zrazu do odbudowy OUN w nowych warunkach. Należał od początku do młodych, którzy postanowili zdetronizować władzę seniorów, wykonywaną od czasu zamordowania pułkownika Konowalca przez agenta sowieckiego w Rotterdamie, a krótko przed wojną przez „pułkowników” z Andriejem Melnykiem na czele. W roku 1940 doszło do rozłamu pomiędzy „banderowcami” i „melnykowcami”. Zwolennicy Rewolucyjnego Kierownictwa pod przewodem Bandery, przeciętnie młodszy o dwadzieścia lat od swych rywali „melny-

kowskich”, rozpoczęli bezpardonową walkę z konkurentami, która w dalszym okresie wojny światowej przybrała jak najbardziej brutalny i krwawy charakter. Melnykowcy, u których w kierownictwie znalazła się cała intelektualna elita nacjonalistów – z wyjątkiem wydawcy i publicysty Doncowa – nie byli w swej postawie politycznej zdolni do stosowania równie ohydnych metod i ponieśli na skutek tego ogromne ofiary w ludziach.

W Rewolucyjnym Kierownictwie w Krakowie Łebed’ został zastępcą Bandery i szefem bezpieczeństwa i delegatem do pertraktacji z Niemcami. Był jednak od czasu ekstradycji w 1934 roku najbardziej nieufny wobec Niemców, właściwie cierpiał na kompleks antyniemiecki. Jego chytrość i przebiegłość w rozmowach z przedstawicielami Wehrmachtu i Abwehry, czyli niemieckiego wywiadu wojskowego, wywołała podejrliwość Niemców, która z czasem przybrała formę otwartego konfliktu. Stało się to po niefortunnym ogłoszeniu niepodległości Ukrainy, po wkroczeniu Niemców do Lwowa 30 czerwca 1941 roku przez działaczy banderowskich i utworzeniu Urzędu Państwa, w którym Łebed’ objął resort bezpieczeństwa. Niemcy na to zareagowali wyaresztowaniem większości członków Urzędu. Mykoła Łebed’ wy dostał się z potrzasku i od razu zniknął w podziemiu, aby wnet wypłynąć jako Maksym Ruban, dowódca walki czynnej przeciw Niemcom i Sowietom. W zastępstwie aresztowanego Bandery stanął też na czele zorganizowanej OUN. Faktycznie dowodzona przez Łebedia-Rubana organizacja podjęła beznadziejną walkę nie na dwa, a na cztery fronty, bo przeciwko Niemcom i Sowietom, ale również przeciw Polakom i melnykowcom.

Niemcy próbowali go złapać: już na początku października 1941 roku rozesłali listy gończe, obiecywali wysoką nagrodę za ujęcie go żywcem – bez skutku. A Łebed’ z jednej strony przebiegły i ostrożny, a z drugiej ryzykant, lubił od czasu do czasu opuszczać kryjówkę i spacerować ulicami okupowanego Lwowa. Jako główne zadanie widział zorganizowanie Ukraińskiej Armii Powstańczej, co początkowo, przy tradycyjnym germanofilskim nastawieniu galicyjskich Ukraińców nie było sprawą łatwą. Stąd na Wołyniu była od razu UPA a w Galicji najpierw Samoobrona. W pierwszej

fazie wojny Łebed' stał na bardzo konserwatywnych pozycjach. Przejawiało się to w bezwzględności zarówno wobec obcych jak i swoich. Dotyczyło również stosunków ukraińsko-polskich. Łebed'-Ruban żądał od mniejszości polskiej lojalności, kiedy to nie nastąpiło, wystąpił z koncepcją przymusowego wyparcia Polaków za Bug i San. Dopiero kiedy dowódcą Armii Powstańczej został Szuchewycz-Czuprynka okrucieństwo zelżało. Długo też Łebed' odrzucał pomysły demokratyzacji ruchu, odejścia od wodzostwa i wprowadzenia kolegalności. Kiedy kierownik sztabu na Środkową Ukrainę Wasyl Kuk zaproponował zmianę nazwy OUN na inne, bardziej neutralne określenie, Łebed' się temu stanowczo przeciwstawił. Na skutek tej nieustępliwości został w 1943 roku usunięty ze ścisłego kierownictwa.

Gdyby się temu przeciwstawił, mógłby rozpedzić całą konferencję, która go zdymisjonowała, bo za nim stała zbrojna siła, ale wykazał lojalność wobec większości. Z trudem, jednak niebawem uznał konieczność zmian. Uczestniczył w rokowaniach o współpracę z WiN-em i AK, prowadził rokowania z szefem sztabu armii węgierskiej, poparł ideę utworzenia na czas powojenny nowego kolegalnego ośrodka politycznego Ukraińskiej Głównej Rady Wyzwoleńczej i został jej generalnym sekretarzem do spraw polityki zagranicznej z obowiązkiem wyjazdu na Zachód i reprezentowania tam interesów „frontu walki”. Bandera, który całą wojnę przesiedział w niemieckim obozie koncentracyjnym i nie rozumiał zaistniałych zmian, przeciwstawił się kompetencjom Łebedia. Nastąpił nowy, trzeci rozłam wśród nacjonalistów.

W pierwszych latach powojennych Łebed' przebywa w Rzymie i pisze tam na podstawie wywiezionych archiwów konspiracji historię powstania i działań UPA. Książka zawiera mnóstwo szczegółów, ale jest stronnicza. Po krótkim pobycie w Monachium, decydującym o rozbracie z Bandera, Łebed' wyjeżdża do Stanów Zjednoczonych i zaczyna nowy etap w swojej karierze. Porozumiewa się z czołowymi amerykańskimi antykomunistami jak James Burnham i dzięki ich pomocy organizuje z ramienia Ukraińskiej Głównej Rady Wyzwoleńczej Towarzystwo Naukowo-Wydawnicze „Prolog”. Przystępuje do wydawania miesięcznika społeczno-literackiego *Su-*

czasnist, które z czasem skupia czołowe pióra i umysły emigracji. Wydaje książki beletrystyczne i polityczne, przekłady z literatury obcej, np. Orwella, Kafkę, Miłosza. Popiera kontakty z podbitą Ukrainą, przyjmuje dyskretnie ludzi „stamtąd”. Organizuje nielegalną wysyłkę publikacji „Prologu”. W politycznych awanturach emigracji nie bierze udziału. Jest zresztą kiepskim mówcą i nie bardzo umie pisać, ale jest i pozostaje przez długie lata „szarą eminencją” powojennej emigracji. Od czasu do czasu odwiedza ulubione Włochy, rzadziej Francję a najrzadziej Niemcy. Zbiera stare druki i mapy. Rzadko ale z sukcesem grywa w pokera i ruletkę. Sztuki tej nauczył się od polskich szulerów, z którymi siedział w świętokrzyskim więzieniu. Sterany życiem i chorobą, u kresu drogi, przekazał „Prolog” i archiwa dwóm nieuczciwym współpracownikom – Romanowi Kupczyńskiemu, późniejszemu szefowi ukraińskiej sekcji Radia Swoboda i Petrowi Sodolowi, którzy – jak piszą Anatol Kamiński i Myrosław Prokop w pracy „Od przymusowej do pokojowej rewolucji” – cały majątek spółki wydawniczej sobie przywłaszczyli. Gdyby nie to, może *Suczasnist* nadal by wychodziła na Zachodzie tak jak *Kultura*, a nie jak obecnie w Kijowie. Łebed’ został pochowany w Alei Zasłużonych na prawosławnym cmentarzu Bawn Brooke koło Nowego Jorku założonym przez Stepana Skrypnika, petlurowca, późniejszego Patriarchę Mstysława. Wraz z jego trumną pochowano kawał zawilej i dramatycznej historii Ukrainy XX stulecia. Nie napisał wspomnień, a szkoda, bo wiedział więcej niż wielu z jego rówieśników i niż to, co rzadko opowiadał podczas naszych spotkań w gościnnym domu Soczyńskich w Brooklynie.

Bohdan OSADCZUK

Bogumiła BERDYCHOWSKA

BURZLIWE ŻYCIE NADII SUROWCOWEJ

„W czasie kilkuletnich poszukiwań źródłowych i pracy nad tą książką, autor spotkał się z najzyczliwszym zainteresowaniem i stałą, bezinteresowną, a wielce użyteczną pomocą ze strony jednej przede wszystkim osoby. Jest nią dr Nadia Surowcowa, znakomita znawczyni historii Ukrainy w XVII i XVIII wieku, wielka miłośniczka parku w Zofiówce. Bez licznych informacji archiwalnych i materiałów źródłowych uzyskanych dzięki pomocy dr Surowcowej, książka niniejsza straciłaby połowę swojej wartości. Składam jej w tym miejscu najserdeczniejsze podziękowania za tę pomoc, będącą pięknym przykładem współpracy historyków polskich i ukraińskich w badaniach nad problemami należącymi do wspólnej przeszłości obu naszych społeczeństw”¹ tak o Nadii Surowcowej pisał prawie trzydzieści lat temu Jerzy Łojek. Nie jest to bynajmniej ostatni polski trop w jej biografii. Dla Łojka Surowcowa była świetnym historykiem, ale uprawianie historii bynajmniej nie wyczerpuje jej bogatej biografii. Dziś możemy zdobyć pełniejszą wiedzę o jej nieprzeciętnym życiu, a to za sprawą jej wspomnień, które zostały wydane w

1. Jerzy Łojek, „Dzieje pięknej Bitynki”, Pax, Warszawa 1972, ss. 20/21.

Kijowie². Kim była osoba, której w dużej mierze zawdzięczamy ostateczny kształt „Dziejów pięknej Bitynki”?

Nadia Surowcowa urodziła się pod koniec ubiegłego wieku w Kijowie. Jej ojciec Witalij, z wykształcenia prawnik, już na studiach zaczął mieć kołopoty z władzą. Z powodów politycznych został relegowany z Uniwersytetu Kijowskiego i trafił na zesłanie. Matka Hanna Howerdowska pochodziła z mieszanej, polsko-rosyjskiej rodziny. Jej dziad ze strony ojca był powstańcem styczniowym. Dzieciństwo Surowcowej związane było z Kijowem, tam też rozpoczęła naukę w szkole średniej. W 1904 roku matka z córką przenieśli się do Humania, gdzie już od jakiegoś czasu ojciec Surowcowej pracował jako adwokat. Po ukończeniu humańskiego gimnazjum Nadia zostaje studentką Wyższych Kursów Żeńskich w Petersburgu. Surowcowa wybiera Petersburg na miejsce swoich studiów wbrew woli ojca, który marzył by jego córka kształciła się jak większość inteligencji ukraińskiej w Uniwersytecie Kijowskim. W burzliwych czasach wojny i rewolucji Surowcowa aktywnie włącza się w różne inicjatywy tamtejszych Ukraińców: jest członkiem ukraińskich kółek studenckich, pracuje w ukraińskim lazarecie. W 1917 roku powraca do rodzinnego Humania, by już wkrótce przenieść się do Kijowa i tam aktywnie włączyć się w działalność Centralnej Rady (pierwszego rządu ukraińskiego). Najpierw nasza bohaterka pracuje w Sekretariacie Spraw Wewnętrznych w departamencie do spraw uchodźców, a następnie w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, gdzie zostaje szefem wydziału ogólnego. Równocześnie studiuje w Uniwersytecie Kijowskim oraz w Kijowskiej Akademii Konsularnej.

Przejęcie władzy przez hetmana Skoropadskiego sprawia,

2. Nadia Surowcowa, „Spohady”, Wydawnictwo im. Oleny Telihi, Kyiw 1996. Na szczególną uwagę zasługuje posłowie do wspomnień, piori prof. Jarosława Daszkewycza, pt. Nadia Surowcowa. Notatki z notatek”. Pomimo, że książka wyszła półtora roku temu, ze względu na brak normalnego obiegu kulturalnego dopiero teraz dotarła do Polski. Dla wszystkich bliżej zainteresowanych historią i współczesnością Ukrainy nie jest tajemnicą, że w Warszawie nie ma ani jednego miejsca, gdzie można byłoby na bieżąco kupować nowości wydawnicze z Ukrainy. Te księgarnie, które sprowadzają wydawnictwa z Ukrainy czynią to niesystematycznie i mają jednak dość przypadkową ofertę.

że Surowcowa zostaje naczelnikiem wydziału dyplomatycznego, dzięki czemu poznaje dyplomatów, którzy pojawiają się w tym czasie na Ukrainie. Choć Nadia Surowcowa, czego nie kryje, jest zapiekłą przeciwniczką Skoropadskiego, głównie ze względu na panoszenie się w jego otoczeniu Rosjan i Niemców, lojalnie odnotowuje osiągnięcia hetmanatu w dziedzinie kultury i edukacji. Niemniej z ulgą przyjmuje wieść o ucieczce hetmana i przejściu władzy przez Dyrektoriat na czele z Petlurą. W dalszym ciągu pracuje w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, a pod koniec 1918 roku zostaje sekretarzem Biura Informacyjnego misji Ukraińskiej Republiki Ludowej na konferencję pokojową w Wersalu. Do Paryża jednak nie dociera, albowiem rozrośnięta ponad miarę i potrzeby misja w oczekiwaniu na wizy francuskie, których ciągle nie otrzymuje, stopniowo jest zmniejszana. W 1920 roku również Surowcowa przestaje być jej członkiem.

W tym samym roku zaczyna się emigracyjny rozdział w życiu młodej Ukrainki. Surowcowa osiada w Wiedniu, gdzie kończy studia i uzyskuje doktorat na tamtejszym uniwersytecie. Jest bodajże pierwszą Ukrainką, która otrzymuje stopień doktora w wiedeńskiej uczelni. Poza swoimi zajęciami zawodowymi (wykłada język rosyjski) rzuca się w wir pracy społeczno-politycznej, która z biegiem czasu doprowadzi ją do komunizmu. Zaczęło się niewinnie od pracy w Komitecie Pomocy Ofiarom Głodu na Ukrainie, którym kierował jeden z najwybitniejszych ukraińskich historyków i w niedalekiej przeszłości przewodniczący Centralnej Rady, Mychajło Hruszewski.

Ze względu na pracę w Komitecie, Surowcowa coraz częściej kontaktuje się z ambasadą radziecką w Wiedniu, gdzie pracował wtedy Jurij Kociubyński, brat autora „Cieni zapomnianych przodków”. Pod wpływem Kociubyńskiego ulega propagandzie *zmienowiechestwa* (zmiana drogowskazów), które zresztą staje się w tym czasie bardzo popularne nie tylko wśród emigracji ukraińskiej, ale również rosyjskiej. *Zmienowiechestwo* w wariacie ukraińskim polega na tym, że niedawni niepodległościowcy ukraińscy zaczynają dostrzegać w Ukrainie sowieckiej rodzaj spełnienia swoich marzeń o samodzielnym państwie ukraińskim. Niemniej, nie decyduje

się jeszcze na wyjazd do Związku Sowieckiego, za to zostaje aktywistką Międzynarodowej Kobiecej Ligi Pokoju i Wolności, gdzie najpierw jest reprezentantką Ukrainy, zaś z biegiem czasu Związku Sowieckiego. Będąc działaczką Ligi, przemierza Stany Zjednoczone i Kanadę jako uczestniczka tzw. „pociągu pokoju”. Jej fascynacja komunizmem zostaje przypieczętowana wstąpieniem w 1924 roku do Komunistycznej Partii Austrii. Bardzo wiele publikuje w prasie, tłumaczy na ukraiński i z ukraińskiego, współorganizuje Związek Postępowych Dziennikarzy, który jest jej ostatnią inicjatywą na emigracji.

W 1925 roku Surowcowa wyjeżdża do Związku Sowieckiego. Po krótkim pobycie w Moskwie osiada na stałe w Charkowie. Charków, ówczesna stolica sowieckiej Ukrainy, tętni życiem, a sama Surowcowa trafia w sam środek tamtejszej bohemy. Poznaje najwybitniejszych przedstawicieli ukraińskiej literatury, filmu i teatru: m.in. Mykołę Chwyłowego, Mykołę Kulisza, Pawło Tyczynę, Wołodymyra Sosiurę, Mychajła Jałowoho, Łesia Kurbasa, Ołeksandra Dowżenkę. Ze względu na to, że przez pewien czas pracowała w Ludowym Komisariacie Spraw Zagranicznych, ma okazję poznać również przedstawicieli ukraińskiej sowieckiej elity dyplomatycznej: Ołeksandra Szlichtera, Karła Maksymowicza, Iwana Kułyka oraz odnowić nawiązaną w Wiedniu znajomość z Mychajłem Lewyckim. Pozornie wszystko jest w najlepszym porządku, Surowcowa jest osobą lubianą i popularną, z oddaniem pracuje dla swojej sowieckiej ojczyzny, niemniej pewnych spraw nie udaje się jej załatwić. Pomimo jej usilnych starań nie może sformalizować swojego przejścia z Komunistycznej Partii Austrii do WKP(b).

To, co było niezrozumiałe dla zaangażowanej komunistki Surowcowej, stało się jasne dla nas po ostatnich odkryciach historyków ukraińskich. Otóż okazało się, że we wrześniu 1926 roku pojawił się ściśle tajny okólnik („Ściśle tajne. Nie przedrukowywać. Przechowywać na równi z szyfrem pod groźbą odpowiedzialności naczelnika organu GPU”), który, jak pisze doskonały znawca tematu, kijowski historyk Jurij Szapował: „kładał nacisk na zbieranie wszechstronnej informacji właśnie o jej sympatykach (polityki ukrainizacji – B.B.) –

przede wszystkim w środowisku intelektualistów ukraińskich, szczególnie zaś o tych, którzy pod wpływem deklarowanej 'ukrainizacji' powrócili albo chcą jeszcze powrócić na Ukrainę"³. Autorzy dokumentu przestrzegali czekistów, że: „To, że nacjonałści ukraińscy zakończyli otwartą walkę z władzą radziecką i uznali ją formalnie nie oznacza, że ostatecznie pogodzili się z obecnym stanem rzeczy i szczerze wyrzekli się wrogich zamiarów”.

Tak więc dla organów bezpieczeństwa Surowcowa, pomimo swojego szczerego oddania ideałom komunizmu, była cały czas osobą niepewną i podejrzaną. Początkowo GPU chciało z niej zrobić tajnego współpracownika. Zaproponowano jej inwigilowanie Jurija Kociubyńskiego, Karła Maksymowycza, Wołodymyra Aussema i Mychajła Łewyckiego. Odmówiła. Na skutki tej odmowy nie musiała długo czekać; 29 listopada 1927 roku została aresztowana. W więzieniu raz jeszcze próbowano ją zwerbować. Kiedy i tym razem odmówiła, oskarżono ją o szpiegostwo na rzecz Polski i wywiadu petlurowskiego. Kolegium OGPU skazało ją na pięć lat więzienia. W ten sposób zaczęła się jej więzienna epopeja, która trwała prawie trzydzieści lat.

Pierwszy wyrok Surowcowa odsiaduje w pojedynczej celi jarosławskiego więzienia. Po więzieniu trzyletnie zesłanie – Archangielsk. W 1935 roku wychodzi na krótko na wolność. Bierze ślub z rosyjskim socjalistą-rewolucjonistą Dmytrem Ołyckim. Jej życie rodzinne nie trwa jednak długo, pod koniec 1936 roku zostaje po raz drugi aresztowana (jej męża rozstrzelano w 1937 roku), tym razem wyrok opiewa na pięć lat obozu. Przez te pięć lat Surowcowa trafia do najcięższych łagrów na Kołymie. Dzięki hartowi ducha udaje się jej przeżyć. W 1942 roku wychodzi na wolność, niemniej nie ma prawa wrócić na Ukrainę. Tym razem przerwa w życiorysie więziennie-obozowym trwa dłużej. Następne aresztowanie następuje w 1950 roku. Surowcowa zostaje skazana na bezterminowe zesłanie.

Los uśmiechnął się do Nadii Surowcowej, podobnie jak do wielu innych więźniów politycznych, dopiero po śmierci

3. Jurij Szapowal, „W oczekiwaniu Niurenbergu”, *Krytyka* nr 3/1998 r.

Stalina. W 1954 roku zostaje amnestionowana. Natychmiast też pisze podania, domagając się rewizji swoich spraw. Na fali odwilży w 1956 roku Wojskowy Trybunał Kijowskiego Okręgu Wojskowego zrehabilitował Nadię Surowcową „ze względu na brak znamion przestępstwa” i skasował pierwszy jej wyrok za szpiegostwo. Dopiero w 1957 roku zostały skasowane dwa pozostałe wyroki i Surowcowa mogła wrócić na Ukrainę.

Powróciła do rodzinnego Humania i natychmiast rozpoczęła bardzo aktywne życie naukowe i towarzyskie. W archiwach Kijowa, bibliotekach Kijowa i Lwowa, wyszukuje materiały dotyczące dziejów Humania, w szczególności zaś losów Zofii Potockiej, od której imienia wziął nazwę jeden z najpiękniejszych zespołów parkowych na Ukrainie – Zofiówka. Wszystkie te materiały przekazała później Jerzemu Łojkowi, co jak widać z wyżej przytoczonego przeze mnie cytatu, polski historyk należycie docenił.

Bardzo szybko w swoim humańskim domu zaczyna prowadzić swoisty salon towarzyski, w którym bywają literaci, naukowcy, dysydenci z Kijowa, Lwowa, Moskwy. Przez dwa tygodnie rezydował u Surowcowej Aleksander Sołżenicyn, studiując jej wspomnienia. Z lektury tej zrobił użytek przy pisaniu „Archipelagu Gułag”. Sama Surowcowa zaczyna publikować tak w prasie miejscowej, jak też w zagranicznych periodykach o sympatiach prokomunistycznych (Surowcowa do końca życia uważała się za narodową komunistkę). Społecznie pracuje w Humańskim Muzeum Krajoznawczym.

Nade wszystko zaś poświęca się pisaniu i ciągłemu szlifowaniu swoich wspomnień, w których opisała dwie trzecie swojego życia: od Kijowa pierwszych lat naszego stulecia aż do definitywnego wyjścia na wolność. Fragmenty tych wspomnień czyta swoim znajomym. W czasie chruszczowskiej odwilży próbuje czynić starania by wspomnienia te wydać w Związku Sowieckim. Zwraca się o pomoc do znajomych z czasów młodości, m.in. Mykoły Bażana i Jurija Smołyca, ale bez skutku. Kiedy zaproponowano jej przekazanie wspomnień na Zachód – odmówiła. Chyba dlatego, że jako przekonana komunistka nie chciała dostarczać argumentów przeciwnikom komunizmu. Bardzo szybko, jej nieopubliko-

wane ale w pewnych kręgach głośne wspomnienia, stają się przedmiotem zainteresowania organów bezpieczeństwa. A że w międzyczasie dochodzi do odsunięcia od władzy Chruszczowa i zaczyna się przykręcanie śruby, więc i „organy” energicznie postanawiają zająć się Surowcową i jej wspomnieniami.

Przed wszystkim doprowadzają do prawie całkowitej izolacji Nadii Surowcowej w jej Humaniu. Nie może już społecznie pracować w humanistycznym muzeum, ludzie boją się do niej przychodzić, jej nazwiska nie można przywoływać w druku, w końcu salon, który miał dla niej ważne znaczenie, przestał istnieć. Równocześnie KGB podejmuje intensywne starania by przejąć jej wspomnienia.

W mieszkaniu Surowcowej KGB raz za razem dokonuje rewizji. Przy okazji jednej z nich KGB udaje się przechwycić oryginał wspomnień. Na szczęście zapobiegliwa autorka zrobiła kilka kopii swoich memuarów. Znekana ciągłymi szykanami, chcąc uchronić swoje bogate archiwum przed zniszczeniem, Surowcowa większość swoich papierów przekazała na przechowanie do Centralnego Państwowego Archiwum – Muzeum Literatury i Sztuki oraz do Centralnej Biblioteki Naukowej Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Sowieckiej.

Pracowite i dramatyczne życie Nadii Surowcowej zakończyło się w 1985 roku. Zaledwie kilka lat później, na fali gorbaczowskiej *pieriestrojki*, jej nazwisko powróciło znów do oficjalnego obiegu. W 1990 roku zorganizowano w Kijowie pierwszy wieczór pamięci Nadii Surowcowej. Bardzo zasłużony rocznik *Nauka i Kultura* w kolejnych numerach począwszy od 1990 roku publikował kolejne partie jej wspomnień. Ukoronowaniem działań wiernych przyjaciół Surowcowej stało się wydanie „Wspomnień” – „Spohadiw” w wersji książkowej.

Głównym walorem wspomnień „Spohadiw” Surowcowej jest to, że ich autorka jest pozbawionym uprzedzeń, bardzo bystrym, inteligentnym i krytycznym obserwatorem. Surowcowa miała okazję widzieć i współuczestniczyć w próbie budowania nowoczesnego państwa ukraińskiego – próbie nieudanej. Przy całym swoim zaangażowaniu w sprawę, nie

próbuję fiaska ukraińskiej państwowości zapisać na cudze konto. W pierwszym rządzie dostrzega niedojrzałość i czasami wręcz nieporadność ukraińskiego ruchu niepodległościowego. Nie uchodzą jej uwagi konflikty, spory ambicjonalne, a czasami wręcz prywata wśród ukraińskich polityków. Jej opis losów misji Ukraińskiej Republiki Ludowej na konferencję pokojową w Wersalu, która składała się z całej masy absolutnie przypadkowych, nie znających nawet języków zachodnich ludzi, którzy głównie koncentrowali się na podróżach, zakupach i rezydowaniu w najlepszych hotelach Wiednia czy Szwajcarii, bezlitośnie obnaża słabości i nadużycia ukraińskich elit.

Podobnie interesująco wypada jej opis środowiska emigrantów ukraińskich w Wiedniu. Surowcowa bardzo udanie potrafi pokazać jak niepodległościowy entuzjazm stopniowo zmienia się w codzienne, biedne i swarliwe, emigranckie życie, które w końcu wydaje się zupełnie beznadziejne. Szczególnie w porównaniu z tym jak prezentuje się działalność ambasady sowieckiej w stolicy Austrii. Emigrancki, ukraiński Wiedeń jest skłócony, pozbawiony perspektyw (o emigracyjnych działaczach Surowcowa napisze: „tak bardzo szczerze chciałam ich szanować ale widziałam tyle małostkowości, ograniczoności, bezdennego prowincjonalizmu, jakich nawet nie mogłabym sobie wyobrazić wcześniej na Ukrainie” s. 140), a w ambasadzie rezyduje Jurij Kociubyński, zdecydowany narodowy komunista, który wie jak przekonywać. „Zobaczyłam – to może wydać się śmieszne, ciesząc się jak dziecko – pierwszy ukraiński paszport. Zobaczyłam książki, czasopisma – stamtąd. Poznałam takich ludzi jak Jurko Kociubyński, ten sam, który strzelał ‘do nas’ w Kijowie. Teraz siedzieliśmy obok siebie w moim nieopalanym mieszkaniu i siorbali małosłodką kawę i był on dla mnie bliskim, drogim, swoim towarzyszem” (s. 139). To Kociubyński nawraca ją ostatecznie na komunizm: „Wiedziałam o ukrainizacji szkół i urzędów. Poznałam, na własne oczy zobaczyłam przedstawicieli tej bolszewickiej sowieckiej władzy. Nie szeregowych, drobnych, którzy na pewno byli podobni do ‘naszych’ – nie, pierwszym człowiekiem z tamtego świata był Jurko Kociubyński. I to w wielkiej mierze zdecydowało o moim

ostatecznym zwrocie w stronę komunizmu” (s. 142).

Surowcowa przyjechała na sowiecką Ukrainę. Weszła w świat, który jej wymalował Kociubyński w Wiedniu. Byli w nim literaci, naukowcy, dziennikarze, ministerialni urzędnicy, wszyscy napędzani przekonaniem, że budują nową Ukrainę. Dla Nadii Surowcowej złudzenie o ukraińsko-sowieckim raju zakończyło się po niecałych dwóch latach, kiedy jako aresztantka trafiła na Łubiankę. Za wiarę w narodowy komunizm zapłaciła trzydziestoma latami niewoli. Charakterystyczne, że w opisach więziennego świata jest Surowcowa oszczędna i surowa, nie roztkliwia się nad sobą, nie żałuje zmarnowanych lat tym bardziej, że również w obozowym świecie jest aktywna, jest pielęgniarką, kucharką, hafciarką, służy radą i pomocą obozowym nowicjuszom.

We wspomnieniach Surowcowej wiele jest polskich tropów. Pierwsze związki z polskością to matka, pochodząca z polsko-rosyjskiej rodziny, bardzo cierpliwie znosząca wszystkie wybryki sporo młodszego od siebie męża i dzięki której dzieciństwo małej Nadii było szczęśliwe. Potem Humań, wspaniale przez Surowcową opisany, pełen polskich sąsiadów, polskiego ziemiaństwa i inteligencji: „Polacy trzymali się razem. Mieli własny polski klub ‘Ognisko’, gdzie nie-Polacy nie bywali. Prowadzili pracę oświatową wśród kobiet – istniało postępowe koło kobiece, była organizacja harcerska, skauci i z całą pewnością podziemne organizacje polityczne. Ale o nich nikt nic nie wiedział. Kontaktowali się z austriackimi Polakami, stale jeździli do kurortu w Zakopanem, jeździli do Warszawy, do Krakowa” (s. 28). Ale Polacy nie tylko trzymali się z boku, byli również obecni we wszystkich dziedzinach humanistycznego życia: są adwokatami, nauczycielami, lekarzami, kupcami. Sklepy humanistyczne były zaopatrzone nie gorzej niż kijowskie, ponieważ towar do nich był sprowadzany nie tylko z Kijowa ale również z Warszawy i Odessy. W samym mieście były różnorakie pracownice, w tym pracownia kapeluszy Janiny Mass, która co roku jeździła do Warszawy po najnowsze modele kapeluszy. Takich i podobnych obserwacji obyczajowych jest u Surowcowej mnóstwo.

Polaków spotyka Surowcowa w Petersburgu, w czasie

rewolucji, również wtedy kiedy są ukraińskimi sojusznikami (choć trzeba jasno powiedzieć, że nie ma najlepszego zdania o przedstawicielach „polskiej siły zbrojnej” – jak pisała). Ostatnim Polakiem, którego spotykamy w memuarach Surowcowej, jest znajomy z obozowego szpitala: „Polak Suliński. Dostał się do niewoli w czasie przesuwania się naszej armii do Polski. Był pracownikiem banku. Typowy polski szlachcic starej daty. W miarę inteligentny, w miarę liberalny; zupełnie nie rozumiał tego, co się z nim stało, ani kraju do którego trafił, ani swojego otoczenia. (...) Miał sparaliżowane nogi. Cały czas leżał. Nigdy się nie skarżył, nie kłócił z sąsiadami, nie narzekał na szpital ani na swój los. Po rosyjsku mówił bardzo źle. (...) Przychodziłam do Sulińskiego, siadałam obok jego łóżka i prowadziliśmy niekończące się rozmowy. Zapewne bardzo źle mówiłam po polsku ale za to doskonale go rozumiałam. I tego było dosyć.

Wraz z moim pojawieniem się ożywał. (...) Rozmawialiśmy o Mickiewiczu, Słowackim, o Żeromskim i Prusie, Orzeszkowej i Konopnickiej. Kiedy nadchodziła ‘czarna godzina’ i było cicho po salach, często wpadając sobie w słowo deklamowaliśmy ulubione wiersze:

*Litwo, ojczyzno moja –
Ile cię trzeba cenić,
Ten tylko się dowie,
Kto cię stracił –...*⁴

A utraciliśmy swoje ojczyzny oboje. I oto tu, daleko, na skraju świata, w obcym, zimnym i niegościnnym kraju, my oboje, którzyśmy w różny sposób stracili swoje życie, w deszczowe szare wieczorne godziny pletliśmy nitkę wspomnień. Nie o sobie, nie o utraconym – ale o tym, co na zawsze pozostanie przepięknym i co różni ludzi w najlepszym tego słowa znaczeniu...” (s. 360).

Świadectwo Surowcowej jest cenne nie tylko dla Ukraińców. Myślę, że i dla nas Polaków może być niezwykle

4. We fragmencie „Inwokacji” zachowuję pisownię i układ graficzny zastosowany przez N. Surowcową.

pouczające, zarówno dlatego, że daje pojęcie jak dramatyczny los przypadł naszym sąsiadom, jak również dlatego, że możemy się w jej wspomnieniach przejrzeć jak w lustrze i skonfrontować nasze własne o sobie wyobrażenie z opiniami wnikliwego ale na pewno nieuprzedzonego obserwatora z zewnątrz. A, że „Wspomnienia” – „Spohady” Nadii Surowcowej są świetnie napisane, może więc znajdzie się wydawca, który przybliży je polskiemu czytelnikowi.

Warszawa, sierpień 1998

Bogumiła BERDYCHOWSKA

Mieczysław PRUSZYŃSKI

TOMASZ SERWATKA O PIŁSUDSKIM

Pisząc swą książkę „Józef Piłsudski a Niemcy”¹, autor poruszył temat od kilkudziesięciu lat przewijający się w twórczości historyków i polityków zajmujących się działalnością twórcy II Rzeczypospolitej. O germanofilizm posądzali Piłsudskiego m.in. Dmowski i Stanisław Grabski, a później publicyści na usługach PRL. Zdaniem Serwatki, Piłsudski w swej działalności politycznej kierował się przesłankami emocjonalnymi ale był pragmatykiem i realistą, tym boleśniej więc odczuwał oskarżenia o germanofilizm: „To fałsz i nikczemność!” Na zjeździe legionistów w 1922 r., uzasadniając dlaczego tworzył Legiony po stronie Austrii, wyjaśnił, że nie wahałby się tworzyć ich we współpracy z innym zaborcą, gdyby uzyskał od niego korzystniejsze warunki. Dla Serwatki nie ulega wątpliwości, że Piłsudski traktował Niemcy (podobnie jak Austrię) instrumentalnie i koniunkturalnie. Zdaniem

1. Tomasz Serwatka: „Józef Piłsudski a Niemcy”, Wrocław 1997.

Serwatki Piłsudski nigdy nie uważał Niemiec czy też Prus za polskiego „wroga nr 1”. Całe życie nienawidził Rosji, zarówno „białej” jak i „czerwonej”, co nie znaczy, że darzył sympatią pozostałych dwóch zaborców, Niemcy i Austrię ale w pewnych sytuacjach gotów był z nimi współpracować. Zawsze też w okresach, kiedy stał u steru polityki polskiej (1918-1922 i 1926-1935), skłaniał się do kompromisu i jakiejś formy współpracy, oczywiście na zasadach partnerskich – raczej z Niemcami niż z Rosją. Widział też zwykle większe niebezpieczeństwo dla niepodległej Rzeczypospolitej ze wschodu niż z zachodu. Co się tyczy osobistych poglądów Piłsudskiego w stosunku do Niemiec i Niemców, to zdaniem Serwatki, Piłsudski odnosił się do nich z dużym uznaniem, ale bez sympatii. Doceniał niemiecką dyscyplinę, organizację, poczucie porządku i szacunek dla prawa, gospodarność i poziom techniczny, bitność armii. Przed 1914 r. odnosił się przyjaźnie do przywódców niemieckiej partii socjalistycznej, którzy popierali jego politykę niepodległościową. Obawiał się polityków i wojskowych pruskich, wiązał nadzieję z dochodzeniem do władzy polityków z południowych Niemiec. Lekceważył republikę weimarską, uważając ją za niegroźną dla Polski. Z większym respektem ale i obawą odnosił się do przywódców III Rzeszy, jako bardziej skłonnych do dialogu z Polską, ale niebezpieczniejszych. Mimo rezerwy emocjonalnej wobec Niemców, zwłaszcza Prusaków, nie miał Piłsudski antyniemieckich uprzedzeń, kompleksów czy fobii, tak powszechnych wśród współczesnych mu Polaków.

Autor przytacza wypowiedzi Piłsudskiego dotyczące stosunków polsko-niemieckich, w których stałym motywem było zakończenie wiekowych sporów sąsiedzkich między obydwojema krajami i ułożenie nowych, lepszych stosunków na podstawie nie emocjonalnej, ale racjonalnej. Jesienią 1915 r. na froncie wołyńskim powiedział niemieckiemu oficerowi, hr. Kesslerowi, iż dla niego jest sprawą główną, aby Niemcy i Polacy zapomnieli o swej nieprzyjaźni, a nawet nauczyli się przyjaźnie współpracować jako sąsiedzi, którzy wreszcie zmądrzeli. W listopadzie 1918 roku ten sam Kessler zanotował, że „Naczelnik Państwa postulował wyprowadzenie naszych narodów ze starej nieprzyjaźni. Nie były to bynaj-

mniej dyplomatyczne frazesy, lecz było to Piłsudskiego głębokim przekonaniem.”

Z kolei 9 lat później, w genewskiej rozmowie ze Stresemannem (grudzień 1927), Marszałek tłumaczył mu nieskuteczność niemieckiej strategii bojkotowania i sabotowania Polski jako państwa sezonowego i apelował o zaniechanie obopólnych sporów. Nie spotkał się wtedy ze zrozumieniem. Po paru latach wszelako znów konsekwentnie powrócił do tego tematu, tym razem w rozmowie z niemieckim posłem w Warszawie Hansem von Moltke, któremu w listopadzie 1933 r. oświadczył, że istnieje potrzeba ustawienia przyszłych stosunków polsko-niemieckich na podstawie przyjaźni, jaką trzeba budować nie na motywach sentymentu, lecz wyłącznie rozumu.

Widać więc jasno – reasumuje Serwatka – że w opinii Piłsudskiego pojednanie polsko-niemieckie miało wynikać nie z jakichś przesłanek ideologicznych czy doktrynalnych (jak u Studnickiego), lecz prozaicznego faktu sąsiedztwa (podkreślenie M.P.), którego nie da się zlikwidować i które trzeba optymalnie wykorzystać, aby profitowało dla obu stron. (Do tego tematu powrócimy).

Wnikliwie przedstawia autor stosunek Piłsudskiego do Niemiec od chwili objęcia władzy w 1926 r. aż do śmierci w 1935 r., m.in. spotkanie ze Stresemannem w Genewie w 1927 r., próbę nawiązania przez tajnego emisariusza kontaktu z Hitlerem w r. 1930 – t.j. trzy lata przed jego dojściem do władzy, przyczyny incydentów w Gdańsku, „Wicher”, Westerplatte, rozmowy posła Wysockiego z Hitlerem w 1933 r., przyczynę zorganizowania wspaniałej rewii kawalerii w Krakowie w 250 rocznicę odsieczy Wiednia (miała zdemontować Hitlerowi siłę naszej armii) wreszcie taktykę Piłsudskiego, która skłoniła Hitlera do wystąpienia z propozycją dwustronnej deklaracji polsko-niemieckiej o niestosowaniu przemocy w ciągu 10 lat, wreszcie tajną misję zleconą Ludwikowi Morstinowi, przed przyjęciem propozycji Hitlera, w celu wyjaśnienia czy w wypadku ataku wojsk III Rzeszy na Polskę możemy liczyć na pomoc zbrojną Francji (pomocy zbrojnej Francuzi nie obiecali).

Serwatka podziela zdanie Eugeniusza Kwiatkowskiego na

temat odmiennej oceny paktu przez Piłsudskiego i Becka. Gdy Piłsudski poczytywał pakt polsko-niemiecki z 26 stycznia 1934 r. za niepewny, posiadający wartość raczej taktyczną niż merytoryczną, za układ dający najwyżej parę lat odprężenia i spokoju znękaney kryzysem gospodarczym Polsce, to Beck ufał w trwałość nowego stosunku Niemiec do Polski. Serwatce wydaje się (str. 158), że już wtedy przy chorym Marszałku kształtował on linię polskiej polityki zagranicznej w stopniu znacznie większym, niż to się ogólnie przyjmuje. Warto tu zaznaczyć, że w listopadzie 1934 r. na zapytanie Piłsudskiego, z której strony grozi Polsce większe niebezpieczeństwo, większość generałów wyraziła opinię, że ze strony Rosji. Przyłączył się do tej opinii Beck, choć zastrzegając się, że w okresie najbliższych trzech lat.

Piłsudski kategorycznie odmawiał wspólnego z Rzeszą marszu przeciw Rosji, gdyż prowadziłoby to do zwasalizowania strony polskiej, wobec silniejszego zachodniego partnera. Oto jak Serwatka rozumiał credo Piłsudskiego: Polska miała być silna i balansująca między Niemcami i Rosją. Nie mogła w żadnym razie wiązać się z jedną potęgą przeciw drugiej. Taki pogląd żywił aż do śmierci. Przewidywał jednak niebezpieczeństwo związane z taką polityką i przy innej sposobności Piłsudski zauważył: „Mając (te) dwa pakti siedzimy na dwóch stołkach. To nie może trwać długo. Musimy wiedzieć, z którego najpierw spadniemy i kiedy” (s.160).



Lektura książki Serwatki nasuwa kilka uwag. I tak:

1. Odnosi się wrażenie, że Serwatka nie zdaje sobie sprawy z tego, że Piłsudskiemu nie chodziło tylko o dobre stosunki polsko-niemieckie, wynikające z „prozaicznego faktu sąsiedztwa”, ale że uważał je za niezbędne dla zachowania niepodległości Polski wobec wrogości Rosji i faktycznej utraty francuskiego sojusznika po Locarnie.

2. Zdaniem Serwatki Piłsudski aż do czasów nazistowskich a może nawet aż do śmierci, miał skłonność do lekceważenia zagrożenia niemieckiego. A tym czasem marszałkowa Piłsudska zanotowała w swych wspomnieniach: „Wojna z

Niemcami była koszmarem, który dręczył mego męża nieustannie”. Serwatka napisał również (str.162): „Nie wiadomo dokładnie, jak Marszałek postrzegał zagrożenie niemieckie w ostatnich miesiącach życia.” A przecież dwa dni przed śmiercią zalecił Beckowi: „Trzeba, jak długo to możliwe, utrzymać obecne stosunki z Niemcami”.

Twierdzenie Serwatki, że Piłsudski nie doceniał zagrożenia niemieckiego wynika być może z faktu, że dla oczywistych przyczyn wołał o nim nie mówić w szerszym gronie osób. I tak w listopadzie 1934 r. na konferencji z generałami na temat skąd Polsce zagrażać może większe niebezpieczeństwo, Marszałek zgodził się ze zdaniem większości obecnych, że ze strony Rosji. Ale po naradzie w poufnej rozmowie z pułkownikiem Glabiszem, (który wypowiedział się za większym zagrożeniem ze strony Niemiec) powiedział: „Musiałem was skrytykować, choć mieliście dużo racji. Przychylenie się do waszych wywodów na tak licznej zebraniu zostałoby przez panikarzy, nawet przy odrzuceniu waszych wniosków końcowych, źle rozumiane”.

(A propos, wydaje się, że brak planu wojny z Niemcami w naszym Sztabie Głównym nie wynikał z niedbalstwa ale z obawy Piłsudskiego, że w wypadku opracowywania takiego planu dowiedzą się o nim Niemcy i wykorzystają to dla oskarżenia Polski o zamiary wywołania wojny oraz jako pretekst do powiększania własnych zbrojeń).

3. Zdaniem Serwatki, Piłsudski w r. 1933 nie zamierzał wywołać wojny prewencyjnej i swoje twierdzenie uzasadniał brakiem dokumentów, potwierdzających zamiar Piłsudskiego. Dokumentów takich się nie znajdzie – ponieważ ich nie było: Piłsudski, doświadczony spiskowiec, doceniał wagę utrzymywania w tajemnicy swych zamiarów, nie wierzył w dyskrecję urzędów i nieraz zlecał ważne dyplomatyczne zadania zaufanym osobom (m.in. Sławkowi, Boernerowi, Jerzemu Potockiemu, Ludwikowi Morstinowi). Wobec tego jedynie we wspomnieniach uczestników tych wydarzeń możemy szukać świadectwa.

Wydaje się, że Serwatka nie czytał wydanych nie tak dawno wspomnień gen. Jarnuszkiewicza², który uchylił rąbka

2. „Wspomnienia generała Czesława Jarnuszkiewicza”, Warszawa 1996.

tajemnicy związanej z przygotowaniem Piłsudskiego do wojny prewencyjnej. Otóż autor, wówczas zastępca dowódcy Okręgu Korpusu w Warszawie, opisał jak na wiosnę 1933 r. Piłsudski wezwał na odprawę w twierdzy w Brześciu (dla zabezpieczenia tajności) dowódców Okręgów Korpusów lub ich zastępców, aby w rozmowach z każdym z nich sprawdzić stan liczebny wojska i przygotowań mobilizacyjnych, a to ponieważ z doświadczeń roku 1920 wiedział, że stan wojsk na papierze często odbiegał od rzeczywistego. Po ukończeniu tych raportów, zostaliśmy zebrani w ogólnej sali i po zaprzysiężeniu nas Marszałek Piłsudski ogłosił nam cel odprawy oraz swoją decyzję. Po zapoznaniu się bowiem ze stanem liczebnym wojska doszedł do przekonania, że stan czynny, bez uciekania się do mobilizacji, wystarczy mu, żeby się rozprawić z ówczesną armią niemiecką.

O zamiarach Piłsudskiego świadczą nakazywane przez niego incydenty, jak: na wiosnę 1935 r. samowolne powiększenie załogi polskiej na Westerplatte, mobilizacja wojska na Pomorzu, wielka defilada wojskowa w Wilnie, artykuł w oficjalnej *Gazecie Polskiej* zawierający groźbę, że „w sprawie ziem zachodnich Polska mówić może i będzie tylko głosem armat”, własnoręcznie napisany przez Piłsudskiego projekt powołania rządu koalicyjnego „na wypadek wojny z Niemcami”. Hitler uwierzył zamiarom Piłsudskiego i dokonał ustępstw na rzecz Polski zarówno w maju 1935 r. jak i w jesieni tegoż roku. Tylko Serwatka pozostał niedowiakiem.

Również nie wydaje się przekonującym inny argument Serwatki, mianowicie, że „mitowi wojny prewencyjnej zaprzecza logika i zasady globalnej polityki Piłsudskiego wobec Niemiec” (s. 143). Piłsudski oczywiście chciał porozumienia z Niemcami, ale nie był doktrynerem i po dojściu do władzy Hitlera i jego bojowych antypolskich oświadczeniach, doszedł do wniosku, że należy zdusić hitleryzm w zarodku, co było łatwo wykonalne, ponieważ stu pięćdziesięciu dywizjom francuskim, polskim i czeskim, Niemcy mogli wówczas przeciwstawić zaledwie pięć! (W r. 1936 Goering powiedział żonie wiceministra Szembeka: „Jeszcze trzy lata temu Francja nas mogła zdruzgotać”). Jednak mocarstwa zachodnie nie

chciały wojny prewencyjnej. Dlaczego? Wyjaśnił to Churchill w swoich wspomnieniach: „Lata 1932-1935 stanowiły jeden z tych okropnych okresów, zdarzających się w historii tego kraju, kiedy to szlachetny brytyjski naród upada niezwykle nisko, całkowicie tracąc poczucie rzeczywistości i cel swoich dążeń, kuląc się ze strachu przed grożącym z zewnątrz niebezpieczeństwem”. I Churchill konkludował: „Głupota rządu brytyjskiego, słabość rządu francuskiego nie miały chyba sobie równych”. W porównaniu z ówczesnymi przywódcami Francji i Wielkiej Brytanii, Piłsudski, zamierzający przy pomocy wojny prewencyjnej zdusić hitleryzm w zarodku – był prawdziwym mężem stanu. Szkoda że Serwatka tego nie rozumie.

4. Bezkrytycznie przytacza autor złośliwe słowa Piłsudskiego o cesarzu Wilhelmie II. Potwierdza to jak ten cesarz jest niedoceniany w Polsce. Uwielbia się Napoleona, choć ten będąc u szczytu władzy w Europie, ofiarował nam zaledwie Księstwo Warszawskie. Choć dla Wilhelma nie zdobywaliśmy Samosierry, nie ofiarowaliśmy Marysi Walewskiej, Piłsudski nie oddał mu do dyspozycji Legionów, on odsunął od władzy wroga Polski Bismarcka, uwolnił od Rosjan Kongresówkę, zerwał stuletnią zmoję zaborców i przywrócił Królestwu Polskiemu miejsce na mapach Europy.

5. Niesłusznie Serwatka nazywa Prusakiem Bogdana Hutten-Czapskiego, który wprowadzie do 1918 r. z przerwami pozostawał w służbie pruskiej i był dziedzicznym członkiem pruskiej Izby Panów, ale mianowany w r. 1915 przez cesarza doradcą Besselera odegrał pozytywną rolę przy tworzeniu Królestwa Polskiego, oraz uniwersytetu i politechniki w Warszawie a w latach dwudziestych ze swoich dóbr w Poznańskim utworzył fundację na rzecz obu tych uczelni. Był prezydentem polskiego Związku Kawalerów Maltańskich.



Reasumując, można książkę Serwatki ocenić najogólniej następująco. Autor nie zrozumiał, że wobec zagrożenia ze strony Rosji, Piłsudski uważał współpracę z Niemcami jako niezbędną dla zachowania niepodległości Polski. Książka

jednak wydaje się pożyteczną, ponieważ wynika z niej, że Piłsudski nie będąc germanofilem, był zwolennikiem współpracy z Niemcami.



WOJNA 1920 r. (UZUPEŁNIENIE RECENZJI)

W recenzji o tej książce¹ Z.S. Siemaszko napisał, że stanowi poważne osiągnięcie w odmalowaniu charakteru wojny 1920 r., tak różnego od poprzedzającej ją wojny światowej, oraz że sprawy międzynarodowe nie są jej najmocniejszą stroną. Po przeczytaniu tej recenzji niejeden czytelnik dojdzie do wniosku, że z książki tej niewiele nowego dowie się o wojnie 1920 r.

A jednak się dowie. M.in., że:

– W grudniu 1919 r. w Belwederze, w obecności szefa Sztabu Generalnego Stanisława Hallera i wiceministra spraw zagranicznych Władysława Skórzyńskiego, dyskutując rosyjskie propozycje pokojowe, Piłsudski powiedział: „(...) bolszewików trzeba pobić i to niedługo, póki jeszcze nie wzrosli w siłę. Trzeba ich zmusić do tego, aby przyjęli decydującą rozprawę i sprać ich tak, aby ruski miesiąc popamiętali. Ale, żeby to osiągnąć, trzeba ich nadepnąć na tak bolesne miejsce, aby nie mogli się uchylać i uciekać. Moskwa takim miejscem nie jest, Kijów i Ukraina to ich czuły punkt(...)”².

– To prawda, że Rosjanie na wiosnę 1920 r. znacznie wzmocnili swe wojska w bramie smoleńskiej, ale jak mogli działać inaczej, skoro wojska polskie ze 170 tysięcy żołnierzy na wiosnę 1919 r. wzrosły do 700 tys. na wiosnę 1920 r.

1. Z.S. Siemaszko: „Mieczysław Pruszyński o 1920 roku”, *Zeszyty Historyczne*, zeszyt 124; Mieczysław Pruszyński: „Dramat Piłsudskiego. Wojna 1920”; Warszawa 1995, wydanie drugie rozszerzone.

2. M. Pruszyński, *op.cit.*, s. 70.

mimo, że wojna z Ukraińcami się skończyła a Niemcy podpisali pokój w Wersalu, więc znikło zagrożenie od zachodu.

– Celem wyprawy kijowskiej było wykorzystać osłabienie Rosji wojną światową i domową, aby oderwać od niej Ukrainę i doprowadzić do rozkładu rosyjskiego imperium. Gen. Kutrzeba w 1937 r. w swej książce napisał, że celem wyprawy kijowskiej było narzucenie Rosji sowieckiej wojny w chwili dla niej najmniej wygodnej, i że Rosja przyjęła wojnę wbrew swojej chęci rychłego zawarcia pokoju i biła się z nami nieomal bez liczebnej przewagi sił. Zdaniem Kutrzeby Rosja pragnęła pokoju, władza jej nie była jeszcze utrwalona, ledwie Denikin był pobity, zjawił się Wrangel, wspomagany przez Francję. Na Ukrainie tliły się powstania (...)³.

– Mimo przewagi sił polskich na Ukrainie, ofensywa kijowska zakończyła się klęską. Dlaczego? Ponieważ nasi generałowie przeważnie nie umieli dowodzić a żołnierze strzelać.

– Nieprawdziwą legendą jest, że nad Wisłą odnieśliśmy zwycięstwo dzięki genialnemu planowi Piłsudskiego.

Pierwotny plan bitwy ustalony słynnym rozkazem Naczelnego Wodza z 5 sierpnia wobec zmiany sytuacji na froncie (gdy się okazało, że wojska rosyjskie okrążają Warszawę od północy), pod naciskiem generałów Rozwadowskiego i Weyganda uległ zmianie, mianowicie rozkazem z 10 sierpnia podpisanym przez Szefa Sztabu Generalnego za zgodą ale wbrew opinii Piłsudskiego, wzmocniono wojska broniące Warszawy a nie grupę uderzeniową Piłsudskiego nad Wieprzem. „Wyjeżdżałem z Warszawy do Puław pełen poczucia nonsensu i nawet pewnego wstrętu do siebie, że dla tchórzostwa i niemocy polskiej musiałem zaprzeczyć wszelkiej logice i wszelkim zdrowym planom wojny” – napisał po latach Piłsudski⁴. A więc niezupełnie zgadzał się z planem bitwy.

– Zamierzone przez Piłsudskiego wzmocnienie grupy uderzeniowej nad Wieprzem – kosztem osłabienia wojsk w rejonie Warszawy i Modlina o parę dywizji – niewątpliwie doprowadziłoby do upadku stolicy, gdy 13 i 14 sierpnia wojska rosyjskie przełamały ostatnią linię obrony, znalazły się o 13 kilometrów od mostów Warszawy a tymczasem zgrupo-

3. M. Pruszyński, *op.cit.*, s. 72.

4. M. Pruszyński, *op.cit.*, s. 218.

wanie naszych 7-8 najlepszych dywizji znajdowałoby się 120 km od pola bitwy. Powtórzyłaby się historia nieszczęsnej bitwy pod Maciejowicami, kiedy opóźnienie dywizji Pońskiego doprowadziło do przegrania bitwy i upadku Rzeczypospolitej.

– Mimo to nie ulega wątpliwości, że bez Piłsudskiego nie wygralibyśmy bitwy warszawskiej (o ile w ogóle by do niej doszło). Przecież marszałek Foch, najwyższy autorytet wojskowy owych czasów, odradzał kontrofensywę, powtarzając: powstrzymajcie odwrót, stwórzcie mocną linię obronną, uporządkujcie oddziały, a dopiero potem będziecie mogli pomyśleć o przeciwwuderzeniu. Piłsudski zdecydował inaczej: bezzwłocznie kontratakować. Miał rację. Dlaczego? Bo pędzące od Berezyny i Dniepru wojska rosyjskie doszły do Wisły w stanie pełnego wyczerpania: brakło żołnierzy, amunicji, zwłaszcza do karabinów maszynowych, ciężka artyleria ugrzęzła po drogach, nie dociągnęły do frontu pociągi pancerne (ważna broń w 1920 r.) i lotnictwo. Zalecane przez Focha opóźnienie naszej ofensywy umożliwiłoby Rosjanom ściągnąć uzupełnienia, które utknęły na torach kolejowych między Białymstokiem, Wilnem i Smoleńskiem. A Polacy zgromadzili już nad Wisłą wszystkie rozporządzalne rezerwy, więc nie mieliby czym się wzmocnić. Jednym słowem Piłsudski na miejscu lepiej ocenił sytuację, aniżeli Foch w Paryżu.

Po drugie: tylko Piłsudski mógł narzucić swą decyzję stoczenia bitwy nad Wisłą wbrew opinii Focha. Żaden inny generał, nawet gdyby podjął – nie potrafiłby zrealizować takiej decyzji. Przecież generał Dowbor-Muśnicki swą odmowę przyjęcia dowództwa południowego frontu skomentował: „Nie chcę słuchać Piłsudskiego i jego głupich rozkazów. Co za pomysł z tą bitwą”⁵. A generał Roja – dawny oficer Legionów – mianowany dowódcą 2. armii, zamiast objąć jej dowództwo, udał się do premiera Witosy i oświadczył, że uważa wojnę za przegraną, że należy odsunąć od dowodzenia Piłsudskiego, uwolnić z więzień komunistów i za ich pośrednictwem prosić Rosjan o pokój (!). Na szczęście dzięki sile charakteru, Piłsudski trzymał swych generałów twardą

5. M. Pruszyński, *op.cit.*, s. 186.

ręką. Po Warszawie krążył wówczas dowcip, że generał Rozwadowski bardziej się bał Piłsudskiego aniżeli bolszewików...

– Chyba żaden z historyków zajmujących się bitwą warszawską nie zwrócił uwagi na wprost nieprawdopodobną sytuację, że w ciągu kilku tygodni a nawet kilku dni poprzedzających bitwę, która miała zadecydować o losach Rzeczypospolitej, nastąpiły ogromne zmiany na najwyższych stanowiskach dowodzenia: nowy szef Sztabu Generalnego gen. Rozwadowski zastąpił gen. Stanisława Hallera, dowódcę frontu północnego, gen. Szeptyckiego zastąpił gen. Józef Haller, wobec odmowy gen. Dowbora-Muśnickiego dowództwo frontu południowego objął gen. Iwaszkiewicz, którego kilkanaście dni później zastąpił gen. Lamezan-Salins (teść przyszłego generała Bora). Stanowisko ministra spraw wojskowych po gen. Leśniewskim objął gen. Sosnkowski, a dowództwo przed tygodniem skłonej 5. armii objął gen. Sikorski i już parę dni później otrzymał rozkaz poprowadzenia jej do ataku...

– Wydaje się, że w ówczesnej sytuacji tylko cud mógł ochronić nas od klęski. I coś podobnego do cudu zdarzyło się ale nie pod Warszawą, tylko w Ciechanowie, gdy wypad na tyły nieprzyjaciela 203 ochotniczego pułku ułanów pod dowództwem znakomitego kawalerzysty majora Zygmunta Podhorskiego rozpedził na cztery wiatry kwaterujący w tym miasteczku sztab 4. armii rosyjskiej i wskutek zniszczenia jego radiostacji i utracenia łączności z dowództwem frontu, najbitniejsza z rosyjskich armii mimo rozpaczliwych iskrówek Tuchaczewskiego popędziła ku Toruniowi, zamiast wziąć udział w bitwie warszawskiej.

– I na zakończenie coś, z czego Polacy absolutnie nie zdają sobie sprawy, mianowicie, że zwycięstwo w wojnie 1920 r. zawdzięczamy przede wszystkim błędom rosyjskiego dowództwa, które rozciągnęło swe armie od Karpat po Toruń, a więc na przestrzeni około ośmiuset kilometrów, zamiast je skupić zgodnie z zasadą strategii Napoleona w miejscu decydującej bitwy, jak to uczyniło dowództwo polskie, dopuszczając nawet możliwość utraty Lwowa. Do niewłaściwych decyzji rosyjskiego dowództwa przyczyniły się interwencje przywódców partii komunistycznej: Stalina, który jako polityczny komisarz frontu południowo-zachodniego,

opóźnił wymarsz armii konnej Budionnego spod Lwowa do Warszawy i komisarza do spraw wojny Trockiego, który domagał się od Tuchaczewskiego, aby pędził na Warszawę, nie zważając na braki zaopatrzenia i uzupełnień.

Rosjanie nie mieli wątpliwości, że „mała” Polska pokonała „wielką” Rosję wskutek błędów jej dowódców. Rekryminacje Stalina, Trockiego i wielu innych, zwłaszcza za kulisami, były tak gwałtowne, że Lenin na rok przed śmiercią zakazał wałkowania sprawy odpowiedzialności za poniesioną klęskę.

– Kończące wojnę zawieszenie broni w Rydze zostało podpisane przez delegację sejmową – wbrew woli Naczelnika Państwa i Naczelnego Wodza. Piłsudski chciał kontynuować wojnę, aby osiągnąć zamierzony cel polityczny: oderwać Ukrainę od Rosji. Nie udało mu się to, bo naród pragnął wreszcie pokoju i dotychczasowi sprzymierzeńcy polityczni odmówili poparcia.

Na uwagę zasługuje stanowisko Francji i W. Brytanii wobec zawieszenia broni w Rydze. Rządy obu tych krajów wysunęły zastrzeżenia, ale sobie przeciwstawne. Francuzi domagali się kontynuowania ofensywy, aby zapewnić zwycięstwo Wrangla – sprzymierzeńca Francji, Brytyjczycy zaś domagali się wycofania wojsk na linię Curzona...

– A Piłsudski? 3 grudnia w czasie podwieczorku w dowództwie 2. Armii Śmigłego-Rydy na Wileńszczyźnie – zadał biesiadnikom pytanie: „Co ma obecnie uczynić armia polska, stojąca niezdemobilizowana wzdłuż granicy sowieckiej, która nie jest jeszcze ustalona traktatem pokojowym i mającą przed sobą pobitą nie tak dawno przez nas armię sowiecką i całkowicie wyniszczoną Rosję?”

Odpowiedzi posypały się jak z rękawa, ale żadna nie znalazła uznania. Wtedy marszałek powiedział: „Powinniśmy ponownie zająć Kijów i Mińsk, aby móc połączyć federacją czy też unią z Polską, całą Ukrainę, Białoruś i Litwę. Niestety zrobić tego obecnie nie jestem w stanie. Polska tego nie chce, obce są jej idee jagiellońskie, a ponadto Polska jest bardziej wyczerpana długą wojną, wojsko nasze jest bardzo przemęczone i... biedne. Nie, nie możemy tego zadania podjąć”.

– Rozmawiając zimą 1924/25 r. z Januszem Głuchowskim, Piłsudski powiedział: „Wy tej Polski nie utrzymacie. Ta burza, która nadciąga jest zbyt wielka. Obecna Polska zdolna jest do życia tylko w jakimś szczęśliwym, złotym okresie dziejów (...) ja przegrałem swoje życie (...) Nie udało mi się powołać do życia dużego związku federacyjnego, z którym świat musiałby się liczyć”⁶.

Jak z tego, co wyżej napisano wynika, omawiana książka o wojnie 1920 r. i dramat Piłsudskiego, bynajmniej nie ogranicza się do odmalowania charakteru tej wojny, ale zawiera wiele nowych, istotnych na ogół, lub zupełnie nieznanych informacji. Można powiedzieć, że wyraża nowe spojrzenie na tę wojnę, właściwą ocenę, której przez wiele lat utrudniały przeróżne względy polityczne.

Mieczysław PRUSZYŃSKI

6. M. Pruszyński, *op.cit.*, s. 304.

Piotr WANDYCZ

KRYTYKA I POCHWAŁA

Przykro jest krytykować książkę, której użyteczność nie podlega dyskusji, a której przygotowanie niewątpliwie wymagało wiele czasu i wysiłku. Mam tu na myśli ponad 400 stron liczący tom pt. *Historical Dictionary of Poland 1945-1996* autorstwa Piotra Wróbla, opracowany z pomocą edytorską Anny Wróbel. Wydawcą jest Greenwood Press, Westport, Connecticut, rok wydania 1998. Książka ta stanowi dalszy ciąg słownika o identycznej nazwie obejmującego okres od

1966 do 1945 r., pióra Jerzego Lerskiego, który ukazał się dwa lata temu, już po śmierci Lerskiego, z uzupełnieniami P. Wróbla i R. Kozickiego.

Podczas gdy wybór haseł do tysiąca lat dziejów Polski musiał z natury rzeczy być nieco dowolny i arbitralny, okres pięćdziesięcioletni mógł być w miarę możliwości dość wyczerpujący. Nie chcę być źle zrozumiany, gdyż oczywiście i tu wchodzi w grę selekcja, aby zmieścić maksimum informacji na czterystu stronach. Selekcja ta jednak winna być bardzo rygorystyczna, z uwzględnieniem głównych źródeł. I tu nasuwają mi się pierwsze wątpliwości. Czy poza różnymi polskimi *who's who* nie należało sięgnąć po takie źródła jak spisy nagród Fundacji Alfreda Jurzykowskiego, zwanych z pewną przesadą polskim Noblem? Czy w takiej dziedzinie jak historia -- specjalność autora i recenzenta -- nie należało sprawdzić listy Komitetu Nauk Historycznych PAN-u, który w swoim czasie podała *Polityka* pod tytułem *Ranking historyków polskich*? Jeśli chodzi zaś o emigrację to przydatnym źródłem byłby m.in. *Pamiętnik Literacki*, który drukował krótkie biograficzne czy autobiograficzne pozycje wybitniejszych osób. Nie twierdzę, że objęcie tych źródeł kwerendą, dałoby gwarancję właściwej selekcji i większej równowagi w zapisach, ale pozwoliłoby uniknąć „białych plam”, które są tu dość rażące.

Autor, profesor historii, który rozpoczął swą karierę naukową w kraju, a otrzymał niedawno katedrę na uniwersytecie w Toronto, jest w korzystnej pozycji znawcy tak historiografii emigracyjnej jak i krajowej. Tym bardziej więc zaskakujące są braki i opuszczenia. Czytelnik anglojęzyczny, a do niego głównie jest ten tom adresowany, może się zdziwić, że nie ma na Zachodzie historyków polskich, którzy zasługiwaliby na umieszczenie w tym słowniku. A przecież są między nimi członkowie PAN i PAU, wyróżnieni doktoratami honoris causa i wysokimi odznaczeniami państwowymi. Ograniczę się tu do wymienienia dwóch nazwisk: prof. Karoliny Lanckorońskiej, której wkład do historii i kultury polskiej jest tak wielki, a jej działalność publiczna tak ważna, że potraktowanie jej jako „non-person” jest zaskakujące. Wybitnym historykiem myśli politycznej o wysokim standingu w Kraju,

a od lat aktywnym na Zachodzie, jest profesor Uniwersytetu Notre Dame, Andrzej Walicki. Trudno mi uwierzyć, że autorowi jest obce to nazwisko.

Jeszcze trudniej wybacalne jest opuszczenie nazwiska Juliusza Mieroszewskiego, którego wpływ na Kraj jest coraz bardziej i szerzej podkreślany. Skoro jego nie ma, dziwimy się już mniej, że autor nie zauważył Wacława Lednickiego, Wiktora Weintrauba, a z publicystów i dziennikarzy Wojciecha Wasiutyńskiego czy Bolesława Wierzbiańskiego.

Ale, powiedzmy, że Piotr Wróbel uważał, że nazwiska emigracyjne są mniej ważne. Spójrzmy zatem na historyków w Polsce. Zabrakło tu Józefa Andrzeja Gierowskiego, który poza dorobkiem naukowym, był wieloletnim rektorem Uniwersytetu Jagiellońskiego i pełnił inne ważne funkcje publiczne, nie ma Emanuela Mateusza Rostworowskiego najwybitniejszego może specjalisty ery stanisławowskiej i wieloletniego redaktora *Polskiego Słownika Biograficznego*. Nie ma też jego brata, Marka, który poza innymi ważnymi funkcjami jakie pełnił, był także ministrem. Jednocześnie w tomie Wróbla znajdziemy różne postacie z życia publicznego (*nomina sunt odiosa*), które zasługują na zamieszczenie w książce telefonicznej raczej niż w słowniku dziejów Polski. Nie wymienieni są natomiast różni inni uczeni, pisarze (np. Gołubiew), malarze (Rodziński, Nowosielski), historycy sztuki (Białostocki) a z łatwością można by tu dodać przynajmniej z pół tuzina nazwisk. Być może, że oznaczałoby to dodatkowych kilka czy kilkanaście stron, choć niektóre z istniejących haseł, (figurujące w anglojęzycznych słownikach jak Stroynowskiego, *Who's who in the Socialist Countries of Europe*) można by opuścić sygnalizując je tylko w przypisach.

W niektórych wypadkach zadziwia brak proporcji pomiędzy poszczególnymi hasłami. Czy doprawdy dla dziejów Polski Stan Tymiński jest tak ważny, aby jego biogram był sporo dłuższy od biogramu Jerzego Turowicza? Czy poświęcenie 24 wierszy Antoniemu Macierewiczowi a 8 ks. Józefowi Tischnerowi (z tym, że część wiersza zajmuje informacja, że Tischner przyjaźni się z Michnikiem) odpowiada zdaniem autora znaczeniu i pozycji ich obu w dziejach Polski? Naprawdę przykro jest wysuwać tego rodzaju krytyki pod adresem kolegi

historyka, autora poważnych prac, odznaczającego się erudycją i szeroką gamą zainteresowań, ale miejmy nadzieję, że uwzględni je przy jakimś następnym wydaniu tej książki.

Tym chętniej więc przechodzę od krytyki do pochwały, a obiektem tej ostatniej jest powstałe w 1991 r. Wydawnictwo Kurpisz w Poznaniu. Jest ono przykładem poznańskiej a właściwie nawet ogólnopolskiej *success story*. Rozpoczynając w praktyce z niczego – a po dziś dzień jest to jeden z domów wydawniczych w którym nie ma kapitału zagranicznego – małżeństwo Kurpiszowie i dyrektor wydawnictwa Kazimierz Grzesiak potrafili stworzyć ogromną i prosperującą firmę. Opierając się na systemie subskrypcji (jakkolwiek ma już teraz pięć własnych księgarni) których liczba wzrosła z 10 do 300 tysięcy abonentów, Wydawnictwo ma własny dom wyposażony w najnowocześniejszą komputeryzację oraz osiemdziesięciu sześciu pracowników etatowych. Specjalizując się w publikowaniu dzieł o charakterze encyklopedycznym, Wydawnictwo Kurpisz ma na swym koncie wznowioną przedwojenną *Encyklopedię Gutenberga*, *Wielką Encyklopedię Geografii Świata* (wydano 11 z 22 tomów), *Leksykon Sztuki Polskiej XX Wieku*, *Wielką Historię Powszechną* (reprint), *Praktyczny Słownik Współczesnej Polszczyzny*, oraz luksusowo wydane dwie pozycje Mariana Kukiela, odbiegające od profilu wydawniczego, ale odpowiadające zainteresowaniom dyrektora.

Bieżącym przedsięwzięciem, które chyba nie jest znane czytelnikom „Kultury” a w pełni na to zasługuje, to polskie wydanie *Encyclopaedia Britannica*. Współpracując ściśle z redakcją tejże encyklopedii, Kurpisz wydał już siedem tomów, przetłumaczonych z niezwykłą starannością (czasem korygując błędy oryginału) i o bardzo dobrej szacie graficznej. Jednocześnie wydaje Britannicę – Encyklopedię Szkolną, której ukazało się osiem tomów. Jest to gigantyczna operacja, którą, poza redakcją nadzoruje naukowy komitet doradczy, i która zatrudnia w formie tłumaczy, autorów dodatkowych haseł, recenzentów itp. ponad dwieście sześćdziesiąt osób. Autor niniejszej notatki, który miał okazję niedawno zapoznać się z Wydawnictwem Kurpisz i procesem wydawniczym Encyklopedii jest pod wrażeniem całego przedsięwzięcia i podziwem dla inwencji i zdolności organizacyjnych zespołu. Być może,

że Poznań – *nota bene* kwitnący gospodarczo – nie jest typowy dla Kraju, ale tego typu inicjatywy napawają otuchą i mogą być odtrutką na stale – jekże typowo polskie – narzekania i frustracje, z którymi tak często się spotykamy.

Piotr WANDYCZ

Józef LEWANDOWSKI

ROSJANIE O EUROPIE WSCHODNIEJ I POLSCE

Przesady nie są rosyjskim przywilejem, więc zdaję sobie sprawę, że duża część obywateli III Rzeczypospolitej ma w głowie niezgorszy mętlik pojęć w sprawach dawnej i nowej Rosji, na ten temat istnieje pewna ilość sensownych badań i wypowiedzi. Nie znam aktualnych rosyjskich badań, ale wiadomo, że przeciętny obywatel obecnej, posowieckiej Rosji, kładzie się wieczorem spać pełen przesądów na temat zagranicy, bliskiej i dalekiej, i z tym samym mętlikiem wstaje rano i idzie do pracy. Szczególnie – informowali mnie rosyjscy koledzy – przesady panują w sferze poglądów na Polskę i Polaków.

Ów mętlik w rosyjskich głowach jest przede wszystkim wynikiem wieloletniej indoktrynacji. Historia nie była jej jedynym narzędziem, ale była narzędziem ważnym i – jak widać – skutecznym, sączenie jadu przeciwko czyhającym na zgliszcze Rosji „obcym”, było najsilniejszym, obok policji politycznej, spoiwem Związku Sowieckiego. Marksizm-leninizm dawno się skompromitował, natomiast z wykładu historii zawsze co nieco pozostawało w umysłach. Goebbels uczył podwładnych łągać ile się da, bo zawsze coś z tego przyłgnie. W Rosji przyłgnęło sporo.

W ZSSR historia – pisze redaktor *Dwiżenija* W.W. Mar'jina – „... zideologizowana i upolityczniona, zawierała liczne falsyfikacje, użyteczne dla rządzących reżymów komunistycznych. Wiele aspektów [ruchu oporu] ujmowano bezmyślnie szampowem, wedle utartej tradycji, jako rzeczy samo przez się zrozumiałe, jako aksjomaty” (*Dwiżenije*, s. 4). Z tych półprawd i półkłamstw nie tak łatwo się otrząsnąć.

Nie wszystko bowiem da się wytłumaczyć sowiecką indoktrynacją. Narzucony obraz otaczającego ZSSR świata przeciętnemu Rosjaninowi nakładał się na głęboko zakorzenione fobie. Przed wiekiem Paweł Milukow dowiódł, jaką rolę w kształtowaniu się rosyjskiego poczucia narodowego odgrywała ksenofobia. „Zgniły Zachód”, tudzież czyhający na zgubę Rosji „podstępny, zdradziecki (a też i chępliwy, czwanliwy) Lach”, bodajże czy nie najbardziej upowszechnione stereotypy sowieckie, ukształtowały się trzysta lat przed „przodującym ustrojem”.

Otwierająca się na świat Rosja musi zrewidować kunsztowny gmach wiedzy historycznej. Łatwo powiedzieć, trudniej wcielić w życie.

(W tym kontekście może warto odnotować rozmowę w zamkniętym gronie, w 1962 roku w Warszawie, z szefem sowieckiego wojskowego instytutu historycznego, gen. Bołtinem. Brali w niej udział profesorowie Herbst, Woliński, Tomkiewicz i jeszcze ktoś, i ja najlepiej w tym gronie władający rosyjskim. Na delikatny zarzut, że kolejny tom redagowanej przezeń „Istorii Wielikoj Otieczestwiennoj Wojny” zawiera zdania mijające się z rzeczywistością, właśnie w sprawach związanych z Polską i ruchem oporu, Bołtin bez żenady powiedział, że zdaje sobie sprawę, że redagowane przezeń dzieło zawiera zwykłe kłamstwa, że tych kłamstw jest o wiele więcej niż przytaczamy i że on doskonale zdaje sobie z nich sprawę, lepiej od nas. Ale proszę zwrócić uwagę – ciągnął nasz rozmówca – z ilu kłamstw potrafiliśmy się wyplątać. Przywracanie prawdy wymaga cierpliwej działalności. A czy nie zdajemy sobie sprawy, ile wysiłku kosztuje przełamywanie oporu decydentów w każdej takiej sprawie?)

Tu na warsztat biorę trzy różne prace wydane w ostatnich latach, podejmujące próbę kształtowania świadomości

historycznej, co prawda nie przeciętnego Rosjanina, ale interesującej się światem inteligenckiej elity. Pierwsza praca to kompendium, druga jest zbiorem referatów prac badawczych, trzecia jest edycją dokumentów. Nas będzie interesować głównie sposób przedstawienia spraw polskich. Również zagadnienia związane z innymi krajami zasługują na uwagę, ale wymagają szczególnego wprowadzenia i o wiele więcej miejsca niż Redaktor *Zeszytów* może mi udzielić.



Zacznijmy od wydanego w 1995 kompendium o „ruchu oporu w środkowej i południowo-wschodniej Europie”. Mimo słuszných założeń zawartych w przedmowie nie jestem nim zbudowany. Kilka przykładów: zajęcie Czech i Słowacji przez Niemcy 14-15 marca 1939 ponoć napotkało na „aktywne potępienie dyplomatyczne tylko ze strony Związku Sowieckiego, podczas gdy mocarstwa zachodnie zdobyły się tylko na ‘miękkie’ protesty” (s. 12). Jest to powielanie kłamliwego sowieckiego frazesu. Rzeczywistość była zgoła inna. Właśnie w dniach, gdy Hitler wkroczył do Pragi, Stalin złożył Hitlerowi propozycję współpracy, która w sierpniu zaowocowała paktem Ribbentrop-Mołotow.

Co prawda Mołotow i Ribbentrop zawarli jakiś pakt, do którego były dołączone jakieś tajne załączniki, przewidujące „podział sfer interesów”, ale nie wyjaśnia się, co to znaczy w tłumaczeniu na ludzki język, maluczcy nic nie rozumieją. Sprawa istotna dla zrozumienia zasadniczych problemów ruchu oporu w Europie. Stwierdzenie, że „obaj dyktatorzy, ‘brunatny’ i ‘czerwony’ zamierzali ‘przechytryć’ jeden drugiego” (s. 13) mimo, że stawia Stalina na jednej płaszczyźnie z Hitlerem, ale jest usprawiedliwieniem sowieckiego imperia- lizmu, szczególnie wyraźnego właśnie po zawarciu paktu.

W zespole autorów *Dwiżenija* Polską zajmuje się V.S. Parsadanowa. Polski czytelnik kojarzy ją z rzeczowymi (cyto- wanymi w kraju) artykułami o deportacjach 1939-1941 i o Katyniu. W omawianej publikacji brak nawet wzmianki o deportacjach i o wymordowaniu polskich oficerów. Kazus tak szczególnie, że nie potrafię go wytłumaczyć. Czy można

jednak bez ujawnienia deportacji i morderstw opisać ruch oporu w Polsce?

Dla równowagi chyba Parsadanowa zrezygnowała i z opisu niemieckich zbrodni. Wybaczę, że 80% polskich Żydów Parsadanowa zakwalifikowała jako burżuazję, ma to niewiele do rzeczy w tej pracy, natomiast trudno usprawiedliwić pominięcie Zagłady jak i Powstania w Getcie Warszawskim. Te „przeoczenia” mieszczą się w syndromie sowieckiej „metodologii” dziejów, uparczywie nie dostrzegającej Żydów.

Niemal co strona zdania, powodujące że nie dowierzam własnym oczom. Stronnictwo Ludowe ponoć dążyło do wyłącznej władzy w odrodzonym państwie i w tym celu stworzyło Bataliony Chłopskie. Ruch oporu na terenach zajętych w 1939 r. przez ZSSR ponoć dlatego nie rozwinął się, bo nie miał oparcia społecznego. Sąd ten Parsadanowa podpira cytata z londyńskiego wydania „Armii Krajowej”. Sprawdziłem (s. 82), w publikacji na którą się Parsadanowa powołuje, stwierdzenie wręcz przeciwne, właśnie masowe represje, zwłaszcza deportacje, uniemożliwiały działalność ZWZ. Parsadanowa rolę represji neguje, a represje są przez nią enigmatycznie określone jako „operatywność”. Przykładów mijania się z prawdą jest więcej. Ponoć od rządu RP na emigracji nawet PPS się odwróciła, a rząd Sikorskiego był konsekwencją ugody z piłsudczykami i OZON-em. Nie widzę również sensu dowodzić, że autorka niewiele zrozumiała ze szczególnego klimatu, w jakim kształtował się ruch oporu.

Wokół ruchu oporu nadal toczą się dyskusje a nauka nie wypowiedziała tzw. ostatniego słowa. Zamiast ferować werdykty, byłoby lepiej, gdyby autorka przedstawiła podstawowe poglądy i dała czytelnikom możliwość powzięcia własnego zdania. No, ale to wymagałoby przełamania właśnie tej sowieckiej mentalności, o którym pisze się we wstępie.



W zupełnie innej „poetyce” utrzymany jest zbiór rozpraw „Represje wobec Polaków i polskich obywateli”, wydanych przez Towarzystwo „Memoriał”. Przypomnijmy, że Towarzystwo zostało założone w 1985, przez intelektualistów sku-

pionych wokół Andrieja Sacharowa, a jego zadaniem jest walka przeciw totalitaryzmowi. Większość rozpraw przedstawiono na konferencji w 1994 polskiego ośrodka „Karta”. Niektóre referaty już opublikowano w Polsce. Autorzy związani są z „Memoriałem”, ale jeśli właściwie odczytałem skróty, niektórzy pracują w Akademii Federalnej Służby Bezpieczeństwa, w archiwum wojskowym, w Instytucie Historii Powstaniej RAN.

W.N. Chaustow pisze o „prehistorii represji masowych przeciw Polakom w połowie lat 30-tych”. Sowieckie kierownictwo zawsze oceniało Polskę jako „dywersyjny i agresywny przyczółek europejskich mocarstw”, ale Polska w sobie też była traktowana jako niebezpieczny przeciwnik, „wyprawa kijowska polskiej armii w 1920 r. była tak samo rzeczywistością, jak wojska Tuchaczewskiego pod Warszawą” (s. 10). Polskie niebezpieczeństwo – zdaniem Chaustowa – było jednak potężnie wyolbrzymione, zwłaszcza wyimaginowana działalność dywersyjna i wywiadowcza. „Poczynając od 1929 r. wielu polskich komunistów w ZSSR na stanowiskach w partii, wojsku i administracji sowieckiej oskarżano o przynależność do tzw. Polskiej Organizacji Wojskowej, a w 1933 r. na tej podstawie dokonano pierwszych aresztowań. Resztę aresztowano w 1937”.

Chaustow wyjaśnia, że POW po wojnie nie istniała a rzekome członkostwo w tej organizacji było tylko pretekstem do rozprawy z polskimi komunistami. W grudniu 1935 Biuro Polityczne WKP(b) podejmuje decyzję o likwidacji „okien” NKWD na granicy sowiecko-polskiej służących potrzebom KPP, KPZ Ukrainy i KPZ Białorusi – uznano, że są sposobem przenikania szpiegów i dywersantów do Sowietów. Komuniści z Polski znaleźli się w pułapce. Było ich ok. 1200, głównie w Moskwie i na Ukrainie, pracowali w przemyśle zbrojeniowym, w Kominternie, w aparacie partyjnym, w prasie.

Chaustow korzystał m.in. z papierów Jeżowa, Akułowa, Galickiego, Gaja i innych szefów policji. Czy wykorzystał wszystkie materiały? Uderza brak pewnych nazwisk, nie tylko ulubieńca Swietłany Allilujewej, „wujka Józia”, ale i innych. Z rozmów z Teodorą Feder wiem, że sprawami polskimi w

GPU zajmował się jakiś Hubertus (*vel* Gubertus), członek POW, który zbiegł w 1919 na sowiecką stronę. Polscy komuniści z racji peowiackiej przeszłości go nie lubili, ale Dzierżyński „ręczył zań głową”, Hubertus to pseudonim, ale jak się doprawdy zwał? Koincydencja wskazywałaby na Steckiewicza, też podporucznika POW, który zastrzeliwszy kolegę zbiegł na sowiecką stronę i zrobił karierę. Wedle Feder, Hubertus kierował likwidacją polskich komunistów, po czym sam *popał w miasorubku*. Ale Steckiewicz – dowiaduję się z innych źródeł – zginął w 1938 r. w walkach sowiecko-japońskich nad Amurem.

I jeszcze jedna uwaga: autor wie o procesach 1933/34 roku przeciwko Sochackiemu, Żarskiemu, Skarbkowi, preludium represji nie tylko wobec komunistów ale zagłady polskiej ludności w ZSSR, ale o nich skąpo. Czy dotychczasowe badania będą kontynuowane, czy archiwalia będą dostępne? Pytanie dotyczą całości przedstawionego materiału.

N.W. Pietrow i A.B. Roginskij zajęli się „polską operacją” NKWD w latach 1937-1938”, akcją już nie przeciw komunistom polskim, ale przeciw wszystkim Polakom w ZSSR. Podjęta została na mocy rozkazu Jeżowa Nr 00485 NKWD wydanego 11 sierpnia 1937, będącego realizacją uchwały politbiura 9 sierpnia 1937. Uchwała i rozkaz były innowacją nawet w praktyce sowieckiej. Nawet enkawudziści byli zaskoczeni:

Aczkolwiek w rozkazie była mowa nie o Polakach, a o polskich szpiegach, to jednak z tekstu wyraźnie wynikało, że w sferze podejrzeń znajduje się cała polska ludność ZSSR, co źle łączyło się z oficjalnymi hasłami proletariackiego internacjonalizmu. Na domiar wśród pracowników NKWD było wielu Polaków. Zdziwienie budziły również poszczególne sformułowania o kategoriach osób, które miano aresztować, jak np. wszyscy, którzy przeszli na stronę sowiecką [w czasie działań wojennych] lub wszyscy byli jeńcy wojenni. Nie ci, co byli podejrzani o wrogą działalność, ale dosłownie wszyscy (s. 23).

30-to stronicowy tekst rozkazu był ekscytującym opisem działań polskiego wywiadu:

Działalność była sterowana przez POW wraz z Oddziałem II polskiego Sztabu Głównego. Agenci POW już od dawna przejęli

kierownictwo KPP i polskiej sekcji Kominternu, przeniknęli też do wszystkich ogniw sowieckiego aparatu, włącznie z narkomatem spraw zagranicznych, NKWD i armią. Z ich pomocą pod płaszczykiem emigracji politycznej, wymiany więźniów i ucieczek przemycano do ZSSR tysiące nowych agentów, którzy utworzyli mnóstwo grup szpiegowsko-dywersyjnych, do których werbowano głównie miejscową ludność polską. Kierował całą siecią moskiewski ośrodek, jednak poszczególne grupy lub ludzie byli związani z Warszawą bezpośrednio lub za pośrednictwem konsulatów polskich (s. 23).

Kierownictwo sowieckie zdecydowało się wytepić polską ludność, niezależnie od sympatii politycznych, pochodzenia społecznego, udziału lub nieudzielania się w tzw. życiu społecznym, wieku, płci i wszelkiej innej klasyfikacji. To było ludobójstwo. Dyrektywy były wzorcem nieco późniejszych dyrektyw wobec innych mniejszości, przede wszystkim Rumunów, Łotyszy, Finów. Zainteresowanych szczegółami zmuszony jestem skierować do omawianej publikacji. Tu ograniczę się do kolejnej cytaty:

Odsetek rozstrzelanych na mocy „polskiego” rozkazu jest wyższy [niż odsetek rozstrzelanych w ogóle]. Na mocy rozkazu rozpatrzono sprawę 143.810 osób, skazano 139.835, w tym na rozstrzelanie 111.091, co wynosi 77,25% spraw i 79,44% skazanych (s. 33).

Kilka uwag. Przypomnę nieskromnie, że pierwsza po II wojnie informacja o zagładzie Polaków w ZSSR ukazała się w 1966 r. w *Zeszytach Historycznych* nr 10, byłem jej autorem. Tekst, oparty o rozmowy z Polakami ocalałymi z eksterminacji, nie wzbudził w kraju zainteresowania. Jak zorientowałem się, *Zeszyty Historyczne* nie cieszyły się u krajowych historyków poczytnością. Więż między Polakami w ZSSR a Polakami w kraju była też już w latach 30-tych rozluźniona, a po wojnie uległa dalszej dewastacji. Do świadomości eksterminacja dotarła kilka lat później za sprawą publikacji warszawskiej *Polityki* i książki Mikołaja Iwanowa „Pierwszy naród ukarany”, cennej, przez jej szeroki rezonans społeczny, choć obarczonej wieloma słabościami. Pozwolę więc upomnieć się o swój ponury prymat.

Druga uwaga: Autorzy zainteresowali się tylko wyrokami i rozstrzelaniami. Obok tego jednak były i inne formy represji. Nie wszystkich Polaków (i jak autorzy słusznie piszą:

polских obywateli) rozstrzelano. Wędrując w latach 1939-1944 po Związku Sowieckim, a później w „Ludowym Wojsku Polskim”, napotykałem co krok Polaków, zesłanych w 1937 na Syberię i do Kazachstanu. Polacy ginęli tam z głodu, chłodu, chorób. Część tych, którzy w jakiś sposób uchylili się przed represjami, w dużej mierze zapełniła kadry Ludowego Wojska Polskiego. Jeden z nich, gen. Melenas, opowiedział mi w 1965 r. o strachu, gdy zorientował się w 1943, że odkryto jego polskość i skierowano do 1 DP.

O zesłańcach: było ich ponoć ponad 300 tys. Ich resztki to kazachstańscy Polacy.

Praca S.G. Filippowa traktuje o „działalności sowieckiej partii komunistycznej na terenie zajęтым w 1939 przez ZSSR”. Uzupełnia ją praca O.A. Gorłanowa i A.B. Rogińskiego o „aresztach na tym terenie” oraz A.E. Gur’janowa o „polskich specprzesiedleńcach w ZSRR w l. 1940-1941”. Jeśli chodzi o publikację Filippowa ograniczę się do przedstawienia rozdziałów, a więc o aparacie zarządzania; o planowaniach masowych deportacji i ich realizacji, o paszportyzacji, wyborach, o nacjonalizacji i kolektywizacji, polityce kulturalnej. Opisane drastycznie, z „kwiatkami” i z dobrą bazą materiałową.

Na podstawie archiwów NKWD Gorłanow i Rogiński obliczyli, że w 1939 r. aresztowano 18.260 osób, w 1940 – 69.517, a za dwa pierwsze miesiące 1941 (później brak dokumentacji) 4.723. Polacy stanowili 44% aresztowanych, Żydzi – 25%, Ukraińcy – 23%, Białorusini – 8%. Materiał wywraća famę, że represje spadały tylko na Polaków.

Polskie aproksymacje są tu o wiele większe. Kilka słów o tej kontrowersji. Gur’janow oparł się o archiwalia *konwojnych wojsk* NKWD, zajmujących się deportacją. Deportowano czterokrotnie, 10-go lutego, 13-go kwietnia i 29 czerwca 1940 oraz w maju i czerwcu 1941. W sumie wysiedlono ponad 270 tys. osób, około 60% z nich stanowiła ludność osiadła na zajętych terenach, w tym 82-83% Polacy, 40% – uchodźcy, wśród nich 82-84% Żydzi. Do tego należy dodać ofiary czwartej deportacji, tuż przed wojną niemiecko-sowiecką. Gur’janow dokonał rzetelnego obliczenia („Skala deportacji w głąb ZSSR w maju-czerwcu 1941”), z którego wynika, że jej ofiarą padło między 34.000 a 44.000 polskich obywateli.

teli. Razem więc deportowanych było 314-324 tys. Jak podaje również N.S. Lebediewa, z materiałów NKWD wynika, że w dniu 1 sierpnia 1941 na terenie ZSSR znajdowało się razem 381 tys. polskich więźniów i deportowanych, w tym deportowanych i ich rodzin – 335 tys.

Przypomnijmy, że wedle polskiej ambasady w Kujbyszewie, w ZSSR znalazło się ok. 1,5 miliona polskich obywateli, ale w to wchodziły kategorie nieuwzględnione w obliczeniach Memoriału: zmobilizowani do Armii Czerwonej, do *strojbatów*, i wreszcie dwie chyba najliczniejsze kategorie – uchodzący wraz z Sowietami przed Hitlerem oraz kilkuset-tysięczna rzesza uchodźców, bardziej lub mniej przymusowo zwerbowanych do pracy w głębi ZSSR. Mimo to, polskie aproksymacje (ja też się na nich opierałem) chyba nie oprą się źródłowej krytyce.

Cytowani autorzy publikują również ciekawy materiał, ilustrujący strukturę społeczną deportowanych a również katorżnicze warunki pracy i egzystencji. Na pewno wzbudzą zainteresowanie badaczy dotychczas nieznane materiały o dwóch buntach deportowanych, pierwszy – w lutym 1941 w posiołku Tajga w Nowosybirskiej *oblasti*, drugi – 28 lipca 1941 w Omsku. Ten drugi został stłumiony przy użyciu 120 milicjantów (s. 132, 133). Zdaje się, że było ich więcej.

N.S. Lebediewa zajęła się sowieckimi materiałami dotyczącymi II Korpusu, czyli armii Andersa. Anegdotyczny i narracyjny materiał, jakim dysponowała, wymagałby konfrontacji z polskimi opracowaniami, to jednak przekracza ramy recenzji. Należy sądzić, że w wielu sprawach opracowanie Lebediewej będzie pokrywało się z tym, co już wiadomo, ale tekst pozwoli zroźnicować szczegółowe ujęcia. Znajdą się i pewne smaczki.

Propaganda sowiecka głosiła, że wraz z powstaniem PRL nastąpiła nowa era w stosunkach polsko-rosyjskich. I rzeczywiście, zaczął się nowy rozdział w historii nie tylko represji, ale podporządkowania Polski. Wiadomo o tym dość dużo, jednak badania Memoriału dostarczają nowy materiał. P.A. Aptekar' z archiwum wojskowego zajął się działaniami wojsk wewnętrznych NKWD przeciwko polskiemu podziemiu. Czytelnik chyba zwrócił uwagę na zbiór materiałów Albiny

Noskowej o działalności NKWD przeciw podziemi, recenzowany w *Zeszytach Historycznych* Nr 121/1997. Aptekar' korzystał z innych materiałów niż Noskowa, ich badania wzajemnie się uzupełniają...

Dwa ostatnie rozdziały to praca zespołowa, głównie pracowników już wymienionego archiwum wojskowego, przedstawiająca transporty kolejowe Polaków, deportowanych w głąb ZSSR. Badacza zainteresuje informacja o zasobach archiwalnych. Zaslugują na pochwałę sensowne schematy, wykazy, tabele, włącznie z rozkładami ruchu pociągów, wiozących na wschód, na północ.

Autorzy „Represji protiv poliakow” unikają uogólnień, wnikania w tło wydarzeń, starają się po prostu jak najrzetelniej przedstawić dokumentację. Rzadko wyrażają sądy moralne, choć nie ma wątpliwości, po czyjej stronie są ich sympatie. Powściągliwość ma na celu osiągnięcie obiektywnego opisu, nawet tam, gdzie trudno go zachować. Ta metoda godna jest pochwały. Ich prace stanowią ważny punkt wyjścia dla badaczy, nie tylko represji sowieckich, ale i całokształtu stosunków polsko-sowieckich.

Praca w równym stopniu odpowiada na pytania jak i je budzi. Dlaczego właśnie Polacy i polscy obywatele stali się najwcześniejszą i najpełniejszą ofiarą prześladowań? W represjach przeciwko polskiemu podziemi, jak by nie były podłe, był cień racjonalności, chciano podbić Polskę, bojownicy ruchu oporu byli przeszkodą. Ale dlaczego wytępiono polską ludność rozsianą w ZSSR? Wymordowanie polskich komunistów zupełnie było sprzeczne z interesami sowieckimi. Czy decydowało dążenie do jak najściślej izolacji od „zgniłego Zachodu”? Może mania prześladowcza? W przypadku prześladowania Żydów w ZSSR mówi się o antysemickiej inspiracji. Czy nie było maniakałnej, zakorzenionej antypolskości? Może polscy obywatele zostali rzućeni na pożarcie dla odwrócenia uwagi tłumów od nędzy, braku chleba, represji przeciw rodowitym Rosjanom? Może wszystko po trochu? Jeśli jednak tak, to w jakich proporcjach?

●

Wreszcie trzecia pozycja, edycja dokumentów o „wschodniej Europie w rosyjskich archiwach”. Kwerendą objęto: archiwum polityki zagranicznej Federacji Rosyjskiej (AWP RF); rosyjskie centrum przechowania i studiowania dokumentów najnowszej historii (RCHIDII, archiwum szczególnie ważne, zawierające materiały CK KPSS); państwowego archiwum Rosyjskiej Federacji (GARF); oraz po części (jak stwierdzają edytorzy) archiwum prezydenta Rosyjskiej Federacji (AP RF).

Autorzy (a ściślej: autorki) przedmowy dowodzą, że wprowadzany w l. 1944-1953 system represji, dyktatury, sowietyzacji był sprzeczny nie tylko z interesami państw Europy Wschodniej ale i z interesami ZSSR – poza komunistami wszędzie tam istniały inne, poważne a demokratyczne ugrupowania polityczne, dążące do dobrej współpracy ze zwycięskim Związkiem Sowieckim.

„... Idea kompromisu, konieczność współpracy z ZSSR i ze ‘swoimi’ komunistami, była traktowana przez nie-komunistyczne partie i organizacje jako nieuchronność [...] Wśród liberalno-demokratycznych, chłopskich i socjalistycznych (socjaldemokratycznych) polityków kształtowało się coś w rodzaju współzawodnictwa o prawo bycia podstawowym partnerem Związku Sowieckiego. [...] Dokumenty świadczą jednak, że sowiecka strona dowierzała jednemu partnerowi – komunistom, choć ze względów taktycznych demonstrowano to bynajmniej nie zawsze. [...] Sowiecka strona nie widziała alternatywy dla socjalizmu w bolszewickim rozumieniu tego słowa”.

Słuszna konstatacja, choć można zauważyć, że i miejscowi komuniści byli przez Sowiety hołubieni też tylko o tyle o ile, o czym, począwszy od lata 1948 i „sprawy zdrajcy Tito” co nie miara świadectw.

Autorzy nie kryją, że metody stosowane przez władze komunistyczne były co najmniej podłe. Piszą, że zwłaszcza materiały partyjnej proveniencji, w owym RCHIDNI, dowodzą, że

„w przypadkach, gdy legalna walka polityczna nie dawała oczekiwanego rezultatu, lub gdy groziła utratą kontroli nad sytuacją, komuniści płodzili ‘antyrządowe’, ‘antyrepublikańskie’, ‘faszystowskie’ itp. ‘spiski’. [...] O tym otwarcie mówił Rakosi do

Mołotowa. I w tym celu fińscy komuniści chcieli zorganizować spiszek dla 'zdemaskowania' Paasikivi, o czym rozmawiali ze Żdanowem" (s. 15).

Zdaniem edytorów, ich publikacja umożliwia nowe spojrzenie na „nader bolesną sprawę ustalenia granic w tym regionie”, związaną z decyzjami w sprawach niemieckich, w tym z „deportacją ludności niemieckiej z Polski, Czechosłowacji, Węgier, Rumunii, Jugosławii [...], co w świadomości społecznej, zwłaszcza narodów słowiańskich, uważano za sprawiedliwy odwet” (s. 16). Niezależnie od sposobu deportacji Niemców, obawiam się, że w cytowanych sformułowaniach znajdują odbicie koncepcje zbliżone do „ducha Rapallo”. Nie wiem, czy jest aktualne niebezpieczeństwo, czy też freudowskie przeżyczenie znających przeszłość historyków, warto jednak zdania te zakarbować w pamięci.

Publikacja obejmuje 308 dokumentów, archiwa zawierają ich wielokrotnie więcej. Rosyjscy edytorzy nie frasują się zbyt kryteriami kwalifikowania (i dyskwalifikowania) dokumentów do publikacji. W rezultacie nie ma pewności, czy jakieś istotne dokumenty nie zostały pominięte i czy zbiór nie deformuje historycznego obrazu. Znając historyków pracujących nad omawianą edycją, skłonny jestem sądzić, że zachowali zawodowy obiektywizm, ale wolałbym otrzymać lepszą informację archeograficzną.

Poloników mnóstwo, wręcz rzucają się w oczy, bowiem publikację otwiera zapis rozmowy Mołotowa z Oskarem Lange 24 kwietnia 1944. Lange był bodajże głównym eksponentem w USA polskich grup, stawiających na współpracę z ZSSR. Notatkę – obszerną, 9 stron – sporządził Podcerob, jeden z bliskich współpracowników Mołotowa. Lange nie poruszał deportacji polskich obywateli, nie podejmował też sprawy Katynia. Był dopiero kwiecień, do przekroczenia linii Curzona pozostawało jeszcze dwa miesiące, ale Lange nie żywił złudzeń i zdawał sobie sprawę, że Sowietci będą decydowali o ukształtowaniu się władzy w Polsce. Czy Lange był zaślepiiony, czy też uważał za konieczne dostosowanie się do realiów? Pytania wykraczające poza ramy. Nie był w każdym razie prymitywnym, żadnym władzy kolaborantem, akcentował:

„Można łatwo stworzyć polski rząd w Lublinie czy Krakowie. To sprawa techniczna. O wiele ważniejsze jednak, jak ludność Polski przyjmie ten rząd. Mówiąc otwarcie: ważne, by ów rząd nie został odebrany jako rząd sowieckich quislingów”.

Wiązał duże nadzieje z Mikołajczykiem i tymi członkami Rządu w Londynie, którzy go popierali. Wątpię, by poglądy Langego przypadły Mołotowowi do gustu, ale sowieckim zwyczajem potakiwał: „Polacy, oczywiście, winni być zainteresowani w tym, by rząd cieszył się poparciem ludności i nie był Polsce narzucony” (s. 21). Jakiś czas socjalista Lange spełniał użyteczną rolę, dezorientował opinię publiczną w Stanach, w Polsce. Po powrocie do kraju, odsunięty na boczny tor, spełniał funkcje reprezentacyjne.

28 kwietnia, Stalin i Mołotow rozmawiali z drugim filarem sowieckiej orientacji, ks. Stanisławem Orlemańskim z USA. Ów uważał, że „naród polski winien być wdzięczny Rosji i Stalinowi za to wszystko, co Rosja dała i daje Polakom” (s. 37). On, Orlemański „jest zdecydowany działać w celu rozbicia polskiej kliki emigracyjnej” a „po powrocie do Stanów weźmie się energicznie do pracy i że będzie o wszystkim informować Stalina” (s. 40). Stalin zaś deklarował Orlemańskiemu, że „my nie jesteśmy ludożercami”, że program bolszewików zakłada swobodę przekonań religijnych itd. W Moskwie wysoko oceniano możliwości Orlemańskiego, skoro został przyjęty przez Stalina i Mołotowa. Ze sceny zszedł dość szybko, nie wiem w jakich okolicznościach.

Orlemański chciał przy pomocy płaskich pochlebstw zaskarbić sowieckie względy, Bierut robił to sprytniej, przykładem jego znany i w Polsce donos 10 czerwca 1944, że sekretarz KC, Gomułka „... nie stoi na wysokości zadań. Zamiast jednoczyć rozbija KC. Niezbędna wasza pomoc dla rozwiązania kryzysu” (s. 45). Bierut cieszył się dużymi względami Stalina, choć owa „pomoc” o którą prosił, została udzielona dopiero 4 lata później, w 1948 r., gdy „uporządkowano” sytuację w PPR. Że nie była to wewnętrzna sprawa PPR i Polski Ludowej świadczy inny dokument, noszące datę 5 kwietnia 1948 obszerne opracowanie wydziału zagranicznego moskiewskiego CK „o antymarksistowskich ideologicznych dyrektywach kierownictwa PPR” (ss. 814-830), sąsia-

dujące w omawianej publikacji z podobnymi tekstami, ale dotyczącymi Jugosławii, Węgier, Czechosłowacji.

Polskich dokumentów dużo. Przeważnie były już publikowane na początku lat 90-tych, dotyczy to obu wyżej wymienionych tekstów, jak i zapisu rozmowy Mołotowa z Mikołajczykiem, Grabskim, Mniszkiem i Romerem 31 czerwca 1944. Przeważnie jednak, drukowane w niskonakładowych publikacjach rosyjskich praktycznie w Polsce nie są znane.

Nie była publikowana depesza amb. Lebediewa 31 marca 1945, że ludowcy z kręgu Witosa chcą nawiązać rozmowy z Bierutem i Osóbką Morawskim, a „Berman zawiadomił mnie, iż Bierut i Morawski postanowili zwrócić się do Was o radę” (s. 187). Jeśli dokument ten zasługuje na zaznaczenie to dlatego, że ujawnia jak mały był zakres niezależności władców peerelu. Jeszcze wyraźniej problem ten występuje (w dotąd niepublikowanej) notatce Stalina z rozmowy z Gomułką i Mincem 14 listopada 1945. Ci we wszystkim pytali o zezwolenie. Czy można zezwolić na działalność zagranicznego kapitału w Polsce, czy wolno wziąć pożyczkę angielską lub amerykańską, zawrzeć pakt wzajemnej pomocy z Francją, wreszcie czy wolno im wyrzucić Osóbkę z kierownictwa PPS i na jego miejsce wprowadzić Oskara Lange. W tej ostatniej sprawie „Gospodarz” się zgodził:

„Jeśli nie ma innego wyjścia i jeśli nie da rady wysunąć kandydatury Bieruta (taką kombinację Polacy uważają za niecelową – Stalin), to można spróbować z Langem, po to, by wykorzystać go do rozkładu PPS. Poradźcie się Wandy Lwownej [Wasilewskiej], bliskiej znajomej Langego”.

Zasługuje na uwagę, że depesze do Moskwy Gomułka posyłał za pośrednictwem sowieckiej ambasady. Tak więc 3 kwietnia 1945, depeszuje, że „otrzymał poufne wieści, że Jankowski i inni, z którymi wiódł rozmowy t. Sierow zniknęli” (s. 189). Dalej o tym, jak na zniknięcie reagowało podziemie. Ciekawe, że w tej depeszy nie ma nawet aluzji sprzeciwu wobec działań Sierowa, co kłóci się z twierdzeniem Werblana, że Gomułka oponował w tej sprawie. Być może, że depesze Gomułki docierały do Moskwy w takim kształcie, jakim nadsyłał im amb. Lebediew lub jego podwładni. Skoro „Polska

Ludowa” nie dysponowała własnym szyfrem do Moskwy, to należy sądzić, że w owym czasie musiała korzystać z sowieckich służb wysyłając szyfrówki do swych placówek w innych stolicach świata.

Wracając jednak do działań sowieckich organów represji na terenie Polski Ludowej: wzbudzi zainteresowanie memoriał wręczony przez radcę polskiej ambasady w Moskwie Matwina 29 listopada 1945 proszącego (żądającego?) wypuszczenia i repatriacji Polaków z łagrów. Pismo zawiera 30 adresów łagrów, posiołków i jednostek wojskowych, z istotnym zastrzeżeniem, że lista nie jest pełna. Widocznie ktoś w Polsce zbierał dane o sowieckich „miejscach odosobnienia”. Jak pisze w innej pracy prof. Albina Noskowa, strona polska stale domagała się wypuszczenia polskich obywateli z łagrów i posiołków. Czynili to również Gomułka, Berman i Osóbka-Morawski.

Ze względów zarówno objętościowych jak i merytorycznych nie widzę możliwości omówienia wszystkich dokumentów dotyczących Polski, uważam jednak, że dokumenty te powinny zostać szybko i wydane, i skomentowane. Że dostarczają dużo nowego i ciekawego materiału świadczy przykładowo wcale nie najważniejszy ale pozwalający na wielostronne komentowanie dokument Nr 98, raport do Berii radcy MNB, gen. Seliwanowskiego, 20 października 1945 o „położeniu ludności żydowskiej w Polsce”. Po przedstawieniu strat ludności żydowskiej, Seliwanowskij opisuje prądy polityczne wśród ocalałych Żydów (tylko bundowcy i syjoniści), stwierdza silny antysemityzm i lokalne pogromy, że od początku roku w Polsce zamordowano 291 Żydów, a MBP i MO „...słabo jeszcze walczą z przejawami antysemityzmu, rabunkiem i morderstwami Żydów” (s. 269).

To z jednej strony. Z drugiej Seliwanowskij stwierdza, że „otrzymawszy dostęp do służby państwowej, część Żydów, aktywnych uczestników walki z faszyzmem, zajęła w nich kierownicze stanowiska”, następnie wymienia ministerstwo za ministerstwem i ilu Żydów w nich pracuje. Szczególnie drobiazgowo omawia ich ilość i stanowiska w MBP.

Nie sposób bez wnikliwej analizy polskiego i sowieckiego kontekstu określić, dlaczego Seliwanowskij, osobnik sądząc

z innych płaodów jego pióra – raczej prymitywny, składa tak dokłaadny raport i dla czego Beria przesłał kopie raportu do Stalina, Malenkowa, Mołotowa i Mikojana. Można sądzić, że raport ten był odpowiezią na pytania z Kremla i że sprawy poruszone w raporcie były tematem rozmów w tym gronie. Seliwanowski, zdaje się, nie wieział czego się od niego oczekuje i notatkę sporząził oglęanie, powstrzymując się od wyrażenia własnych pogałdów.

Tu zwrómy uwagę na rzecz dość istotną: dokumenty na ogół są w książce publikowane w całości, opuszczenia w większości są zaznaczane i motywowane. Inna sprawa, że motywacja nie zawsze jest przekonująca. Dla przykładu: z zapisu radcy sowieckiego Jakowlewa z rozmowy z szefami polskiej polityki 22-25 listopada 1945 opuszczono notatkę o rozmowie ze Świątkowskim w sprawie pozycji prawosławnej cerkwi w czasie okupacji hitlerowskiej (s. 310). Wyrażnie szkoda. W przypadku omawianego raportu Seliwanowskiego edytorzy opuścili „konkretne przykłady [antysemickich] tekstów wzięte z podziemnych ulotek, listów anonimowych itd”. I znowu szkoda, bo właśnie te „konkretne przykłady” są dla historyka wcale nie bez znaczenia.

Józef LEWANDOWSKI

Emanuel HALICZ

„POLSKA NA ZAKRĘTACH DZIEJÓW”*

Nie jest to monografia, ale zbiór eseów. Jest ich trzydzieści dzieięć. W każdym z nich (oprócz trzech, które traktują o problemach związanych z historią bolszewizmu) Autor

* Janusz Tazbir, „Polska na zakrętach dziejów”, Wyd. SIC, Warszawa, 1997, str. 381.

omawia zagadnienia, które mają istotne znaczenie dla zrozumienia przeszłości historycznej Polski i zastanawia się jakie nauki można z nich wyciągnąć w dniu dzisiejszym.

Nieprzypadkowo interesują go takie sprawy jak Unia Lubelska i Unia Brzeska, geneza i skutki wolnej elekcji, wielka karta polskiej tolerancji uchwalona przez szlachtę 28 stycznia 1573 roku, znana w dziejach pod nazwą konfederacji warszawskiej, miejsce i rola Kościoła na przestrzeni wieków od średniowiecza do chwili obecnej, znaczenie powstań narodowych, postawa Zachodu wobec Polski, zwłaszcza w XIX i XX wieku, wreszcie stare i nowe kryteria patriotyzmu.

Omówienie wszystkich zagadnień w jednej recenzji jest niemożliwe i dlatego też pragnę skoncentrować się tylko na tych, które wydają mi się najistotniejsze.

Z ważnych problemów pomijam te, które dotyczą charakteru narodowego Polaków. Pragnę jedynie wskazać, że uzupełnieniem dla lepszego zrozumienia tego tematu może być praca Stefana Kieniewicza „Historyk a świadomość narodowa” (1982) i Edmunda Lewandowskiego „Charakter narodowy Polaków i innych” (1995).

Omawiając poszczególne problemy, Autor oparł się na własnym dorobku naukowym, na obszernej literaturze przedmiotu, zwłaszcza zaś na pracach czołowych historyków „szkoły krakowskiej”.

Autor ma rację gdy stwierdza, że Unia Lubelska była federacją opartą na całkowitej dobrowolności i takie zasady przyświecały twórcom Unii. Pod tym względem stanowiła przeciwieństwo unii angielsko-szkockiej z 1707 roku, narzuconej Szkotom. Unię Lubelską uznać można za nasz wkład do historycznych tradycji XVI wieku – czytamy. Po zawarciu unii – twierdzi Autor, podobnie jak Władysław Konopczyński czy Eugeniusz Starczewski – Polska przestała być normalnym średnim państwem środkowo-wschodniej Europy. Przestrzeń dziejów rozprasała energię jej elit politycznych, które zresztą uległy na przełomie XVI i XVII stulecia „zamuleniu” skutkiem dopływu przedstawicieli szlachty litewskiej czy ruskiej, politycznie jeszcze niedojrzałej do rządzenia państwem” (s. 8). Szlachta, zarówno polska jak i litewska, nie zdołała zrozumieć, że na zasadach dobrowolności można stworzyć rozległe terytorialnie państwo, ale skutecznie

je obronić jest w stanie tylko potężna i sprawna armia, rozporządzająca zasobnym skarbem.

Podobnie jak J. Tazbir, dowodził Starczewski w swej pracy „L'Europe et la Pologne”, wydanej w Paryżu w 1913 r., że Unia była wprawdzie „wspaniałym pomnikiem podboju pokojowego i cywilizacyjnego”, ale zwichnęła rozwój Polski. Na pierwszy plan wysunął on następujący moment: „Po pierwsze: zajęcie olbrzymich obszarów wschodnich odwróciło ją od własnych terenów na Śląsku, Pomorzu i w Prusach”. Ten aspekt pominięty jest w książce Tazbira. I dalej: „Z punktu widzenia narodowego jest rzeczą niewątpliwą, że unia osłabiła żywotność Polski, że ją rozbroiła na wypadek nieszczęścia, że przekazała potomności ciężkie dziedzictwo: sprawę ruską i litewską”. (s. 61-64).

Powstania kozackie – jak dowodzi Tazbir – były nie tyle walką uciśnionych ruskich chłopów z polską magnaterią, co starciem zrutynizowanych polskich włościan ze spolonizowaną ruską szlachtą. Bunt kozacki z powstaniem Chmielnickiego na czele zawierały w sobie chęć rewizji Unii Lubelskiej. Szło mianowicie o rozciągnięcie uchwał Unii na trzeci trzon Rzeczypospolitej – Wielkie Księstwo Ruskie. Tak się niestety nie stało.

W tym co Autor pisze tkwi odpowiedź na pytanie zadane na wstępie – „A może to właśnie rok 1569 zawierał w sobie nieuchronny załamek rozbiorów” (s. 6).

Wielkie zamieszanie narobiła uchwalona w 1595-96 Unia Brzeska, która stała się ideologicznym zarzewiem buntów kozackich. Przyczyniła się ona – jak czytamy – do rozwoju świadomości narodowej ukraińskiej, ale uchwały synodu brzeskiego trudno uznać za zgodne z polską racją stanu. Unia ta przyczyniła się do dezintegracji państwa, nastawiając przywiązane do prawosławia masy ludowe wrogo do władz Rzeczypospolitej. Uczyniła z prawosławia czynnik polityczny. Sprzyjała rutenizacji. Jednocześnie stanowiła częściową przynajmniej realizację marzeń Rzymu, z którymi do dziś nie może się rozstać.

Trzecim wielkim aktem uchwalonym w 1573 roku (akt Konfederacji Warszawskiej) była wielka karta polskiej tolerancji, aprobowana przez ludzi Oświecenia. Chłubiła się nim polska emigracja w XIX wieku. Ale i ten akt nie doczekał się

masowej realizacji. To prawda, że zapobiegał on rozruchom i wojnom bratobójczym na tle religijnym, jakie wybuchły w tym czasie w wielu krajach europejskich. Ale nie należy chyba pominąć i tego, że nazajutrz po pięknej uchwale miał miejsce tumult w Krakowie spowodowany przez jezuitów, a po wygnaniu arian, o czym mowa w książce, miał miejsce krwawy tumult w Toruniu w 1724 roku, który omalże nie spowodował interwencji zbrojnej Rosji, Prus, a nawet odległej Anglii.

Dobrze się stało, że w eseju „Była rzeź” Autor przedstawił polską obecność w Moskwie w 1610-1612 akcentując gwałty dokonane na mieszkańcach tegoż miasta przez stronę polską i podkreślił, że fakty utrwały się w świadomości historycznej rosyjskiej. (Por. A. Puszkina „Oszczyrcy Rosji”, M. Zagoskin „J. Miłosławskij czyli Rosjanie w 1612 r.”, M. Glinka „Żyżń za cara”). A w grudniu 1941 Stalin na Kremlu wytknął je W. Sikorskiemu.

Paradoksem historii – jak pisze Autor – można nazwać fakt, że symbolem stolicy kraju, którego szlacheccy mieszkańcy mieli republikanizm niemalże we krwi, stał się jeden z najmniej popularnych królów polskich Zygmunt III, któremu syn Władysław IV wystawił kolumnę, a ta stała się symbolem zarówno samej Warszawy jak i całej Polski. Stała się ona „ulubionym miejscem bitew” (1656, 1794, 1831, 1920, 1939, 1944) i pod tym względem zajęła „przodujące” miejsce wśród stolic europejskich.

Bardzo wiele stoniec poświęca się w pracy roli Kościoła w dziejach Polski. Jedną z głównych przyczyn tego, że Kościół katolicki odgrywał w przeszłości tak istotną rolę, były często występujące rwanie się ciągłości państwa. Tak było w okresie rozbicia dzielnicowego, tak i w czasie rozbiorów.

W okresie rozbiorów Kościół we wszystkich zaborach był gwarantem ciągłości instytucjonalnej, strażnikiem pamięci narodowej, surogatem nieistniejącego państwa. Tam odbywały się uroczystości o charakterze patriotyczno-religijnym. Poniewolne wejście Polski do bloku państw socjalistycznych dało Kościołowi następną „w ciągu dwustu lat historyczną szansę” (s. 145). W latach Polski Ludowej pod skrzydłami tej instytucji znalazła schronienie opozycja polityczna.

Jaką cenę za to płacił Kościół – zapytuje Autor. Odrywał się od wielkich problemów współczesności i nie nadążał za

przemianami jakie występowały w życiu kościelnym Europy Zachodniej.

Wśród czołowych działaczy Oświecenia i twórców Konstytucji Trzeciego Maja znalazło się wielu księży. Ale wielu z nich znalazło się w obozie wrogów przemian. Biskupi Józef Kossakowski i Ignacy Massalski zawisli na szubienicach Warszawy (s. 230). W Królestwie Kongresowym w walce z liberalnymi zmianami w dziedzinie oświaty władze kościelne nie wahały się odwołać do pomocy księcia Konstantego. W pracy nie wspomina się jednak o zróżnicowanym stosunku duchowieństwa do powstania styczniowego. Pisząc o tym okresie ks. prof. Mieczysław Żywczyński stwierdził: „Duchowieństwo polskie złożyło do skarbca historii naszego narodu jedną z najpiękniejszych kart swoich dziejów. Ale karta ta ma swoją odwrótną stronę. Jest ona dość szara, a nawet czarna”. Na niechęć duchowieństwa do powstania skarżył się nawet tak religijny człowiek jak Romuald Traugutt. Prof. Żywczyński wymienia nie tylko zmartwychwstańców ale wielu księży, którzy współpracowali z caratem. „Nie na darmo spływały na nich medale z napisem: *za usmirmienie polskiego miatieża*. („Kościół i duchowieństwo w powstaniu styczniowym”, *Przegląd Historyczny*, 1938, s. 524).

Pisząc o powstaniach narodowych J. Tazbir akcentuje w szczególności ich tragiczne skutki. Ale czy doprawdy należy się do tego ograniczać. Czy nie należy podkreślać jak wielką rolę mimo klęsk i tragedii, strat biologicznych i fizycznych, powstania te odegrały niezaprzeczalną i olbrzymią rolę w dziele budzenia świadomości narodowej, czy nie przyczyniły się np. do tego, że rząd carski w 1864 roku dokonał uwłaszczenia chłopów w Królestwie Polskim na lepszych warunkach niż w samej Rosji¹. Czy nie ma w tym przesady jeśli się pisze, że „bez konfederacji barskiej nie doszłoby zapewne do pierwszego rozbioru, a powstanie kościuszkowskie przesądziło o trzecim rozbiore Polski” (s. 248). Przecież sam Autor stwierdza, że w wyniku potopu już w połowie XVII wieku Radnot (Siedmiogród) planowano podzielić Rzeczypospolitą między Brandenburgię, Kozaków, Szwecję i Siedmiogród (6 XII 1656) a na

1. Stefan Kieniewicz, Andrzej Zahorski, Władysław Zajewski, „Trzy powstania narodowe”, Warszawa, 1992.

sejmie w 1661 roku Jan Kazimierz wymienił trzech agresorów, którzy dokonują rozbioru Rzeczypospolitej oraz określił jakie terytoria każdy z nich zrabuje. Jeśli do tego dodamy, że Fryderyk I w 1709 roku zaproponował Piotrowi I przystąpienie do rozbioru Polski, a od 1769 roku Fryderyk II za pośrednictwem swego ambasadora w St. Petersburgu sondował stanowisko Katarzyny II wobec w/w problemu², to nie sposób tylko jedną stronę obarczać winą za rozbiory. Wydaje się, że Autor nieco zmodyfikował swój pogląd zastanawiając się potem która z dróg wiodących do niepodległości: czyn zbrojny, czy praca organiczna, kultura czy konspiracja najskuteczniej do niej doprowadziły, dodając, że w tej sprawie będą stale trwać spory między historykami (s. 257). Niemal każde powstanie, kończąc na warszawskim, daremnie liczyło na pomoc Zachodu. Wyciągnął z tego wnioski Józef Piłsudski. Dla Zachodu zawsze ważniejsza od Polski była Rosja. Tylekroć wystawiana do wiatru, nawet dziś skłonna jest uwierzyć w zapewnienia i obietnice Kremla (s. 349).

Bardzo cenne są te eseje w których Autor rozpisuje się na temat roli broszur, gawęd, literatury pięknej niedocenianej jako źródło historyczne oraz sposobów wykorzystania ich do celów politycznych. Mowa jest o roli mass mediów w krajach totalitarnych – Niemczech nazistowskich i Związku Sowieckim. Interesująca jest analiza treści biblii komunizmu – historii krótkiego kursu WKPb. W eseju „Budżety ściśle tajne” dowiedzieć się można kto finansował bolszewików w 1917 roku.

Autor zastanawia się nad problemem patriotyzmu w Polsce. Czy nadal aktualne są słowa Cypriana Norwida „iż Ojczyzna jest to wielki zbiorowy obowiązek”, który zawierał się przede wszystkim w daninie krwi. Czy nadal jest aktualne ostre przeciwstawienie się wobec Niemców i Rosji.

Jego zdaniem patriotyzm polski obecnie się zmienia. Interwencji rosyjskiej już dziś nikt się nie obawia. W Niemczech skłonne są osiedlać się całe zastępy młodszej i średniej generacji Polaków. Pękają stare kryteria patriotyzmu. Nowe się chyba jeszcze nie narodziły. Niewątpliwie wydaje się, że patriotyzm przestaje być budowany na zasadzie opozycji, ale

2. Adam Zamoyski, „Ostatni Król Polski”, Warszawa, 1992.

zaczyna go tworzyć poczucie przynależności do wspólnoty wolnych narodów jednoczącej się Europy (s. 338).

Recenzowana praca zapewne zainteresuje nie tylko historyków. Dyskusja nad wyłożonymi tezami może okazać się pożyteczna.

Emanuel HALICZ

Piotr DASZKIEWICZ

MOSKIEWSKIE „ZAGADNIENIA HISTORII PRZYRODOZNAWSTWA I TECHNIKI”

Woprosy istorii jestejstwoznaniija i techniki wydawane przez Instytut Historii Przyrodoznawstwa i Techniki Rosyjskiej Akademii Nauk są od kilku już lat jednym z najciekawszych europejskich czasopism poświęconych problematyce historii nauki. Poruszanie tematów do niedawna pilnie strzeżonych przez cenzurę, sensacyjne odkrycia w niedostępnych jeszcze kilka lat temu archiwach partyjnych, policyjnych i wojskowych, relacje naocznych świadków i uczestników przełomowych dla historii wydarzeń, jak i wnikliwa analiza funkcjonowania nauki zniewolonej przez totalitaryzm sprawiają, że warto przedstawić ten kwartalnik szerokiej publiczności.

Dylemat rosyjskiej inteligencji jak żyć i pracować twórczo w totalitarnym systemie, pod policyjnym nadzorem, pytanie o dopuszczalne granice kompromisu i zwykła walka o przetrwanie, stanowią temat stale powracający w publikacjach zamieszczanych przez *Zagadnienia*. N. Wołkow i M. Kulikowa w artykule „Rosyjska profesura: żyć pod nadzorem władzy” przeprowadzają analizę porównawczą sytuacji rosyjskiej inteligencji przed i po rewolucji na podstawie dokumentów tajnej policji carskiej i komunistycznych służb specjalnych. Dzięki redakcji *Zagadnień* ujawnione zostały także

dokumenty dotyczące inwigilacji przez KGB grupy wybitnych fizyków, m.in. Kapicy, Landau, Sacharowa.

Rozpaczliwe próby obrony niezależności akademickiej i zachowania choćby ograniczonej autonomii podejmowane wielokrotnie przez rosyjskich naukowców stanowią temat kilku kolejnych analiz opublikowanych przez moskiewski kwartalnik. I. Graham w artykule „Polityczno-społeczne korzenie Borisa Hessena” przypomniał przedstawiony przez Borisa Hessena na Drugim Międzynarodowym Kongresie Historii Nauki w 1939 referat „Społeczno-ekonomiczne korzenie *Philosophiae naturalis principia mathematica* Newtona” w którym autor próbował bronić prac Alberta Einsteina, zakazanych i zwalczanych przez partyjnych ideologów.

Wielokrotnie powraca także temat represji i straszliwej ofiary jaką płaciła rosyjska inteligencja w komunizmie. N.T. Nieczajewa i W. Sziszkin w artykule „W poszukiwaniu systemu przyrody” przypomnieli postać W. Stańczyńskiego, autora pionierskich w skali światowej ekologicznych prac biocenotycznych. Badania zostały represyjnie przerwane, a ich autor zmarł zamęczony w więzieniu. Nazwiska zamordowanych naukowców, których symbolem stał się niewątpliwie wybitny genetyk Wawiłow, obecne są w niemal każdym numerze *Zagadnień*.

Postawy inteligencji wobec komunizmu stanowią kolejny ważny temat wielokrotnie poruszany przez autorów i redaktorów kwartalnika. E. Kolczyński i A. Korolina próbują znaleźć odpowiedź na pytanie dotyczące dramatycznej decyzji powrotu do Rosji Wernadskiego. Jeden z najwybitniejszych uczonych dwudziestego wieku, twórca podstaw geochemii i pojęcia „biosfera”, zdecydował się na powrót w 1926 roku. Decyzja ta nie została podjęta z obawy przed degradacją zawodową, której doświadczyła przecież tak znaczna część rosyjskiej inteligencji na emigracji. Wernadski cieszył się międzynarodowym uznaniem i posiadał doskonałe warunki pracy w Paryżu. Na Zachodzie przebywała jego rodzina i polityczni przyjaciele, wszyscy wrogo nastawieni do nowej sowieckiej rzeczywistości. Sam Wernadski także nie krył się z wrogością wobec nowej władzy. Zdaniem autorów głównym motywem jego powrotu była naiwna wiara, że wpływ nauki zdoła

„uczłowieczyć” komunizm, a także, że natura praw rządzących ludzkim społeczeństwem doprowadzi do rozwoju porządku społecznego „zgodnego” z prawami przyrody. Pismo przedrukowało także artykuł amerykańskiego historyka nauki D. Todeca przedstawiający delikatne stosunki L. Pawłowa z władzami. Autor podkreślił wykorzystanie popularności rosyjskiego noblisty dla celów propagandowych poprzez stałe prezentowanie pracy Pawłowa dla podkreślenia normalności nowego porządku w którym, dawny uczony, krytyczny wobec komunistów, może kontynuować swoje badania.

Pytanie o dopuszczalne granice kompromisu, a także przypomnienie udziału części środowiska akademickiego w organizowaniu represji stanowią niewątpliwie jeden z najbardziej drażliwych tematów podejmowanych przez redakcję *Zagadnień*. Cykl artykułów został poświęcony problemom moralnego wyboru i odpowiedzialności naukowców pracujących nad realizacją produkcji broni nuklearnej. Zauważyć należy swoistego rodzaju równoległość wobec podobnych dyskusji amerykańskich, choć oczywiście historyczne okoliczności są nieporównywalne ze względu na totalitarny charakter ZSSR jak i moment realizacji projektu (w przypadku amerykańskim był to przecież okres hitlerowskiej okupacji Europy). A. Sonin przypomniał wieloletni konflikt dwóch zespołów chemików, konflikt zakończony oskarżeniem o antypatriotyzm i ciężkimi represjami policyjnymi

Mechanizm funkcjonowania nauki w totalitarnym systemie jest obiektem licznych analiz opublikowanych przez moskiewski kwartalnik. E. Markowa i A. Rodnyj w artykule poświęconym tematyce „Nauka w gułagach Workuty jako model totalitarnego państwa” analizują z punktu widzenia historycznego zjawisko „szaraszek”, zespołów naukowców aresztowanych i zesłanych w celu wykonania konkretnych badawczych zadań min. zapewnienia technicznej obsługi „inwestycji stulecia”. Zdaniem autorów szaraszki są swoistego rodzaju unikalnym modelem funkcjonowania totalitarnej, zniewolonej nauki. Większość naukowców pracujących na Dalekiej Północy znalazła się tam przymusowo. W obozach koncentracyjnych znalazła się w ten sposób elita młodej rosyjskiej inteligencji naukowej i technicznej. Wiele z najważniejszych rosyj-

skich centrów badawczych w dziedzinie geologii, fizyki, chemii, metalurgii posiada właśnie takie koncentracyjne początki.

D. Aleksandrow analizuje historię początków izolacji sowieckiej nauki (od Rewolucji do 1940 roku) i jakże tragicznej w skutkach polityki naukowej samowystarczalności. Wkrótce po pierwszej wojnie światowej rosyjska nauka odbudowała swoje międzynarodowe kontakty. Z przyczyn czysto politycznych rosyjscy naukowcy szybko zostali jednak skazani na izolację (50% publikacji rosyjskich uczonych w 1925 roku opublikowanych zostało za granicą przy zaledwie 5% w 1935). A. Kozewnikow analizuje zjawisko wykształcenia, towarzyszących ideologicznym dyskusjom w nauce, „rytualnych zachowań” imitujących normalną polemikę i zasady demokracji. Wielokrotnie poruszany jest problem ideologicznego zdominowania nauki. K. Krzywonos przeprowadził analizę partyjnych dokumentów na tematy filozoficzne; dyskusji z 1947, będącej w rzeczywistości wstępem do kolejnego „pogromu sowieckiej nauki”. A. Sonin opisał nieudaną próbę przypisania B. Cziczierinowi przez partyjną propagandę zasługi sformułowania nowoczesnej teorii budowy atomu.

E. Koloczyński przypominał dyskusje z lat dwudziestych nad koniecznością „proletaryzacji biologii” będącej początkiem ideologicznej kontroli nauk przyrodniczych. „Dialektyzacja biologii” spotkała się z silnym oporem ze strony środowiska naukowego. N. Kremencow opisał „Amerykańską pomoc” dla sowieckiej genetyki w latach 1945-47. Zaraz po drugiej wojnie światowej rosyjscy genetycy próbowali podważyć pozycję Łysenki. Wykorzystując międzynarodowe kontakty i atmosferę powojennej współpracy ZSSR i Zachodu sprowokowali międzynarodową antyłysenkowską kampanię publicystyczną. Zachodni, a zwłaszcza amerykańscy genetycy, odpowiedzieli na apel i starali się w każdy możliwy sposób wesprzeć swoich rosyjskich kolegów.

Zagadnienia opublikowały szereg artykułów (oraz materiałów źródłowych) poświęconych historii sowieckiego wywiadu naukowego. W. Borkowski, profesor historii i weteran wywiadu w artykule „Naukowo-techniczny wywiad państwa sowieckiego w latach 1917-1946” przedstawił historię początków NTR (*Nauczno-techničeskaja razwietka*) od zorgani-

zowania pierwszego biura w oparciu o niemiecko-rosyjską współpracę w Berlinie i stworzenia pierwszej siatki wywiadowczej w USA działającej pod szyldem „biura pomocy technicznej dla sowieckiej Rosji”, aż po działalność NTR z lat czterdziestych, m.in. nieznane dane dotyczące akcji sowieckiego wywiadu dla zdobycia informacji na temat rakiet V-1, analizy brytyjskiego systemu radiolokacji i operacji związanych z pracami aliantów nad bombą atomową. I. Terlecki w artykule „Operacja przesłuchanie Nielsa Bohra” przedstawił nieznane dokumenty wywiadowcze dotyczące akcji sowieckiego wywiadu mającej na celu otoczenie tego wielkiego uczonego agentami i zdobycie wiarygodnej opinii na temat możliwości postępów prac nad bronią atomową. Prawdziwą sensacją stało się wydrukowanie w numerze 3/1992 kilkudziesięciu stron dokumentów wywiadu dotyczących historii początków prac nad sowiecką bronią atomową. Opublikowane materiały niezbitnie dowiodły, że początki tych prac w ZSSR związane były wyłącznie z informacjami skradzionymi na Zachodzie, a nie z pracami sowieckich fizyków. Praca dobitnie ukazuje rozmiar i rozmach operacji sowieckiego wywiadu naukowo-technicznego jak i stopień infiltracji amerykańskich i zachodnioeuropejskich środowisk naukowych. Publikacja wywołała reakcję najwyższych władz politycznych w Rosji. Redaktorzy i autorzy wiadomości zostali oskarżeni o działania „społecznie niebezpieczne” gdyż zdaniem niektórych ekspertów opublikowane dane techniczne nadal mogą zostać wykorzystane przez organizacje terrorystyczne dla produkcji bomby atomowej. Publikacja wywołała także prawdziwy szok emocjonalny u weteranów ZSSR dla których sowiecka bomba atomowa jest przedmiotem dumy i osiągnięć związanych z „postępem sowieckiej technologii”. Historia tej publikacji stała się podstawą dla szerokiej dyskusji nad granicami wolności słowa, ujawnianiem tajnych archiwów i prawem publicznego dostępu do informacji.

W. Adamski i B. Smirnow przedstawili relację dwóch świadków 50 megatonowych eksplozji bomby wodorowej na Nowej Ziemi (30 października 1961) W. Balabin przypomniał mało znaną historię angielskiej łodzi podwodnej „L-55”. Okręt ten wchodził w skład floty interwencyjnej na Bałtyku

i w 1919 roku został zatopiony przez okręt Azard. W 1928 roku „L-55” została wyłowiona przez sowieckich specjalistów i następnie zrekonstruowana. Wiele spośród technologicznych rozwiązań zostało skopiowanych i wykorzystanych przy opracowywaniu pierwszych modeli sowieckich okrętów podwodnych. Opublikowano serię zdjęć niedawno odkrytych i odtajnionych.

Kolejnym tematem „tabu” wielokrotnie powracającym na łamy wiadomości jest wykorzystywanie w ZSSR niemieckich specjalistów wywiezionych z sowieckiej strefy okupacyjnej. A. Neubauer w artykule „Niemieccy chemicy i sowiecki projekt atomowy po 1945 roku” zajmuje się losem niemieckich naukowców zagarniętych przez armię czerwoną i wywiezionych do Rosji aby pracowali nad projektem bomby atomowej. Operacja ta traktowana była przez cały okres istnienia ZSSR jako najwyższej tajności. Wśród wywiezionych i zmuszonych do pracy dla potrzeb przemysłu zbrojeniowego znalazło się wielu uczonych światowej sławy, m.in. Max Volmer, Max Steenbeck, von Ardenne i noblista z 1925 roku Gusaw Hertz. S. Kurszynow i B. Sobolew przypomnieli decydujące znaczenie jakie odegrali niemieccy inżynierowie i technicy w rozwoju sowieckiego przemysłu lotniczego.

Redakcja *Zagadnień* stara się przywrócić rosyjskiej kulturze osiągnięcia naukowe emigracji. Opublikowano m.in. recenzję pracy V. Borisowa i M. Raeffa „A cultural history of the russian emigration 1919–1939” wydanej przez New York Oxford University Press. Osobne artykuły poświęcono omówieniu prac Wukinicza, znanego rosyjskiego emigracyjnego historyka nauki. Przypomniano także znaczenie I. Miecznikowa dla naukowego rozwoju Instytutu Pasteura. W odrębnym artykule przedstawiona została historia emigracji matematyków z lat 1900–1930 i los najbardziej znanych, m.in. A. Besikowicza, J. Tamarkina, J. Uśpińskiego. Przetłumaczenie na język polski przynajmniej niektórych publikacji *Zagadnień* z pewnością przyczyniłoby się do lepszego poznania historii rosyjskiej i sowieckiej nauki, a także pozwoliłoby na zrozumienie i właściwą interpretację wielu wydarzeń przełomowych także dla polskiej historii.

Piotr DASZKIEWICZ

NADEŚLANE NOWOŚCI WYDAWNICZE

- Bibliografia Europy Wschodniej.* Polska – Litwa – Białoruś – Ukraina – Rosja. Bibliografia litewska 1991-1994. Str. 83. Wyd. Studium Europy Wschodniej UW & *Przegląd Wschodni*, 1997.
- BOROWIK (Irena). *Procesy instytucjonalizacji i prywatyzacji religii w powojennej Polsce.* Str. 200. Wyd. Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 1997.
- BYSTRZYCKI (Przemysław). *Nad Sanem nad zielonookim.* 1923-1939. Str. 370. Poznań 1997.
- CHAŁUPCZAK (Henryk), BROWAREK (Tomasz), *Mniejszości narodowe w Polsce 1918-1995.* Str. 323. Wyd. UMCS, Lublin 1998.
- CHOJNOWSKI (Andrzej). *Ukraina.* Str. 233. Seria: Historia państw świata Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego. Wyd. TRIO, Warszawa 1997.
- Co by było, gdyby...* Historie alternatywne. Z H. Samsonowiczem, J. Tazbirem. J. Skowronkiem, A. Ajnenkielewiczem rozmawiają J. Osica i A. Sowa. Str. 118. Dom Wydawniczy Bellona, Warszawa 1998.
- DASZKIEWICZ (Piotr). *W cieniu Maison Verreaux.* Paryż polskich przyrodników-kolekcjonerów. Str. 93. Wyd. NERITON, Warszawa 1997.
- DĄBROWSKA (Małgorzata). *Łacinniczki nad Bosforem. Małżeństwa bizantyjsko-łacińskie w cesarskiej rodzinie Paleologów (XIII-XIV w.).* Str. 198. Wyd. Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 1996.
- DĄBROWSKI (Dionizy). *Moja włoska kampania.* Str. 223. Oficyna Wydawnicza „Ajaks”, Pruszków 1998.
- DOBROŃSKI (Adam). *Losy Sybiraków.* Str. 170. Zarząd Główny Związku Sybiraków, Warszawa 1997.
- DZWONKOWSKI (Roman) SAC. *Kościół katolicki w ZSSR 1917-1939.* Zarys historii. Str. 477. Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Lublin 1997.
- GARLICKI (Andrzej). *Historia 1815-1939. Polska i świat.* Podręcznik dla liceów ogólnokształcących. Str. 418. Wydawnictwo Naukowe „Scholar”, Warszawa 1998.
- Gdańsk. Wspomnienia 50 lat później.* Str. 389. Wyd. „Marpres”, Gdańsk 1997.
- GRAJEWSKI (Andrzej). *Tarcza i miecz.* Rosyjskie służby specjalne 1991-1998. Str. 347. Biblioteka „Więzi”, Warszawa 1998.
- GUTKOWSKI (Jerzy). *The Polish Sejm.* Str. 135. *Sejm Publishing Office*, Warsaw 1997.
- HALECKI (Oskar). *Od Unii Florenckiej do Unii Brzeskiej.* T. 1 i 2. Instytut Europy Środko-

- wo-Wschodniej, Lublin; Fundacja im. Jana Pawła II, Rzym 1997.
- Historyczne księgozbiory Cieszyńska na tle śląskim.* Rola kulturowa i przedmiot badań. Red. R. Gładkiewicz. Str. 194. Książnica Cieszyńska, Cieszyn 1997.
- HORBAL (Bogdan). *Działalność polityczna Łemków na Łemkowszczyźnie 1918-1921.* Str. 187. Wyd. Arboretum, Wrocław 1997.
- ILNYTZKYJ (Oleh S.). *Ukrainian Futurism, 1914-1930.* A Historical and Critical Study. Str. 413. Ukrainian Research Institute, Harvard University, Cambridge 1997.
- Instytut Józefa Piłsudskiego w Ameryce i jego zbiory.* Oprac. J. Cisek. Str. 383. Biblioteka Narodowa, Warszawa 1997.
- Inwentarz materiałów do dziejów Kościoła katolickiego w archiwach Grodzieńskiego Gubernatora Cywilnego.* Oprac. M. Radwan. Str. 181. Wyd. Instytut Europy Środkowo-Wschodniej, Lublin 1998.
- Inwentarz materiałów do dziejów Kościoła katolickiego w mińskich archiwach gubernatorskich.* Oprac. M. Radwan. Str. 259. Wyd. Instytut Europy Środkowo-Wschodniej, Lublin 1998.
- JAGDZIŃSKI (Zdzisław). *Anglia wobec sprawy polskiej w okresie Wiosny Ludów 1848-1849.* Str. 337. Instytut Historii PAN, Wyd. NERITON, Warszawa 1997.
- JASIEWICZ (Krzysztof). *Zagłada polskich kresów.* Ziemiaństwo polskie na Kresach Północno-Wschodnich Rzeczypospolitej pod okupacją sowiecką 1939-1941. Studium z dziejów zagłady dawnego narodu politycznego. Str. 358. Oficyna Wydawnicza Volumen. Instytut Studiów Politycznych PAN, Warszawa 1997.
- JÓZEWSKI (Henryk). *Słowo o Petlurze.* Str. 35. Koło Podkowy, Podkowa Leśna 1998.
- KOBRINSKAJA (Irina). *Długi koniec zimnej wojny.* Rosja i Europa Środkowa 1991-1996. Str. 181. Centrum Stosunków Międzynarodowych Instytutu Praw Publicznych, W-wa 1998.
- KOTARSKA (Elżbieta). *Proces Czternasty.* Str. 299. Oficyna Wydawnicza Volumen, Warszawa 1998.
- Lietuvių Atgimimo Istorijos Studijos.* Nr 14. Ytautas Jogela. Vilniaus Romos kataliku devasine akademija 1833-1842 metais: organizacija ir veikla. Str. 234. Eugrimas, Vilnius 1997.
- Maciejowice 1794 r. Ostatnia bitwa Tadeusza Kościuszki.* Antologia tekstów historycznych. Oprac. M.M. Drozdowski. Str. 104. Oficyna Graficzno-Wydawnicza TYPOGRAFIKA, Komisja Badań Dziejów Warszawy Instytutu Historii PAN, Towarzystwo Miłośników Historii w Warszawie, Warszawa-Maciejowice 1997.
- MAKAUSKAS (Bronius). *Lietuvos istorija.* Vadovilis bendrojo lavinimo mokykloms. Str. 463. Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne, Warszawa 1997, „Sviesa”, Kaunas 1997.

- MAKOWSKI (Wacław). *O państwie społecznym*. Oprac. W.T. Kulesza. Str. 256. Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1998.
- MANTHEY (Franciszek). *O historii Kaszubów*. Prawda i świat. Str. 139. Instytut Kaszubski, Gdańsk 1997.
- MAZUR (Grzegorz), ROJEK (Wojciech), ZAGÓRNIAK (Marian). *Wojna i okupacja na Podkarpaciu i Podhalu*. Na obszarze Inspektoratu ZWZ-AK Nowy Sącz 1939-1945. Str. 409. Księgarnia Akademicka, Kraków 1998.
- MAZUR (Grzegorz), WĘGIERSKI (Jerzy). *Konspiracja lwowska 1939-1944*. Słownik biograficzny. Str. 254. Wyd. UNIA, Katowice 1997.
- MICEWSKI (Andrzej). *Dziennik idącego samotnie*. Str. 310. Wyd. „Projekt”, W-wa, 1998.
- MOTYKA (Grzegorz), WNUK (Rafał). *Pany i rezuny*. Współpraca AK-WiN i UPA 1945-1947. Str. 212. Oficyna Wydawnicza Volumen, Warszawa 1997.
- Może Ostra połączy nas Brama*. Polska i Litwa w tekstach literackich i historycznych. Oprac. M.M. Drozdowski. Str. 110. TYPOGRAFIKA, Centrum Studiów Teologicznych w Suwałkach, Komisja Badań Dziejów Warszawy Instytutu Historii PAN.
- Mykolo Römerio mokslas apie valstybę*. Str. 313. Litewski Instytut Filozofii i Socjologii, Wilno 1997.
- NAGRABIECKI (Jan) „Wandal”. *Idąc na hasło*. Zapiski par-
tyzanta. Str. 217. Wyd. Antyk Marcin Dybowski, Komorów 1997.
- Najstarsze konstytucje z końca XVIII i I połowy XIX wieku*. Oprac. P. Sarnecki. Str. 224. Wyd. Sejmowe, Warszawa 1997.
- PANKOWSKI (Rafał). *Neofaszystyzm w Europie Zachodniej*. Zarys ideologii. Str. 132. Wyd. Instytut Studiów Politycznych PAN, Warszawa 1998.
- PIĘTA (Jan), ROMAN (Wanda), SZCZUROWSKI (Maciej). *Polacy internowani na Litwie 1939-1940*. Str. 509. Wyd. Color CB, Warszawa 1997.
- PIOTROWSKI (Tadeusz). *Ukrainian Integral Nationalism*. Chronological Assessment and Bibliography. Str. 109. Alliance of the Polish Eastern Provinces & the Polish Educational Foundation in North America, Toronto 1997.
- PISKOZUB (Andrzej). *Transport w dziejach cywilizacji*. Str. 160. Wyd. Adam Marszałek, Toruń 1998.
- Polska i Węgry w kulturze i cywilizacji europejskiej*. Str. 379. Międzynarodowe Centrum Kultury w Krakowie, Kraków 1997.
- Polska – Ukraina. Trudne pytania*. T. 1-2. Materiały II Międzynarodowego seminarium historycznego „Stosunki polsko-ukraińskie w latach 1918-1947”. Warszawa, 22-24 maja 1997. Str. 244. Wyd. KARTA, Warszawa 1998.
- Powrót Polski nad Bałtyk 1920-1945*. Antologia tekstów histo-

- rycznych. Wybór i opracowanie M.M. Drozdowski. Str. 267. TYPOGRAFIKA, Komisja Badań Dziejów Warszawy Instytutu Historii PAN.
- PRITSAK (Omeljan). *The Origins of the Old Rus' Weights and Monetary Systems*. Two Studies in Western Eurasian Metrology and Numismatics in the Seventh to Eleventh Centuries. Str. 172. Harvard Ukrainian Research Institute, Cambridge 1998.
- PRUSZYŃSKI (Mieczysław). *Tajemnica Piłsudskiego*. Str. 209. Polska Oficyna Wydawnicza BGW, wyd. 2. Warszawa 1997.
- Przed Wrześniem i po Wrześniu*. Ze wspomnień młodych dyplomatów II Rzeczypospolitej. Str. 362. Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 1998.
- RATAJ (Maciej). *O parlamentarystyce, państwie demokratycznym i sanacji*. Oprac. A. Kołodziejczyk. Str. 185. Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1998.
- SARNER (Harvey). *General Anders and the soldiers of The Second Polish Corps*. Str. 313. Brunswick Press, Cathedral City, 1997.
- Senatorowie w latach II wojny światowej*. Zamordowani, Zaginieni, Zmarli. Str. 103. Wyd. Biuro Informacyjne Kancelarii Senatu, Warszawa 1998.
- SERWATKA (Tomasz). *Józef Piłsudski a Niemcy*. Str. 175. Towarzystwo Przyjaciół Ossolineum, Wrocław 1997.
- SERWATKA (Tomasz). *Polacy i Czesi dziesięć wieków sąsiedztwa*. Str. 127. Wyd. Ziemia Kłodzka, Nowa Ruda 1998.
- SHANDOR (Vincent). *Carpatho-Ukraine in the Twentieth Century*. A Political and Legal History. Str. 321. Ukrainian Research Institute, Harvard University, Cambridge 1997.
- SOKOŁOWSKI (Wojciech). *Politycy schyłku złotego wieku*. Małopolscy przywódcy szlachty i parlamentarzyści w latach 1574-1605. Str. 199. Wydawnictwo Sejmowe, Warszawa 1997.
- STĘPNIAK (Władysław). *Archiwalia polskie w zbiorach Instytutu Hoovera Uniwersytetu Stanforda*. Str. 261. Naczelna Dyrekcja Archiwów Państwowych, Warszawa 1997.
- STĘPNIK (Krzysztof). *Rekonstruksje*. Studia z literatury i publicystyki okresu I wojny światowej. Str. 205. Wyd. UMCS, Lublin 1997.
- Sylwester Wojewódzki przed Sądem Marszałkowskim*. Oprac. J. Kochanowski i Sz. Rudnicki. Str. 269. Wyd. Sejmowe, Warszawa 1997.
- Tajne dokumenty Biura Politycznego*. PRL-ZSRR 1956-1970. Wstęp A. Paczkowski. Str. 670. Wyd. ANEKS, Londyn 1998.
- TARKA (Krzysztof). *Konfrontacja czy współpraca? Litwa w polityce Rządu Polskiego na uchodźstwie 1939-1945*. Str. 182. Wyd. Uniwersytetu Opolskiego, Opole 1998.
- TARKA (Krzysztof). *Litwini w Polsce 1944-1997*. Str. 268. Wyd. Uniwersytetu Opolskiego, Opole 1998.

OKRUCHY HISTORII

Stanisław GAJDZICA

O INTERNOWANIU INACZEJ

Wobec bardzo jednostronnego przekazu, jakim mass media traktują nasze społeczeństwo w odniesieniu do martyrologii internowanych Polaków w obozach sowieckich w latach 1939-41 postanowiłem opisać ich całkiem odmienny obraz, który to obraz był moim udziałem w r. 1939, co nie oznacza, że zamierzam w jakikolwiek sposób podważać tragedię Katynia, Charkowa oraz innych jeszcze miejsc naszej, jakże tragicznej, pamięci.

Otóż w wojnie 1939 r. walczyłem od 14.09. do 25.09 lub 26.09. jako ochotnik w tzw. Ochotniczej Grupie Wypadowej mjr. Dudzińskiego w Północnym Froncie Gen. Dęba-Biernackiego. Byłem tam d-cą plutonu c.k.m. w stopniu sierżanta podchorążego.

Po wyparciu Niemców z Krasnobrodu, co miało miejsce 25 lub 26 września oraz zniszczeniu ciężkiej broni i taboru samochodowego, kilkusetosobowa grupa wojska, pod dowództwem płk. Ducha, klucząc lasami w kierunku południowym postanowiła dojść niepostrzeżenie do granicy węgierskiej.

W dniu 28 września, osiągnąwszy wieś Wola Obszańska, wychodząc o świcie z lasu, natknęliśmy się na wojska sowieckie, przed którymi – po krótkich pertraktacjach – złożyliśmy broń. Złożenie broni nastąpiło już w sąsiednim Dzi-

kowie, gdzie nas przyprowadzono, a gdzie znajdowało się (chyba był to pałac) dowództwo sowieckiej jednostki.

W wyniku pertraktacji około 100 oficerów i podchorążych zostało internowanych a pozostali żołnierze uzyskali wolność.

Następnie poprzez Jaworów, gdzie na stołach i podłodze stacyjki kolejowej przespaliliśmy pierwszą noc, zostaliśmy przewiezieni do Lwowa (obiad w restauracji hotelu „George”), by ostatecznie wyładować w budynku gimnazjum w Złoczowie. Tu w dniu 29 września pożegnał się z nami d-ca konwoju w stopniu majora, oferując przesłanie pocztą polową krótkich, lakonicznych listów do rodzin, mieszkających w strefie sowieckiego działania.

Dopiero w dniu 3 października dowieziono nas poprzez Zborów (jedna noc na plebanii grekokatolickiej) do koszar na przedmieściu Tarnopola, by piątego dojechać do majątku Frydrychówka, poprzez Podwołoczyska (Zbrucz) i Wołoczyska.

Przespaliliśmy jedną noc w zabudowaniach gospodarczych, nie przygotowanych w ogóle do pełnienia – choćby czasowo – tego rodzaju funkcji i rano następnego dnia załadowano nas w Wołoczyskach do pociągu i transportem wojskowym dojechalśmy w dniu 11.10. do Starobielska.

Po wyładowaniu i uformowaniu kolumny marszowej skierowano nas do miasta, do starej cerkwi, przeznaczonej na obóz. Nie dla wszystkich jednak wystarczyło tam miejsca, dlatego też tych, co szli w ogonie kolumny, skierowano do zabudowań przywieziennych. Były to 3-4 dość długie parterowe, murowane budynki, w których ulokowano nas na siennikach, rozłożonych na podłodze. Jednym z tych budynków była chyba świetlica, przeznaczona dla personelu więziennego, a co najważniejsze znajdował się w niej, zamknięty w skrzyni na klucz, aparat radiowy. Nie przeszkadzało to w najmniejszym stopniu naszym oficerom z 1. p. lotniczego, aby już w pierwszym dniu dobrać się do niego. Odtąd mieliśmy zapewniony stały serwis informacyjny nie tylko z Moskwy. Naturalnie, że wszystko to odbywało się potajemnie.

Był całkowity prymityw. Całą noc świeciło się w pomieszczeniach światło elektryczne, włączane i wyłączane

centralnie – podobnie jak radiowy „kołchoźnik”. Rozkład dnia nie był niczym ograniczony poza porą posiłków, które przynoszono w kotłach z kuchni więziennej o godz. 10 i szesnastej. Ta druga pora to obiad, który składał się niezmiennie z „borszczu”, gotowanego czasem na małych rybkach. Fasowaliśmy też suchy prowiant, którym była słodzona herbata (chyba owocowa), tytoń i coś tam jeszcze. Wszystko to, co otrzymywał żołnierz, nie wiem czy tylko NKWD, bo chyba oni nas dozorowali. Poza tym dzień urozmaicaliśmy sobie systematycznym łowieniem wszy, które bardzo lubiły ciepłko naszych ubrań w nocy a nie znosiły przymrozonego dnia.

Z lubością i sentymentem oglądaliśmy też w kółko album 10-lecia Polski, wydany w r. 1928, który był własnością jednego z oficerów załogi Lwowa. Nieustannie komentowaliśmy niezrozumiały dla nas przebieg wojny z jego klęską i bieżące wydarzenia, które posiadaliśmy z tajnego radia, jak już pisałem.

Po kilku dniach pobytu, może po tygodniu, dostarczono nam sprzęt do gry w siatkówkę. Słupy i siatkę zamontowaliśmy sami, bo dozorujący nas żołnierze, nie tylko nie mieli o tym pojęcia ale coś takiego pierwszy raz oglądali. W krótkim czasie, ucząc się od nas poprzez wspólną grę, stali się jej entuzjastami.

Najciekawszym i najprzyjemniejszym sposobem spędzania – jakże wiele wolnego czasu – był handel, który tak sprzedający, jak i kupujący, z lubością uprawiali. Wszystkie drobiazgi miały chętnych nabywców i osiągały bardzo wysokie ceny. Rekordy zainteresowania a tym samym i cen były czasy, sprzedawane przeciętnie za 300 rubli, jeśli do tego były to zegarki nie kieszonkowe a naręczne.

Ku mojemu wielkiemu wstydowi muszę odnotować, że jeden z moich towarzyszy niedoli, mając zaufanie do moich zdolności handlowych, dał mi do sprzedaży zegarek kieszonkowy. Doczepiłem do niego miedziany łańcuszek, wypolerowany na połysk i jako złoty, sprzedałem go za 400 rubli. Na drugi dzień usłyszałem wymówkę: „ej ty chytry polaczek, to nie złoto” i na tym się skończyło. Nawet nie zażądał unieważnienia transakcji.

Dużym urozmaicheniem było też zgłoszenie się do *wracza*, który przyjmował w obozie głównym, tj. w cerkwi. Po pierwsze dlatego, że można było zobaczyć miasto. Co prawda szło się pod konwojem ale nie nazbyt rygorystycznym. Po drugie, można było próbować znaleźć kolegów i zobaczyć, jak oni żyją a co najważniejsze można było dokonać drobnych zakupów w obozowej *ławoczce* (sklepiku).

Dowiedziałem się m.in. i o tym, że pomieszczenia wewnętrzne obozu (drewniane, etażowe prycze, stoły i ławki) budowali sami internowani za dzienną stawkę 4 ruble, która to stawka obowiązywała na wszystkie roboty, na które internowani mogli się – brzydko mówiąc – załapać. Było to ładowanie tarczyc na stacji kolejowej a także prace miernicze na ulicach miasta (Polak potrafi!).

Interesujące też było, że w drodze do obozu, przechodziło się koło jedno- lub dwupiętrowego murowanego budynku, w którym osadzono generałów i oficerską starszyznę.

Od czasu do czasu zdarzało się, że kobieta (chyba żona naczelnika więzienia lub jego zastępcy) wychodziła poza próg ich służbowego mieszkania, które znajdowało się w parterowym budynku, usytuowanym z boku przywieźniennego podwórka i dając potajemne znaki najbliższemu stojącemu, wręczała pośpiesznie i niezauważalnie dla innych, opakowane w gazetę, kilka nieforemnych kawałków cukru i szybko wycofywała się do mieszkania.

Po kilku dniach pobytu nastąpiło bogate w skutki wydarzenie. Przystąpiono mianowicie do rejestracji internowanych. Do ustawionego na podwórku długiego, nakrytego czerwonym materiałem stołu, internowani podchodzili gęsiego, podając swoje personalia i oddając swoje dokumenty i notatki, tzw. *prypiski*. Ci zaś, którzy nie mieli na sobie mundurów – a do takich ja należałem – przyznawali się do stopnia oficerskiego lub nie. Prawdziwość złożonych zeznań potwierdzali własnoręcznym podpisem.

I tu wybuchła bomba. Któryś z oficerów, znający cyrylicę przeczytał, że na gotowym druku, który podpisujemy, widnieje określenie – podpis jeńca (*wojennoplennyj*). Zrobiło się zamieszanie. Nie dość, że internowani odmówili dalszego podpisywania, to jeszcze w dodatku ci, którzy podpisy już

złożyli, zażądali ich unieważnienia. Skończyło się na niczym ale prawdopodobnie efektem tego wydarzenia było – w następnym dniu – ustawienie nas wszystkich w odpowiedni szczyk wojskowy na podwórku, między zabudowaniami. W wyniku wydania ostatniej komendy stanęliśmy szeregiem w postawie na baczność, frontem do ściany budynku, nie dalej, jak 1/2 m od ściany. Ponieważ po komendzie „baczność” nie nastąpiła żadna inna a czas mijał, zareagowaliśmy śmiechem i dowcipami, nie zdając sobie sprawy ani na moment, jak poważna była to groźba. Dopiero później przyszła refleksja ale i tak zawsze traktowano ten incydent jako straszenie naiwnych.

Ten spis pozwolił komendanturze obozu zakwalifikować na wyjazd do obozu w Kozielsku tzw. „służby ucisku” a więc sędziów, prokuratorów, policjantów i żandarmów, a co najważniejsze dla nas nie-oficerów i tzw. cywilów (z wyjątkiem podanych wyżej służb) przekazać Niemcom, jeśli tylko pochodzili z terenów objętych niemiecką okupacją.

Ponieważ przez cały, krótki zresztą, okres działań wojennych nie było dla mnie munduru a w dodatku nie byłem formalnie oficerem, szybko zrozumiałem w czym leży szansa i w pełni ją wykorzystałem.

Dnia 24 października, po nocy przespanej już nie na deskach obozu głównego w cerkwi, zostałem objęty transportem, który w sile kilkudziesięciu wagonów (chyba 40) ruszył północną drogą na zachód. Charków-Konotop-Kijów-Koroścień-Olewsk-Sarny-Kowel-Jagodzin n/Bugiem.

Muszę jeszcze wspomnieć, że odjazd z obozu poprzedzony był kąpielą w miejskiej *bani*, obsługiwanej przez kobiety a jedynym mężczyzną w obsłudze był fryzjer, któremu można było się wywinąć z ostrzyżenia na tzw. nulkę.

Dowodem tego, jak byliśmy nieświadomi ewentualnych zagrożeń, co wynikało z ludzkiego traktowania nas, niech będzie sprokurowane przeze mnie „przedsięwzięcie”. Otóż na stacji małego miasteczka Olewsk, które spełniało dotychczas funkcję granicznej miejscowości na zachodzie Związku Sowieckiego, a było to w dniu 29.10., cały skład pociągu odstawiono na bocznice towarową w brzozowym lesie. Z każdego wagonu wyznaczono po 3-4 osoby, które pod konwo-

jem, z wiadrami w rękę, maszerowały do stacji po wodę do picia. Wykorzystałem nieuwagę konwojenta (a był już zmrok) i „urwałem” się, aby w miasteczku dokonać zakupów za posiadane ruble. Ale było już za późno. Na szczęście trafiłem do hurtowni (*magazin*) cukru, gdzie na noc przysparnęli mnie stróż oraz sprzątaczkę. Rano dyrektor *magazynu* posłał do sklepu jedną z urzędniczek, aby uzupełniła innymi wiktuałami, zakupiony u niego cukier. Zorientowany w kierunku marszu szczęśliwie i cało wróciłem do zalesionej bocznicy a natknąwszy się na skraju lasu na wartownika zostałem spokojnie doprowadzony do swojego wagonu.

Dnia 3.11. opuściliśmy Olewsk, by przez Sarny i Kowel w następnym dniu dotrzeć do Jagodzina. I znów po jednodniowym postoju na stacji (w wagonach) tj. dnia 5.11. nastąpił dla nas historyczny moment. W ramach obopólnej wymiany, która miała miejsce na przerzuconym przez Bug pontonowym moście, pożegnaliśmy się ze statusem internowanych przez armię sowiecką a staliśmy się jeńcami niemieckimi. Na stacji kolejowej Dorohusk załadowano nas do wagonów i poprzez Chełm, Lublin i Dęblin dowieziono nas do Radomia. Tu, po przebytej na siedząco nocy, w miejscowych koszarach, zostaliśmy ponownie załadowani do transportu, który zmierzał wprost do obozu jenieckiego na południu Niemiec.

Nie czas i miejsce na opisywanie szczegółowych wydarzeń, które udało mi się zrealizować. Dlatego podam w skrócie: szczęśliwego dla mnie dnia 6.11., około godz. 18 wyskoczyłem z jadącego pociągu, między stacjami Skarżysko-Kamienna – Suchedniów i po niewielkich perypetiach, towarzyszących pieszej wędrówce, przybyłem do Krakowa w dniu 10.11. W następnym dniu, tj. 11.11. a więc w dniu Święta Niepodległości, przyjechałem szczęśliwie pociągiem do Dziedzic, które były dla mnie miejscem stałego zamieszkania.

Ostatni akapit mojej relacji dotyczy zakończenia konkretnego wycinka mojego życia a teraz uzupełniam ją w dużym skrócie.

Nie niepokojony przez Niemców do marca 1940 r., zostałem w kwietniu wywieziony na roboty do Niemiec, do Wrocławia (Famo-Werke, teraz Dolmel). Tam zostałem

zwerbowany do działalności wywiadowczej w komórce Wywiadu Ofensywnego Komendy Głównej ZWZ. Dnia 16 marca 1943 r. zostałem aresztowany w Krakowie przez gestapo i skazany wyrokiem Trybunału Narodowego (*Volksgericht*) w dniu 6.02.1944 na karę ciężkiego więzienia, zamienionego na obostrzony obóz. Zaliczyłem między innymi więzienia: Monteluppich w Krakowie, Moabit i Tegel w Berlinie, Wrocław oraz Rawicz i Griebo/Coswig a.d. Elbe. W dniu 25.04. uzyskałem wolność i pieszo wróciłem do domu na Śląsk na swoje urodziny, tj. 13 maja 1945 r.

Stanisław GAJDZICA

Maria Aleksandra BALIŃSKA

CHOROBA JAKO IDEOLOGIA

TYFUS PLAMISTY W OKUPOWANEJ POLSCE (1939-1944)

„Nous avons trop vacciné, cette guerre ne finira jamais!”.
Słowa przypisane L. Contiemu (pod pseudonimem
dra Harrasa), kierownikowi zdrowia III-ej Rzeszy,
w: L.F. Céline, „Nord” (Paris, 1960), s. 126.

W 1941 r. niemieckie władze sanitarne w Polsce zarządziły, że Żyd znaleziony poza terenem getta ma być natychmiast rozstrzelany – obawiano się, że może być zarażony tyfusem (*Flecktyphusgefahr*). W imię zdrowia publicznego dorażna egzekucja człowieka została w ten sposób zalegalizowana.

Zarządzenie to sformułowano na zjeździe lekarzy niemieckich w Krynicy, w którym uczestniczył młody bakterjolog z Frankfurtu, dr Rudolf Wohlrab, zajmujący wtedy prestiżowe stanowisko w *Staatliches Institut für Hygiene*

(przed wojną i dzisiaj Państwowy Zakład Higieny w Warszawie) jako kierownik produkcji szczepionek antytyfuszowych oraz zastępca dyrektora odpowiedzialnego za zwalczanie tyfusu (*Fleckfieberbekämpfung*). W 1995 r. mieszkał on w Hanowerze i zgodził się spotkać ze mną.

Dzięki licznym opracowaniom znamy mentalność zbrodniarzy hitlerowskich, którzy pracowali w obozach, ale niewiele wiemy o Niemcach, którzy w czasie okupacji zajmowali ważne stanowiska, którzy wiedzieli, lub mogli wiedzieć, o polityce eksterminacyjnej, chociaż nie byli związani bezpośrednio z *Endlösung*.

Przeprowadzając wywiad z doktorem Wohlrabem, chciałam dowiedzieć się, co może o tym myśleć pół wieku po wojnie zwykły naukowiec, który pracował nad chorobą tak symboliczną i „kompromitującą” jak tyfus.

Tyfus (lub dur) plamisty jest chorobą, o której dziś prawie zapomniano. A jednak w pierwszej połowie XX-go wieku zmarły na tyfus miliony ludzi we wschodniej Europie. Można stwierdzić bez przesady, że epidemie tyfusu należą do najważniejszych rozdziałów obu wojen światowych.

Każdy, kto przeżył drugą wojnę w Polsce, tę chorobę pamięta. Żyd, według Niemców, miał być „naturalnym” nosicielem tyfusu, i pod tym pretekstem stworzono getta. Wiadomo, iż skazanym na komory gazowe mówiono, że idą do odwszalni. Nauka niemiecka głównie interesowała się tyfusem, mimo że w okupowanej Polsce nie brakowało innych chorób zakaźnych. Miało to także ścisły związek z interesami niemieckiego przemysłu farmaceutycznego, który zaczął wyrabiać szczepionki przeciw tyfusowi w ogromnych ilościach. Skąd ta predylekcja, skąd prawdziwa obsesja tyfusem ze strony Niemców? Źródło tego należy szukać w skutkach pierwszej wojny światowej.

Tyfus plamisty, roznoszony przez wszy, od czasów starożytnych pojawiał się często w czasie wojny z powodu braku podstawowych warunków higieny. Na początku pierwszej wojny światowej wybuchła poważna epidemia w Serbii, w wyniku której umarło 150.000 osób w ciągu kilku miesięcy. W Polsce sytuacja była wtedy pod kontrolą władz austriackich i niemieckich. Po ich wycofaniu pod koniec 1918 r.,

epidemia tyfusu, która już wybuchła w Rosji, szybko przeszła przez Ukrainę do Polski. Uważano, że w samej Rosji chorowało na tyfus od 1919 do 1921 r. do 30 milionów ludzi, z czego 3 miliony zmarły. Liga Narodów założyła specjalną Komisję Epidemiologiczną, aby pomagać Polsce (Rosja sowiecka jeszcze nie była członkiem Ligi) w zwalczaniu przede wszystkim tyfusu. Chorobę przenosili liczni wychodźcy oraz wojsko sowieckie w czasie wojny polsko-sowieckiej. Niektórzy mężowie stanu na Zachodzie obawiali się zakażenia całej Europy. Niemcy uważali, że bronią kraje zachodnie przed epidemiami, tworząc jakby *Seuchenschutzwall*¹ (mur przeciwepidemiczny).

W okresie międzywojennym Polska kojarzyła się na Zachodzie z tyfusem, brudem i nędzą. Francuski dziennikarz tak opisał swój przyjazd na dworzec warszawski: „Co za smród! Czuć sadzą, skórą barania, potem, brudem. Ci ludzie nigdy się nie myli w całym ich nędznym życiu. Od robactwa pewno się na nich aż roi. Ach! Ten wschód! Ten wschód!”².

Chociaż w Europie Środkowej od roku 1922 epidemie tyfusu wygasły, choroba nie zniknęła zupełnie. W Polsce pod koniec lat trzydziestych notowano kilka tysięcy przypadków rocznie. Ponieważ jeszcze nie istniały środki owadobójcze, dzięki którym uniknięto epidemii po drugiej wojnie światowej, w Warszawie, we Lwowie, Frankfurtach, Bostonie czy Tunisie wielu najlepszych naukowców pracowało nad wynalezieniem szczepionki antytyfusowej.

Ponieważ człowiek jest jedynym znanym rozsądnikiem tyfusu, choroba łatwo służyła tezom rasistowskim. W pewnej chwili propaganda niemiecka zaczęła szerzyć pogłoski, że ludzie ze wschodniej Europy, a szczególnie Żydzi, są „naturalnymi” nosicielami tyfusu. Ciekawy jest fakt, że z groźby wschodniej: słowiańskiej czy bolszewickiej, tuż po pierwszej wojnie światowej, tyfus przemienił się w groźbę ściśle żydowską przed drugą wojną światową. Typowy „dokumentalny”, tj. propagandowy, film medyczny pokazywał anonimowe, ale wschodnioeuropejskie miasto, tłumy

1. Stefan Wulf, „Das Hamburger Tropeninstitut 1919 bis 1945”, Berlin, Dietrich Reimer Verlag, s. 21.

2. Robert Tourly, „Berlin-Varsovie-Dantzig”, Paris, 1928, s. 52-53.

nędzarzy i brodatego Żyda drapiącego się gorączkowo, a wreszcie źródło jego nieszczęścia: wesz.

Tego rodzaju filmy można było oglądać w Paryżu podczas okupacji. Opisuje to znany pisarz Louis Ferdinand Céline w swojej powieści autobiograficznej „Nord”. Wspominając swoje spotkanie z doktorem Harrasem (w rzeczywistości Leonardo Contim) napisał: „Skąd ja go znałem, tego Harrasa? Trzeba do wszystkiego się przyznać! Z seansu filmu na Polach Elizejskich! Był to film czysto dokumentalny na temat tyfusu w Polsce...”³.

W latach trzydziestych w Niemczech uważano, że tyfus z samej natury jest chorobą wschodnioeuropejską, a z czasem tyfus zaczął coraz bardziej być łączony z Żydami. Nonsens ten Niemcy doprowadzili do absurdu, sami wywołując epidemie w świeżo okupowanej Polsce masowymi przesiedleniami ludności.

Paradoksalnie, przedwojenne miejsce pracy prof. Ludwika Hirszfelda – Państwowy Zakład Higieny (PZH) – stał się jednym z najważniejszych centrów niemieckich zajmujących się badaniami nad tyfusem. PZH, założony przez Ludwika Rajchmana w 1918 r. na wzór Instytutu Pasteura, cieszył się uznaniem międzynarodowym i przyciągał w okresie międzywojennym szereg wybitnych naukowców, takich jak Ludwik Anigstein, Witold Chodźko, Kazimierz Funk, Ludwik Hirschfeld, Helena Sparrow⁴. Podczas okupacji Niemcy korzystali z infrastruktury PZH, aby prowadzić walkę z epidemiami na terenie Generalnej Guberni. Pod nadzorem niemieckim PZH zajmował się głównie produkcją szczepionki przeciwtyfusowej.

Wywiad z doktorem Wohlrabem (21.02.1995, Hanower)

Rudolf Wohlrab, z którym spotkałam się w lutym 1995 r., był wtedy jedynym jeszcze żyjącym naukowcem z tych, którzy pracowali w PZH podczas okupacji. Chociaż nie

3. L.F. Céline, *op.cit.*, s. 116.

4. O PZH, zob. Balińska, „The National Institute of Hygiene and Public Health in Poland, 1918-1939”, „Social History of Medicine”, grudzień 1996, s. 427-445.

należał do partii narodowo-socjalistycznej, był członkiem Towarzystwa Lekarzy Nazistowskich (*National-sozialischer Deutsche Ärztegebund*) kierowanego przez Contiego. Był to prawdopodobnie warunek *sine qua non* aby otrzymać takie prestiżowe stanowisko: mając zaledwie 31 lat był na drugim miejscu w niemieckiej hierarchii w *Staatliches Institut für Hygiene*.

Pięćdziesiąt lat po wydarzeniach dr Wohlrab – jak sam mówił – nie żałował lat spędzonych w Polsce. „Faszyzm – mówił – jest przejawem pogardy (*Aktivismus der Verachtung*), ja nie byłem temu winien. Nigdy zatem (...) nie musiałem się czego bać. (...) Jeszcze dzisiaj jestem bardzo dumny ze swojej pracy przy ul. Chocimskiej 24 i na Amelinie; byłem wtedy młody i musiałem wszystko sam robić”.

Z nostalgią wspominał Warszawę: „wspaniałe wtedy miasto” – gdzie urodziła się jego pierwsza córka. Nie miał nic przeciwko Polakom jako takim, ale „masy” mu się nie podobały, tak jak i cała „legenda” wokół tożsamości środkowoeuropejskiej, a szczególnie w granicach polskich. Według niego, okupacja niemiecka w Polsce nie była gorsza niż „okupacja” Litwy przez Polaków w okresie międzywojennym. Miał tylko wyrzuty sumienia, że zwolnił z pracy dwie Żydówki, ale i to zrobił – jak twierdził – tylko pod presją polskich kolegów w PZH, którzy bali się niebezpieczeństwa, spowodowanego ich obecnością. „Ja nie byłem antysemitą, ale nie można było o tym mówić”.

Dr Wohlrab chętnie opowiadał o swojej przeszłości, o tym, że urodził się w Londynie, gdzie pracował jego ojciec, że później cała rodzina przeniosła się do Petersburga i mieszkała tam do wybuchu rewolucji. Karierę, jako bakteriolog, zaczął w Berlinie jako pomocnik Richarda Otto, który w czasie pierwszej wojny światowej był *Flecktyfusokommissär* na okupowanej Litwie. Kiedy Otto został mianowany kierownikiem Instytutu Paula Ehrlicha we Frankfurcie, tam się z nim przeniósł.

„Wtedy nikt nie myślał o wojnie, ale Otto był starym lekarzem wojskowym i chciał dalej prowadzić badania nad tyfusem. (...) Przez trzy lata pracowałem wyłącznie nad tyfusem. Na wiosnę 39 r. odkryłem, że surowicę przeciwtyfusową można produkować z jajek” – mówił dr Wohlrab. Uważał on

to odkrycie za najważniejszy swój wkład do dziedziny naukowej, ponieważ można było produkować tę szczepionkę w dużych ilościach i o wiele łatwiej niż szczepionkę Rudolfa Weigla (uważaną jednak zawsze za o wiele lepszą). Na pytanie, dlaczego zdecydował się pojechać do Warszawy w roku 1940, odpowiedział w sposób niejasny. Najpierw, że był to rozkaz Wehrmachtu, potem przypomniał sobie, że propozycja przyszła z Instytutu Medycyny Tropikalnej w Hamburgu. W każdym razie „to było naturalne dla trzydziestoletniego człowieka – taka okazja!”.

Tropeninstitut w Hamburgu, założony na początku wieku, miał spełniać w koloniach niemieckich rolę podobną do zamorskich instytutów pasteurowskich. Po pierwszej wojnie, wobec utraty kolonii, Instytut działał jednak dalej na użytek zagranicy poprzez misje „humanitarne” naukowców, m.in. w Rosji i w Ameryce Południowej. Z wybuchem drugiej wojny światowej nagle odzyskał swoją dawną rolę w krajach tym razem okupowanych.

„*Tropeninstitut* zawsze walczył o własne istnienie” – tłumaczył dalej dr Wohlrab. „Był na utrzymaniu miasta Hamburga i stale był zagrożony likwidacją. Hamburgczycy nie chcieli mieć nic do czynienia z Rzeszą, a potrzebowali pieniędzy. A więc natychmiast wykorzystali tę okazję jaką była Warszawa, spiesząc się aby nikt ich nie ubiegł (...)”. Tak powstał zakład tyfusowy w Warszawie, właściwie założyła go firma farmaceutyczna Bayera, a dr Wohlrab został zaproszony do Warszawy, gdzie pojechał. Przed wojną nigdy nie słyszał o Polskim Zakładzie Higieny: „Przyjechałem i wszystko stworzyłem z niczego. Szczepionka z jajek została zaakceptowana (...). Większa część produkcji szła na Węgry – armia węgierska została zaszczepiona warszawską szczepionką z jajek! (...) Naszą szczepionkę sprzedawano na czarnym rynku za 750 marek, czyli 1500 złotych za jedną dawkę; polscy współpracownicy nie bardzo w tę szczepionkę wierzyli, bo była zbyt łatwa do wyrabiania. Ale było dobrze, wypróbowaliśmy ją na pracownikach (...) i wtedy wiedzieliśmy, że mieli gorączkę nie przez 14 dni a tylko przez 5 lub najwyżej sześć”.

Nie brakowało też królików doświadczalnych: „W więzieniu na Mokotowie około dwóch tysięcy więźniów zostało

zaszczepionych naszą szczepionką (...), niektórzy dziesięć razy więcej, niektórzy dziesięć razy mniej. (...) Trzy razy mnie poproszono, aby wysłać moje szczepionki do obozów: w 1939 r. we Frankfurcie, w 1940 w Warszawie, w 1945 r. w Poznaniu, do Oświęcimia, ale zawsze odmawiałem. Zresztą nie wiedziałem, co się tam dzieje, nic o tym nie słyszałem. Nie wiedziałem, gdzie te obozy się znajdują...”.

Czy to naprawdę możliwe, że dr Wohlrab nie wiedział, co dzieje się w obozach koncentracyjnych? Nie starał się ukrywać swojej obecności na zjeździe lekarzy niemieckich w Krynicy, zresztą Towarzystwo Lekarzy było poważnie zaangażowane w zbrodnie wojenne.

Mimo swego prestiżowego stanowiska dr Wohlrab nie był oficjalnym dyrektorem Instytutu Higieny w Warszawie. Był nim Robert Kudicke, były student Roberta Kocha, który pracował w latach dwudziestych na wydziale medycznym Uniwersytetu Sun Yatsen w Kantonie. „Profesor Kudicke był o 20 lub 30 lat starszy ode mnie, ale miał do mnie całkowite zaufanie. Byłem z nim bardzo blisko, ale nigdy nie mówiliśmy o antysemityzmie. Ja nie byłem antysemitą i trudno było o tym mówić”.

Innym bliskim kolegą dra Wohlraba był Wilhelm Hagen, kierownik wydziału zdrowia miasta Warszawy, który przed wojną był znanym propagatorem idei eugenicznych. „Hagen był wspaniałym człowiekiem – wspominał dr Wohlrab – był moim dobrym przyjacielem. (...) W pewnym momencie domagał się ode mnie potwierdzenia, że należy natychmiast rozstrzelać Żydów poza terenem getta. Odpowiedziałem mu, że chyba zwariował, że może to mówić innym, ale nie mnie. Udało mi się jakoś wybrnąć. Hagen po prostu myślał, że tak musi być (...) ale przecież tyfus to nie kwestia rasy, to kwestia klasy!”.

Tyfus jako „kwestia klasy” w getcie warszawskim, gdzie żyło 30% mieszkańców Warszawy na 5% terenu miasta? Ale najbardziej niespodziewane ze wszystkich twierdzeń dra Wohlraba było to, że „nie było epidemii tyfusu w getcie. Bardzo się obawialiśmy, ale wielu wypadków nie było. Zostało to strasznie przesadzone i nie można było mieć zaufania do żadnej liczby”.

Czy po prostu kłamał czy zapomniał? Jak tłumaczyć takie fałszywe stwierdzenie zwłaszcza u lekarza-bakteriologa? W getcie warszawskim według żydowskich lekarzy było w samym 1941 r. 15.398 przypadków tyfusu plamistego zgłoszonych, ale prawdopodobnie liczba zachorowań była pięciokrotnie wyższa. Dr Henryk Makower pisze w swoich wspomnieniach: „Właściwie chodziło (w getcie) tylko o jedną chorobę: tyfus plamisty”. A inny lekarz pamięta, że śmiertelność w przypadkach tyfusu była ok. 40% i że afisze *Juden = Laus* były podpisane przez Hagen⁵.

„Hagen odważył się wykorzystać pociągi SS z aparatami rentgenowskimi, aby badać gruźlicę u polskich i żydowskich dzieci” – wspominał dr Wohlrab. „One były już od dawna skazane, jednak dobry Hagen o tym nie wiedział i mógł sobie na to pozwolić, ponieważ miał przyjaciół, którzy byli blisko Hitlera. On mógł z tego wybrać”.

Chciał dr Wohlrab nie słyszał o Państwowym Zakładzie Higieny przed wojną, jednak wiedział kim był Ludwik Hirszfeld. „No, przecież Hirszfeld był pierwszym, który ustalił grupy krwi. To było słynne nazwisko... Kiedy przyjechałem do Warszawy zobaczyłem go w getcie, może w październiku 1940 r. Szczera rozmowa była zupełnie niemożliwa. Wszystko było bez sensu, wszystko co tam się mówiło. Wtedy też widziałem pierwszy raz obrzek głodowy u młodych Żydów. To był jedyny raz kiedy byłem w getcie warszawskim, ale potem byłem znowu w rejonie krakowskim w drodze do Lwowa (...). Tam poznałem lekarzy powiatowych, ale to były świny, zupełnie było niemożliwe z nimi rozmawiać. Ale im też było bardzo trudno! Miałem bardzo dobrego przyjaciela, Lambrechta. Był dumny, że w Lembergu – nie we Lwowie – założył pierwsze getto. To było w 40 roku, potem założył getto w Warszawie i chciał, żebym potwierdził, że musiał to zrobić z powodu tyfusu. A ja mu powiedziałem, że nie może tego ode mnie wymagać, że jest to bez sensu. Tłumaczyłem, że to nie Żydzi chorują na tyfus ale niższe klasy, a najniższe klasy to nie ma nic wspólnego

5. Archiwum ZIH, teka Ringelbluma, sygn. 363 „Walka z tyfusem”; wywiad z drem St. Tomkiewiczem; H. Makower, „Pamiętnik z getta warszawskiego”, Ossolineum, 1987, s. 105.

z Żydami. Pierwszy raz, kiedy spotkałem Żyda (*sic*), miał gwiazdę i szedł z chodnika na jezdnię, zdjął czapkę, w taki sposób mnie witał. To mi się zdarzyło raz, potem zawsze patrzyłem w bok i przechodziłem na drugą stronę ulicy, aby mi się nikt nie mógł tak kłaniać. To było straszne”.

Tu opowiadanie dra Wohlraba stało się coraz bardziej chaotyczne, pełne sprzeczności, zdradzając jego skrępowanie. „Po wojnie Hirszfeld powiedział, że jak byłem przez te cztery lata w Warszawie to powinienem wiedzieć jak było. Najcięższym zarzutem Hirszfelda było to, że Kudicke i inni koledzy niemieccy sprzed wojny powinni ich uprzedzić. To nonsens. Przecież nie mogliśmy ich uprzedzić, bo myśmy sami nie wiedzieli, co się tam dzieje. Tyle już zostało na ten temat powiedziane... To wszystko wykonało niewielu ludzi, niewielu zbrodniarzy, którzy sami nie wierzyli, że to jest możliwe. To oni tę całą morderczą akcję wykonali poza granicami niemieckiego Reichu, w okupowanej Polsce itp. Wszystko zostało dawno przedtem przygotowane. To był rodzaj podludzkich zbrodniarzy (*Untermenschenverbrechertypen*). Nie powinniśmy mieć zatem zbyt dużo wyrzutów sumienia. To nie miało żadnego sensu, że (Żydzi) musieli chodzić po drugiej stronie ulicy”.

Co do powstania w getcie warszawskim: „Wiedzieliśmy o tym, dużo słyszeliśmy... o najbardziej śmiałych epizodach. Ale w każdym razie nic nie można było zrobić. Tak czy owak to nie było tak bohaterkie, jak to dzisiaj może się moim ówczesnym polskim współpracownikom wydawać. To była wojna. (...) Wy Polacy i wy Żydzi zawsze sławicie waszą przeszłość”.

Według dra Wohlraba jego badania w okupowanej Warszawie były normalną pracą. „Tyfus plamisty jest stosunkowo łatwy do zwalczania, ale ludzie są przerażeni, jak tylko słyszą słowo ‘tyfus’. Doprowadzało to wtedy do paniki. (...) W ogóle byłem zdziwiony, że tyfus nie był groźny dla Polaków, gdyż był już opanowany (przed wojną). Niepotrzebne było doprowadzanie ludzi do rozpacz, jak to zrobiła nasza polityka. Ze swej strony mogę tylko powiedzieć, że jestem dumny, że należę do tysięcy osób, które po raz pierwszy w historii wyeliminowały epidemię: już nie ma tyfusu! (*Fleckfieber ist weg!*)”.

Zamiast zakończenia

Jakie zakończenie dać temu wywiadowi? Czytelnik sam wyciągnie wnioski. Można by było poświęcić drugi artykuł samej analizie słownictwa narratora: słowo „niepotrzebne” w kontekście Zagłady, lub „dobry przyjaciel” o kimś, kto był „dumny, że stworzył pierwsze getto w Polsce”, należałoby podkreślać jak i wykazywać liczne sprzeczności jego opowieści. Z jego narracji wynika, że świadomie lub nieświadomie narrator chciał swoje przeżycia w Polsce zrelatywizować, znormalizować.

Zamiast więc zakończenia zacytujmy tekst kartki gwiazdkowej z lat 70-tych, którą Wohlrab dostał od Hageny i mnie dał przy pożegnaniu: „To dobrze, gdy my starzy możemy sobie mówić, że to, co przeżyliśmy i czego dokonaliśmy, odpowiada naszemu sumieniu. Oby tak dalej było”.

Maria Aleksandra BALIŃSKA

Bogdan BARTNIKOWSKI

„BATORY” PO WOJNIE

W końcu sierpnia 1945 wszedłem na obszerny dziedziniec przed gimnazjum im. Stefana Batorego w Warszawie. Z ciekawością patrzyłem na rozległy budynek z wypalonym pierwszym piętrem i połatany prowizorycznym dachem. Czy przyjmą mnie? Miałem tylko zaświadczenie, napisane na odwrocie jakiegoś niemieckiego druku, że w czerwcu 1944 ukończyłem sześć klas Publicznej Szkoły Powszechnej nr 13 w Warszawie przy ulicy Raszyńskiej. Jedynym dokumentem,

potwierdzającym moją tożsamość była *Arbeitskarta*, wydana w obozie pracy w Berlinie w lutym 1945.

Zostałem przyjęty. Mieszkalem kątem u rodziny na Powiślu, po powrocie z berlińskiego obozu, w maju, po zakończeniu wojny. U Batorego nie znałem nikogo i z zazdrością patrzyłem na kolegów, którzy już pierwszego dnia zajęć szkolnych odnajdywali znajomych ze szkoły na Drewnianej, gdzie tuż po wojnie, wczesną wiosną rozpoczęły się szkolne zajęcia. Ja miałem cały rok przerwy w nauce. Takich zresztą jak ja było wielu w naszej pierwszej klasie, w roku szkolnym 45/46.

Kilka dni przed początkiem szkoły, gdy byłem z matką na Targowej, gdzie kwitł handel, na wózku, pełniącym rolę lady sklepowej, zobaczyłem książkę pt. „Mówią wieki”. Był to podręcznik historii dla uczniów I klasy gimnazjum. Cena była horrendalna. Egzemplarz na straganie był jedyny, a z pieniędzmi było u nas bardzo krucho. Obracałem książkę w dłoniach, zajrzałem do środka. Dziwne ilustracje, piramidy, faraonowie, greccy bogowie, długie poematy. Mieć tę książkę, choć tę jedną na początek nauki! Matka spod serca wyrwała ostatnie złotówki. Książka okazała się jedyną w klasie! Miałem więc pierwszą satysfakcję i uznanie kolegów.

Wcisnąłem się w ławkę. W sali, która kiedyś była szatnią obok sali gimnastycznej, było straszliwie ciasno. Ławki z podnoszonymi pulpitemi były tak sfłoczone, że aby dostać się na swoje miejsce czy wyjść do tablicy, trzeba było iść po pulpitych. Ale byliśmy w szkole! Uczyliśmy się! I to tylko wtedy było ważne, we wrześniu 1945, w zrujnowanej Warszawie, w na pół spalonej szkole.

... – Antepowicz, Babicz, Bartnikowski, Berek... – czytał listę uczniów profesor o włosach długich do ramion i przenikliwych oczach. Przyglądał się nam uważnie, ale minę miał jakby znudzoną. Pytał krótko o rodziców, o ich zawody. Przy piątym czy szóstym nazwisku, gdy znów usłyszał, że ojciec ucznia zginął, lub jest gdzieś w świecie, profesor zapytał ostrym tonem: – Kto ma oboje rodziców, niech podniesie rękę.

Podniosło się sześć rąk na czterdziestu chłopaków. Profesor chwilę milczał. – No to, łobuzy – wycodził wreszcie jakby trochę zachrypłym głosem – będę wam musiał zastąpić

rodziców. Daj no mi pas – sięgnął do chłopaka w pierwszym rzędzie ławek, który miał na krótkich porciętach żołnierski pas z napisem na klamrze „Gott mit uns” – Już ja się za was wezmę.

Dowiedzieliśmy się od profesora, że nazywa się Marian Trojan i będzie nas uczył języka polskiego i historii. Pod koniec lekcji byliśmy w nim zakochani. Był to zdumiewający talent nauczycielski, wspaniała indywidualność, człowiek, który nas na swój sposób tyranizował, zmuszał do wytężonej nauki, do rozmiłowania się tak w literaturze polskiej jak i w historii. Jego oceny naszej wiedzy były zaskakujące, tak jak i sposób prowadzenia lekcji, z których każda była przeżyciem. Trudno mi dziś powiedzieć na ile Profesor realizował wszystkie wytyczne programu nauczania (był to początek pracy po wojnie, w szkolnictwie, które obok starych, wypracowanych w dwudziestoleciu metod i programów nauczania zaczynało już stosować nowinki). Jedno jest pewne – Profesor uczył nas kochać polski język i literaturę polską. Zafascynował nas historią starożytną, absolutnie dla nas nową. Bo okazało się, że historia i język polski u prof. Trojana bardzo często spletały się nierozdzielnie.

Wkrótce po rozpoczęciu nauki, w połowie września, wszystkie klasy pomaszerowały do sal Muzeum Narodowego aby obejrzeć wystawę „Warszawa oskarża”, otwartą w maju 1945 roku, a więc cztery miesiące po wyzwoleniu stolicy. Staliśmy w sali tuż obok leżącego króla Zygmunta III Wazy... któż widział go z bliska, mógł dotknąć ręką? My, wtedy, mogliśmy. Obok fotogramów oglądało się w muzealnych salach potrzaskane rzeźby, meble, porcelanę, nadpalone księgozbiory, pamiątki po ludziach, którzy tworzyli kulturę polską i odeszli w tragicznych pięciu latach wojny, zakończonych powstańczą hekatombą.

No cóż, mieliśmy swoje dwanaście czy nawet czternaście lat. Na wycieczkę do muzeum odpowiedzieliśmy więc spontanicznie (bez żadnych zezwoleń i zatwierdzeń dyrekcji szkoły) zorganizowaniem na korytarzu szkolnym wystawy „Batory oskarża”. Tyle, że u nas nie było dramatu wdeptanego w ziemię miasta i jego kulturalnego dorobku. U nas była na wystawie młodzieńcza kpina. Połamany fotel z napisem –

„Tron Batorego”. Najróżniejsze rupiecie, o które było niezwykle łatwo, gdyż żyliśmy wyłącznie wśród rupieci, z odpowiednimi, żartobliwymi napisami. Te rupiecie, te szczątki mebli i sprzętów były w zasięgu ręki, nawet w czasie codziennej pieszej – bo komunikacji miejskiej w rejonie „Batorego” jeszcze nie było – wędrowki do szkoły. Po kilku dniach pół korytarza było zastawione naszymi „eksponatami”. Trwała ta wystawa pewnie ze dwa tygodnie, tłumnie oglądana na przerwach, dopóki dyrektor Beranek z właściwą sobie powściągliwością nie kazał woźnym zwinąć tej „historycznej ekspozycji”.

W październiku przeprowadziliśmy się z naszej szatni klasy do oddanej właśnie do użytku nowej sali, w końcu szkolnego korytarza. W zrujnowanym, częściowo tylko ocalałym budynku, trwał remont, więc klas i pracowni wciąż przybywało. I wtedy zobaczyłem pierwszych w szkole harcerzy. Pomarańczowe chusty. Czarna opaska na naramienniku i liczba 23. Mundury. Czapki z lilijką. Na tablicy w hallu wisiały czasem zawiadomienia o zbiórkach. Któregoś dnia dowiedziałem się, że drużyna idzie po południu na spotkanie z gen. Eisenhowerem, który właśnie przyleciał z wizytą do Warszawy.

Drużyna właśnie wyruszyła. Maszerowała Myśliwiecką w górę, do Śródmieścia. Gdzieś od Pięknej niosły się ostre dźwięki fanfar i łoskot werbli. Były już tam inne drużyny harcerskie. Moi „pomarańczowi” głośno śpiewali „Pałacyk Muhla, Żytnie, Wola...” a przechodnie patrzyli na nich z wielką sympatią.

W Alejach Ujazdowskich było już tłoczno. Drużyny maszerowały w stronę Łazienek. Na plac przed Belwederem nie wpuszczano nikogo poza delegacjami i drużynami harcerzy. Udało mi się wejść razem z nimi. Po jakimś czasie, wśród braw i okrzyków, z Belwederu wyszedł marsz. Żymierski i gen. Eisenhower. Obeszli plac. Patrzyłem z ogromną ciekawością na – jak wołano dookoła – pogromcę Niemiec na Zachodzie. I gdy po zakończonej wizycie drużyny opuszczały dziedziniec przed Belwederem, już zdecydowałem, że też będę harcerzem.

W sąsiedniej klasie, o rok starszej, zobaczyłem harcerza

w mundurze i w pomarańczowej chuście. Spytałem go, gdzie i kiedy mają zbiórki. Spojrzał na mnie trochę z góry. Czyżbym chciał się zapisać? No to trzeba przyjść jutro po lekcjach do Agricoli, parku szkolnego rozciągającego się tuż obok szkoły.

Mama nie sprzeciwiła się. W Agricoli była cała gromada chłopaków. Ponad głowami kolegów wystawał – jak mi się wtedy wydawało, wysoko, prawie pod niebo – druh w harcerskiej czapce i zielonkawej kurtce. Miał małą szramę na brodzie i twarde, poważne spojrzenie.

– To nasz drużynowy – powiedział do mnie druh z sąsiedniej klasy. – Podharcistrz Michał Glinka. Z batalionu „Zośka”.

Nowicjuszy takich jak ja była spora gromadka. Ustawili nas w szeregu. Zaczęliśmy od musztry. Jak w wojsku. I bardzo mi się to podobało.

Obecnie, w pięćdziesiąt lat od zakończenia wojny, wszelki wojskowy dryl jest dla zdecydowanej większości młodych śmiesznością lub wręcz koszmarem. Z nami było nieco inaczej. Na polskie barwy, polskiego żołnierza, polską komendę, polską wojskową piosenkę publicznie śpiewaną czekało się lata. Była krótka euforia powstania. A po niej znów była niewola. I wreszcie przyszła wolność. Prawda, że wielu niechętnie patrzyło na czerwonogwiazdnych wyzwolicieli. Ale wokół były polskie flagi. Było polskie wojsko. Dookoła był polski język. Była polska szkoła a w niej orzeł na ścianie. Każdy żołnierz był dla nas bohaterem. Tym, który wyzwalał Warszawę, a potem brał szturmem Berlin. I ci z Zachodu, spod Falaise i Monte Cassino.

Wielu jest dziś takich, którzy urabiają historię tamtych lat na swoją chwałę, na swój sposób. Pierwszy powojenny rok był trudny dla wszystkich w Warszawie. Mieszkaliśmy w zrujnowanych domach. Wiele okien było zabitych na głucho deskami czy dyktą, bo nie było szyb. Stopniowo, tydzień po tygodniu, rozświeślały się domy w miarę, jak elektrycy łatali poszarpane przewody. Jaka to była radość, gdy z kranów pociekła woda i wreszcie nie chodziło się z wiadrami do studni o sto czy dwieście metrów od domu. Żyliśmy niby to w mieście, ale infrastruktura była jak w dżungli. Cieszyliśmy się

wszystkim, co przybliżało nas do normalności, do warunków życia zwykłych dla stolicy europejskiego kraju. Był koniec 1945 roku. Daleko jeszcze było do terroru, który zaczął się później. Płynęliśmy w nieznanej przyszłość. Z ufnością, z ulgą, że najgorsze mamy za sobą.

W szkole była radość, że uczymy się. Że siedzimy w ławkach i stoi przed nami profesor. Wstajemy gdy wchodzi i mówimy chórem modlitwę. „Duchu Święty, który oświeca serca i umysły nasze, dodaj nam ochoty i zdolności...” A potem, na lekcjach i na przerwach, mówimy o wojsku, o powstaniu. O broni. O granaty i amunicję nietrudno – w drodze ze szkoły do domu, w gruzach gazowni potykamy się o taśmy z nabojami i groźne obronne, głęboko nacinane „jaja”.

W klasie zaczyna się walka o koronę orła. Bo ma teraz być nowy, bez korony. No, nie dla nas! Delikatnie wsuwa się nad głowę orła koronę wyciętą z kartonu. I siedzimy cicho, spokojnie, czekając na reakcję profesora, który z nich zareaguje na odmianę zatwierdzonego nowego godła. Zdarza się, że profesor opuszcza klasę by sprowadzić dyrektora. Wystarczy chwila i orzeł jest „normalny” czyli bez korony. Wchodzi dyrektor, spogląda na godło i... wszystko jest tak, jak powinno być a my stoimy jak trusie, absolutnie niewinni. Ciągnęła się taka zabawa pewnie z rok.

Pierwsza w szkole zima 45/46. Już niby działa centralne ogrzewanie. Niby działa. Ile stopni jest w klasach? Kilka. Tyle, że grzejniki nie zamarzają. Siedzimy w paltach. Gdy przychodzą większe mrozy, szkoła zawiesza zajęcia na dzień, dwa, na tydzień.

W czasie całego roku przybywali nowi uczniowie. Któregoś dnia dyrektor Beranek wprowadził do klasy nowego ucznia. Zimno było, miał więc na sobie za obszerną kurtę a w rękę trzymał tekturowy neser.

„Wasz nowy kolega...” – powiedział dyrektor.

Patrzę na nowego i widzę, że dla mnie to wcale nie jest nowy kolega! Znam go! Bogusław Rygiel. Ostatni raz widzieliśmy się w obozie w Oświęcimiu. Spaliśmy na tej samej pryczy w ośmiu chyba chłopaków. I teraz jesteśmy w jednej klasie, siedzimy obok siebie, uczymy się.

Profesor Mieczysław Czyżykowski. Obok profesora Ma-

riana Trojana druga ogromna indywidualność dla mnie i kolegów z mojej klasy. Wysoki, postawny, zamaszysty w ruchach. Nikt przed nim nie przymusił mnie do matematyki. Wspaniale potrafił wydobyć z nas wszystko to, co należało. Grał na ambicjach i to jak... „Nie umiesz?! I ty jesteś harcerz? I krzyż nosisz?! Za ciebie się ten krzyż czerwieni...”

Mój Boże, jakie to robiło wrażenie! I nie było takiego w klasie, który chciałby narazić się „Czyżkowi”. Toteż gdy odchodził z „Batorego” by wyklądać na Politechnice Warszawskiej, żegnaliśmy go ze smutkiem.

Zbliżał się koniec roku szkolnego 45/46. Po mieście jeździły gromady aktywistów nawołujących do udziału w referendum. „Mikołajczyk, Mikołajczyk, Pierwsze nie!” – wołali młodzi ludzie z PSL. „Polaka znak, trzy razy tak!” – odpowiadali im równo młodzi w białych koszulkach i czerwonych krawatach z ZWM. A u nas, u „Batorego”, był spokój. Trwały ostatnie przepytywania przed końcem roku. W drużynie przygotowywaliśmy się do pierwszego po wojnie letniego obozu w Orzechowie koło Ustki. Drużynowy stawał na głowie aby uzyskać wszelkie środki obozowe i żywność dla ciągle jeszcze wygłodzonych przez lata wojny chłopaków.

Na oficjalne dotacje nie było co liczyć. Nowa władza nie rozpieszczała harcerzy, co nie było dziwne, bo wśród młodzieży z warszawskich szkół średnich nowa władza poparcia nie miała. W rozmowach z przyjaciółmi, stale mówiło się, że to, co teraz jest, to epizod tylko, bo przecież Zachód nas tak nie zostawi i lada miesiąc wrócą NASI z Andersem na czele. W klasie, na czterdziestu chłopaków, mieliśmy tylko jednego ze znaczkami ZWM. Był ze dwa lata starszy od nas. Bezsilnie ścisnął pięści, gdy Tadek Berek falsetem śpiewał mu znaną wówczas piosenkę: „O cześć wam, panowie z Lublina/ za mury Warszawy zburzone/ o cześć wam za rządy batiuszki Stalina/ za orła skradzioną koronę”. – Czekaście, szczeniaki – dyszał ZWM-owiec – Czekaście... Ale kto by się tam jego groźbami przejmował! Żaden profesor na tematy polityczne nic z nami nie mówił. W drużynie też. W domu, jeśli ktoś miał radio, wieczorami starsi nasłuchiwali raz po raz zanikającego „Tu mówi Londyn”. I wierzyło się powszechnie, że niedługo przyjdą Amerykanie. Czy w takiej sytuacji w kla-

sie mogło być więcej takich, jak nasz jedyny ZWM-owiec? Nie chodził zresztą długo do „Batorego”.

Bardzo ważną rolę w szkole spełniał sport. Gdy tylko rozpoczął się rok szkolny zajął się nami prof. Zenon Paruszewski, energiczny, w pumpach (na przedwojenną modę) i w swetrze. Wieść niosła, że przed wojną grał zawodowo w hokeja. Jego zasługą było to, że z każdym rokiem wzrastało w szkole zainteresowanie sportem, rosła ilość uczniów podejmujących treningi w wielu sekcjach warszawskich klubów sportowych. Mieliśmy dobrych pływaków, była w szkole dobra drużyna gimnastyczna i Batoracy walczyli zaciekle o prymat z chłopakami od Reytana, Mickiewicza, Reja. Później, około 1949 roku, do szkoły przyszedł drugi nauczyciel Wychowania Fizycznego, Marian Balcerzak, świeżo po ukończeniu Akademii Wychowania Fizycznego. Jeśli „Paruwa” był szacownym autorytetem, to prof. Balcerzak był starszym kolegą, szanowanym oczywiście, ale przecież bliższym nam z uwagi na wiek.

Obaj profesorowie prowadzili popularne wówczas każdej wiosny biegi całych klas – najlepsi mieli szanse startowania w „Biegach Narodowych”, które obejmowały tysiące uczestników i stanowiły bazę do wyszukiwania wśród młodzieży talentów biegowych. Dzięki „Biegom Narodowym” wyłoniło się liczną grupę biegaczy, z których z czasem ukształtowała się czołówka sportowców krajowych – przez wiele lat długodystansowcy jak choćby Chromik czy Krzyszkowiak byli idolami tysięcy chłopaków.

Gdy tylko rozpoczęły się zajęcia w odbudowanej sali gimnastycznej, dyrekcja szkoły uruchomiła basen szkolny, który znajdował się pod salą gimnastyczną. Byliśmy wówczas posiadaczami jednej z nielicznych w Warszawie krytych pływalni, która cieszyła się ogromnym powodzeniem.

Ważną rolę w życiu znacznej grupy uczniów odgrywało harcerstwo. 23. Warszawska Drużyna Harcerzy im. Bolesława Chrobrego o przedwojennym rodowodzie i bojowych tradycjach Batoraków w latach wojny. Byli dla nas wzorcem patriotycznego działania. Co parę dni w latach 1946-47 do klasy wchodził dyr. Beranek i spoglądał na nas znad okularów i mówił: – Harcerze w mundurach za 15 minut zbiórka przed szkołą!

Czekał nas przemarsz lub jazda na platformie ciężarówki do kościoła na kolejne żałobne nabożeństwo związane z ekshumacją poległego Batoraka z „pomarańczarni”. Potem przejazd na Cmentarz Wojskowy, gdzie z każdym dniem przybywało brzoźowych krzyży w kwaterze Szarych Szeregów. Połowa poległych druhów dotarła na cmentarz na naszych ramionach. Patrzyliśmy na żałobne rodziny, na kolegów zgromadzonych przy grobie. Pokazywaliśmy sobie oczami młodych mężczyzn ze znaczkiem „Parasola” w klapie, z miniaturką KW. To byli wczorajsi powstańcy. Nasi bohaterowie.

W starszych klasach pokazali się chyba w 1947 roku członkowie OM TUR. Nosili niebieskie organizacyjne koszule i czerwone krawaty. Nie cieszyli się – jako organizacja – zainteresowaniem ogółu uczniów. ZWM-owców można było na palcach liczyć. Dopiero po Zlocie Młodzieży we Wrocławiu, gdy powstał Związek Młodzieży Polskiej, organizacja ta objęła znaczną ilość uczniów. Ale był to już początek roku 1950 i rozpoczynał się okres wzmoczonej komunizacji społeczeństwa, w tym także młodzieży. Zaczęła się już tzw. zimna wojna pomiędzy Wschodem i Zachodem. Na pochodach i masówkach występowaliśmy z planszami wykpiwającymi polityków i dowódców wojskowych państw zachodnich, czyli – jak się wtedy mówiło – podżegaczy wojennych. W tym okresie zaczęły się pewne tarcia o charakterze politycznym pomiędzy uczniami. Zbliżaliśmy się do matury. A w nowej sytuacji dostanie się na studia zależało już nie tylko od oceny na egzaminach wstępnych. Liczyło się i to bardzo „oblicze społeczno-polityczne” kandydata, działalność organizacyjna i „oddanie władzy ludowej”. Kto więc chciał studiować, musiał być aktywistą młodzieżowym.

Naciski na upolitycznianie życia, nie tylko szkolnego, wzmagaly się. Zaczęły się procesy i aresztowania także wśród Batoraków, bo choć konspiracyjnych organizacji na terenie szkoły właściwie nie było, to jednak niewielka grupa uczniów miała powiązania z nielegalnym ruchem niepodległościowym i represjonowano ich, m.in. harcerzy z 23 WDH. Odszedł z grona pedagogów prof. Marian Trojan, który miał odwagę wyjaśniać nam kiedyś na lekcji problemy dowodzenia i zwy-

cięskiej ofensywy wojsk polskich w bitwie warszawskiej 1920 roku, decydującej o przebiegu wojny. Przestaliśmy mówić szczerze w szkole o tym, co myślimy o przemianach zachodzących w kraju. Zbliżaliśmy się do matury, a „Batory” do przekształcenia w Szkołę nr 10 Towarzystwa Przyjaciół Dzieci.

Dawny „Batory”, który odrodził się po wyzwoleniu na początku 1945 roku, zmieniał swoje oblicze. Decydujący był rok 1950, kiedy jeden po drugim odchodzili starzy profesorowie, kiedy wzrastał się polityczny nacisk jednolitej i jedynej już w szkole organizacji młodzieżowej – ZMP, kiedy zniknęła ze szkolnego horyzontu 23 WDH.

Całe odremontowane już piętro przejęła Wyższa Szkoła Pedagogiczna. „Batory” wolno przygotowywany był do reorganizacji. W końcu roku szkolnego 1950/51 dwie klasy dziesiąte (za rok matura!) zostały w całości przeniesione – jedna do szkoły TPD przy ul. Kopernika, druga do szkoły przy ul. Drewnianej. W ten sposób zmniejszyła się znacznie grupa maturzystów w roku 1952. Wystarczy porównać wykazy absolwentów – w latach do 1951 „Batorego” kończyło blisko stu uczniów rocznie. W 1952 roku było ich ledwie czterdziestu.

A w 1952 roku odszedł z „Batorego” nasz ukochany dyrektor Roman Beranek. I w grudniu przy ulicy Myśliwieckiej 6 nastały czasy TPD.

Bogdan BARTNIKOWSKI

TEL-AKZIB, ZAPOMNIANE PAŃSTWO

LIST OTWARTY DO PANA MINISTRA SPRAW ZAGRANICZNYCH

Szanowny Panie Ministrze!

Studiując historię Bliskiego Wschodu odkryłem ze zdumieniem, że żaden z podręczników nie wspomina ani słowem o jednym z najstarszych państw, nie tylko tego regionu ale wręcz świata – Państwie Akzib.

Akzib stanowi enklawę leżącą kilkanaście kilometrów na północ od Akko w dzisiejszym Izraelu, niedaleko granicy izraelsko-libańskiej. Jego początki giną w pomroce dziejów – najstarsze ślady osadnictwa w tym miejscu pochodzą jeszcze z epoki brązu. Później zasiedlili je Kanaejczycy budując miasto i port. W czasach gdy Izraelici przystąpili do podboju Ziemi Obiecanej Akzib stanowiło sporej wielkości nadmorskie państwo-miasto, które, jak o tym czytamy w Starym Testamencie, przy podziale Palestyny pomiędzy dwanaście plemion izraelskich, przypadło pokoleniu Aszera:

Piąty los przypadł w udziale pokoleniu Aszera, według ich rodów. Dziedzictwo ich obejmowało: [...] Machaleb, Akzib, Umma, Afek i Rechob: dwadzieścia dwa miasta i przyległe wioski.

Okazało się jednak, że Akzib, podobnie jak inne miasta nadmorskie, było zbyt potężne aby ulec półdzikim najeźdźcom z pustyni toteż:

Aser nie wypędził mieszkańców Akko, Sydonu ani Achlab ani Akzib ani Chelba ani Afik ani Rechob.

Niezdobyte przez Izraelitów, Akzib utrzymało niepodległość po to aby później, w czasach króla Salomona, zostać zasiedlone przez Fenicjan, stając się ogniwem łańcucha ich państw-miast, ciągnących się wzdłuż wybrzeża Morza Śródziemnego.

Fenicjanie byli narodem energicznym i inteligentnym. Na ogół udawało im się unikać frontalnych starć z imperiami starożytności – zamiast toczyć wojny ze współczesnymi im potęgami, woleli zręcznie zapłacić Egipcjanom, Asyryjczykom, Babilończykom lub Persom daninę gwarantującą, że zostaną zostawieni w spokoju i że będą mogli zajmować się tym czym potrafili najlepiej – handlem. Władcy tego świata potrafili zachowywać się pragmatycznie – rabunek Fenicjan przynosił łupy jednorazowe, zaś pozostawienie ich samym sobie dawało możliwości regularnego dochodu. Kupieckie państwa-miasta Tyr, Sydon – a także Akzib, potrafiły umiejętnie lawirując pomiędzy mocarstwami prowadzić życie pracowite i dostatnie.

Choć nie zawsze im się to udawało: podczas wojen grecko-perskich Tyr popełnił samobójczy błąd i zamiast odpowiednio wcześniej zmienić strony i poprzeć Aleksandra Macedońskiego, zdecydował się z nim walczyć, płacąc za to całkowitym zniszczeniem.

Akzib spotkał upadek dużo wcześniej – po tym jak w 701 p.n.e. zostało złupione przez Sancheryba, króla asyryjskiego, spadło do roli podrzędnej osady. Ponad siedemset lat później Józef Flawiusz wspominał o nim jako o stacji przydrożnej położonej przy rzymskiej drodze Via Maris. Jeszcze dwieście lat później wzmianki o nim jako o mieście żydowskich rybaków i farbiarzy wyrabiających z muszli morskich barwniki do tkanin, znajdujemy w Talmudzie. Potem przez kilka stuleci w przekazach historycznych nic o Akzib nie słyhać, aż do czasów gdy w Palestynie pojawili się krzyżowcy. Na fundamentach starodawnego fenickiego portu wybudowali nowy, zaś dla jego obrony na wybrzeżu wzniesli zamek Castel l'Ambert. Położony niedaleko na północ od Akko – ostatniej stolicy Królestwa Jerozolimskiego, miał duże znaczenie wojskowe jako baza zaopatrzeniowa podczas kampanii przeciwko Saracenom.

Krzyżowcy byli i minęli, zaś Akzib wróciło do roli osady rybackiej. Po Kanaejczykach, Fenicjanach, Grekach, Rzymianach, Żydach i krzyżowcach zajęli je teraz Arabowie. Jako A-ziv jest wymieniane kilkakrotnie w różnych źródłach muzułmańskich.

Przez następne kilkaset lat w Akzib nie wydarzyło się nic godnego odnotowania aż do czasu pierwszej wojny izraelsko-arabskiej w 1948. Arabowie zamieszkujący okolicę uciekli przed Izraelczykami do Libanu zaś pagórek stanowiący teren historycznego Akzib został podzielony na część południową, zaanektowaną przez Izraelczyków i część północną zajęłą przez nikomu wcześniej nieznanego Eli Avivi.

Bezpośrednio po ogłoszeniu niepodległości przez państwo Izrael, swoją deklarację niepodległości ogłosiło Państwo Akzib. Prezydentem nowo powstałego (lub raczej – restytuowanego) państwa został wybrany, uzyskując 100% głosów, Eli Avivi. Jako prezydent powołał rząd, w którym tekę premiera oraz wszystkie stanowiska ministerialne otrzymał Eli Avivi. Oprócz tego został on prezesem Banku Centralnego oraz Naczelnym Wodzem Sił Zbrojnych Państwa Akzib. Dodajmy na koniec, że był on (i nadal jest) jego jedynym obywatelem.

Nowożytnie Państwo Akzib zajmuje tylko fragment swojego historycznego terytorium – pozostała jego część znajduje się obecnie w Izraelu. Na terenie okupowanej części Izraelczycy urządzili park narodowy oraz ośrodek wypoczynkowy a w zrujnowanym historycznym porcie – kąpielisko. Wolne Państwo Akzib odgródzone jest od Izraela płotem z drutu kolczastego. Jego południową granicę stanowi teren izraelskiego Parku Narodowego Akzib, wschodnią – asfaltowa droga prowadząca na parking przed wejściem do Parku, północną – kawał uklepanego placu, zaś zachodnią plaża z pozostałościami fenickiego portu. W głównym budynku znajduje się mieszkanie prezydenta oraz muzeum historyczne, w którym obejrzeć można odkopane na terenie Państwa Akzib rozmaite garnki, narzędzia i inne tym podobne znaleziska archeologiczne, ilustrujące pięć tysięcy lat jego historycznej ciągłości.

Osoby odwiedzające Akzib w celach turystycznych muszą zaopatrzyć się w wizę wjazdową (można ją otrzymać na granicy, jeżeli prezydenta akurat nie ma w pobliżu bramy, należy

go szukać w jego mieszkaniu w pokoju telewizyjnym). Za nocleg trzeba zapłacić dodatkowo, gdyż pozostanie w Akzib przez noc wymaga posiadania wizy pobytowej.

Z tajemniczych względów istnienie Państwa Akzib jest konsekwentnie pomijane milczeniem przez środki masowego przekazu. Fakt, że nie jest ono na ogół umieszczane na mapach Bliskiego Wschodu można jeszcze od biedy usprawiedliwić tym, iż jego rozmiary sprawiają, że byłoby ono trudne do zaznaczenia. No ale z drugiej strony europejskie mikropaństwa takie jak San Marino czy Monako są na ogół wzmiankowane na mapach, mimo że są to twory praktycznie bez historii – bo i czym ostatecznie jest historia – na przykład – księstwa Lichtenstein, w porównaniu do tysięcy lat historycznej ciągłości Akzib? Nie mówiąc już nawet o tym, że Watykan czy Andora nie mają nawet dostępu do morza – w przeciwieństwie do Państwa Akzib, w którego zachodniej granicy znajduje się furtka prowadzącą na plażę. Trudno też zrozumieć dlaczego deklaracja niepodległości Państwa Akzib jest ignorowana we wszystkich podręcznikach współczesnej historii. Wygląda to wręcz na rodzaj spisku.

Na szczęście ostatnio sprawy ulegają zmianie i państwo Akzib zaczyna powoli, powoli uzyskiwać międzynarodowe uznanie swojej suwerenności. Oto na przykład prospekt reklamujący Park Narodowy Akzib, wydrukowany przez izraelski Zarząd Parków Narodowych, zawiera mapkę z zaznaczonym na niej terenem Państwa Akzib. Zarząd Parków Narodowych jest izraelską instytucją państwową, jasno stąd wynika więc, że Izrael niepodległość Akzib uznał już *de facto*, sądzić więc można, iż uznanie jej *de iure* jest wyłącznie kwestią czasu.

Rodzi się więc pytanie, czy Polska nie powinna, w trosce o utrzymanie przyjaznych stosunków ze wszystkimi krajami regionu, uznać niepodległości Państwa Akzib. Pozostawiam to Panu Ministrowi pod rozwagę, a ze swej strony pozwalam sobie zgłosić swoją kandydaturę na stanowisko ambasadora Rzeczypospolitej w tym kraju. Ostatecznie jestem prawdopodobnie pierwszym Polakiem, który go nie tylko odwiedził, ale wręcz dowiedział się o jego istnieniu.

Z poważaniem,

Tomasz WŁODEK

LISTY DO REDAKCJI

Uniwersytet stanu Milwaukee, WI,

Szanowny Panie Redaktorze,

Z najwyższym zaciekawieniem przeczytałem znakomity 124-ty numer *Zeszytów Historycznych*. Zainteresowały mnie zwłaszcza oba artykuły o tematyce ukraińskiej. Na stronie 31 zauważyłem nazwisko: Piotr Diaczenko (?-?) major kawalerii. Te dwa znaki zapytania pragnę uzupełnić moimi fragmentarycznymi wspomnieniami. Spotkałem go po raz pierwszy w lecie 1937 gdy był zastępcą dowódcy 3-go pułku szwoleżerów w Suwałkach, oraz kierownikiem kursu wyszkoleniowego dla nowomianowanych poruczników rezerwy. Odbyłem z nim kampanię wrześniową. W październiku 1939 spotkałem go w Kownie, gdy szedł do poselstwa niemieckiego. Na moje zapytanie dlaczego to robi, odparł: „Polska się skończyła, teraz my, Ukraińcy musimy myśleć o naszej przyszłości”.

Z poważaniem

M.K. DZIEWANOWSKI

PS. Major Diaczenko był człowiekiem życzliwym, znakomitym instruktorem, ogromnie przyjaznym dla podwładnych.

12 VII 98



Londyn, 7 września 1998

Szanowny Panie Redaktorze,

Kilka sprostowań do arcyciekawych wspomnień Bożeny Puchalskiej o generale Julianie Hibnerze (*Zeszyty Historyczne* Nr 124).

Dowódcą [1-go] pułku był ppłk Franciszek Derks a nie Dec (str. 81 i następne). Kapitan [Władysław] Wysocki nie był zastępcą dowódcy 1 pułku piechoty (str. 84) ale zastępcą dowódcy do spraw liniowych 3 batalionu tego pułku.

Bitwą pod Lenino nie dowodził pułkownik Bolesław Kieniewicz (str. 86) ale generał Zygmunt Berling, który będąc już wówczas dowódcą 1 Korpusu jednocześnie bezpośrednio dowodził 1 dywizją pod Lenino. Kieniewicz, istotnie był w tej bitwie wzorem dzielności i odwagi, niemniej całością polskich sił dowodził Berling (że od strony fachowej – nieudolnie, to inna sprawa). Powszechnie wiadomo, że Alfred Lampe (jedyne żyjący wtedy – 1943 – były członek Politbiura KPP) nigdy nie został przyjęty przez Stalina. Dlatego trudno uwierzyć, że był wraz z Wandą Wasilewską, według relacji Janiny Broniewskiej, u Stalina, gdy ten zdecydował o powołaniu Berlinga na dowódcę dywizji kościuszkowskiej (str. 89). Faktycznym wnioskodawcą powstania Dywizji był Alfred Lampe (tamże). Ciekawe, bo Berling w swoich trzynomowych wspomnieniach wielokrotnie i zaciekle atakuje Alfreda Lampe właśnie jako zdecydowanego ponoć przeciwnika utworzenia tej dywizji.

Chorąży Stanisław Wancerz a nie Niejaki kapitan Bancerz (str. 83 i następne).

W kwietniu 1945, 2 Armia generała Świerczewskiego podlegała już operacyjnie dowódcy Pierwszego Frontu Ukraińskiego, dokładnie od 20 marca 1945, a więc to marszałek Iwan Koniew a nie marszałek Żukow był wtedy na przeprawie przez Odrę (str. 98). (Przykro mi bardzo ale o tym epizodzie... „czołgi ruszyły na most miażdżąc i zrzucając do rzeki wozy z rannymi” (tamże) czytam po raz pierwszy, a zdawało mi się, że jako żołnierz tej armii dobrze znam jej historię. Obawiam się, że coś tu musiało się narratorowi pomylić).

Nie 32 Pułk Budziszyński (str. 99) a 32 Pułk Strzelców Budziszyńskich (wiem bo po wojnie byłem dowódcą 34 Pułku Strzelców Budziszyńskich, w tej samej, 8 dywizji. Na marginesie: szkoda, że w ramach reform wojska po roku 1989 odebrano polskim dywizjom i pułkom zaszczytne miana: „Berliński”, „Drezdeński”, „Budziszyński” itd. Ciekawe, że do dziś w armii szwedzkiej jest pułk „Warszawski”, z czasów Potopu, naturalnie.

Latem 1950 premier Cyrankiewicz nie mógł się starać o rehabilitację aresztowanego generała Wacława Komara (str. 128) bo Komara uwięziono w 1952 (a wypuszczono w końcu 1954).

Pułkownik Leonard Borkowicz dowodził 1 pułkiem dywizji kościuszkowskiej tylko od połowy października do grudnia 1943 a nie do roku 1945 (str. 168).

Generał Czesław Mankiewicz był dowódcą Wojsk Przeciwlotniczych a nie dowódcą Wojsk Lotniczych (str. 173).

Łączę wyrazy głębokiego szacunku

Michał SADYKIEWICZ

SPIS TREŚCI

Wojciech Jaruzelski: <i>O stanie wojennym raz jeszcze</i> .	3
Hanna Świdorska: <i>Z dziejów polskiej prasy w Anglii</i>	55
Konrad W. Studnicki-Gizbert: <i>Łotwa – wrażenia i statystyki</i>	65

DOKUMENTY

Andrzej Garlicki: <i>Zeznania Bolesława Piaseckiego</i> .	82
Grzegorz Mazur: <i>Nieznany list gen. Pawła Szandruka</i>	112

WSPOMNIENIA

J. Zdzisław Szyłyko: <i>Dziennik radiowy Rozgłośni Polskiej RWE 1952-1972</i>	118
Andrzej Albrecht: <i>Noc, jak czarna rozpacz</i>	134

CI, CO ODESZLI

Bohdan STACHIEWICZ: <i>Wspomnienie o generale Stachiewiczu</i>	137
Bohdan Osadczuk: <i>Mykoła Łebed' – od terrorysty do politycznego pragmatyka</i>	143

KSIĄŻKI

Bogumiła Berdychowska: <i>Burzliwe życie Nadii Surowcowej</i>	149
Mieczysław Pruszyński: <i>Tomasz Serwatka o Piłsudskim</i>	159
Mieczysław Pruszyński: <i>Wojna 1920 r. (Uzupełnienie recenzji)</i>	166
Piotr Wandycz: <i>Krytyka i pochwała</i>	171
Józef Lewandowski: <i>Rosjanie o Europie Wschodniej i Polsce</i>	175
Emanuel Halicz: „ <i>Polska na zakrętach dziejów</i> ” . . .	190
Piotr Daszkiewicz: <i>Moskiewskie „Zagadnienia historii przyrodoznawstwa i techniki”</i>	196
<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	202

OKRUCHY HISTORII

Stanisław Gajdzica: <i>O internowaniu inaczej</i>	206
Maria Aleksandra Balińska: <i>Choroba jako ideologia. (Tyfus plamisty w okupowanej Polsce [1939-1944])</i>	212
Bogdan Bartnikowski: „ <i>Batory</i> ” po wojnie	221
Tomasz Włodek: <i>Tel-Akzib. Zapomniane państwo. (List otwarty do Pana Ministra Spraw Zagranicznych)</i>	231

LISTY DO REDAKCJI

M.K. Dziewanowski: <i>Uwagi do artykułów o tematyce ukraińskiej (Zeszyty Historyczne nr 124)</i>	235
Michał Sadykiewicz: <i>Sprostowania do wspomnień Bożeny Puchalskiej o generale Hibnerze (Zeszyty Historyczne nr 124)</i>	235

ACHEVÉ D'IMPRIMER
LE 30 DÉCEMBRE 1998
SUR LES PRESSES
DE
L'IMPRIMERIE NOUVELLE
16-24, RUE SOUBISE,
93400 SAINT-OUEN
Dépôt légal : 4^e trim. 1998
N° d'imprimeur : 3531



F 90